

KWAŁ DOBREJ KRYMINALNEJ ROBOTY. POLECAM!

Robert Małcki

AGNIESZKA JEŹ

ODPIŁATA

ZŁO, KTÓRE IDZIE PRZEZ POKOLENIA.
MORDERSTWA, KTÓRE SĄ POCZĄTKIEM, NIE KONCEM

AGNIESZKA JEŻ

ODPŁATA

 Książki
Burda

PROLOG

1945, Nowy Targ

Wiosna była piękna tego roku. Het, na południe, z zielonej równiny nagle wyrastały ostre ciemnoszare wierzchołki gór. Niebo błękitniało, horyzont był czysty, słońce przypominało żółtą głowę słonecznika. Widok jak z malowanych na szkle obrazków, które wisiały w wielu tutejszych chałupach.

Leżał na trawie, stopy w zniszczonych rozsznurowanych butach rozłożył na boki, ręce nieporadnie rozrzucił. Głowę przekręcił w lewo, właśnie na ten widok. Oczy miał szeroko otwarte. Wydawało mu się, że ktoś mu po kolei zaciemnia obrazki przed oczami. Najpierw zniknęły Tatry, po nich hale, potem wysokie źdźbła trawy na pobliskiej łące. Ostatnie, co zobaczył, to płowy kawałek drewna, w którym ktoś wyrzeźbił męską postać. Rozpoznał ją. W głowie mu rozbrzmiało: „Żydowski Pán Jezus, niemały, nieduzý, usiád se na przýpiecku, fajeck se kurzý. Matka Boská táncý, Pieter z Pawłym śpiywá, Duk Świynty podskocył, a Pán Bóg poziywá”. Czyjaś ręka podniosła wystruganą figurkę. Ręka stąd, swojego. On nie był stąd. Jak Pan Jezus – nie ten z kościoła, ale ten z przyśpiewek. Pierwszy był dobry, bo swój, drugi – gorszy, bo obcy. Żydowski, jak on.

Zrobiło się całkiem ciemno, mimo że nie zamknął oczu. Powieki powinny opaść, zmarły nie może patrzeć. Każdy człowiek ma zawiść w oczach, nic, nawet po śmierci, nie jest w stanie uspokoić oczu, tak mówi Talmud. Nie miał w nich zawiści, tylko niedowierzanie, że tu, że teraz, że po tym wszystkim...

El Melech Neeman, Szma-Jisroel, „Bóg jest Królem godnym zaufania, słuchaj, Izraelu”. Pierwsze słowa. I ostatnie.

2014, Jeziorowskie

Krew z łoskotem przewaliła się przez tętnice, pociemniało mu w oczach. Uniósł powieki, kiedy paroksyzm minął. Jednak zamiast grubych bali, które niedawno sam odnawiał i mocował na zrąb, żeby chałupa dobrze osiadła, zobaczył mleczną nieprzejrzystość. Wziął głębszy oddech, nieprzejrzystość zafalowała – wzdęła się, a potem opadła. Przez moment nie rozumiał, świat zawsze był rozmyty i wolniejszy po kolejnej flaszcze, lecz gdy nad otumanionym rozumem wziął górę zwierzęcy lęk, mężczyzna pojął, że umiera.

Zaczął się szarpać, ale ciało jakby nie należało do niego – spętane, nieposłuszne. Pod mleczną folią coraz mocniej pachniało samogonem. Im więcej wdechów robił, tym bardziej kołowało mu się w głowie. Czuł się tak, jakby miał zaraz upaść, a przecież już leżał. Szarpnął ręką, ale dłonie miał związane. Stwardniałymi opuszkami palców przejechał po ścianie obok. Znajoma gładkość jodły na chwilę go uspokoiła. „Taki płaz to wytrzyma sto lat i więcej”, pomyślał. Co prawda, zabrany z ziemi, która go wydała, do obcej, gdzie wszystko inne, ale to drewno i tak jest martwe.

On też zaraz będzie martwy. Tu, daleko od gór, nad jeziorem, choć w chałupie z ojcowizny. Myśli zaczęły mu się plątać. Oddychał coraz wolniej. „Krzyża święntego ni ma”. Tam, w Dunajcu, był, tu – nie. Jak umierać bez krzyża? „Pámócek...” Czy go słyszy, daleko od domu, spod tej folii?... Powinien Go przeprosić za grzechy, o wybaczenie błagać, za dużo ich, żeby tak na raz, zresztą mleczność była już nie tylko przed jego oczami, lecz także w jego głowie.

I nagle, pstryk, jak całe życie, przepadła. Zrobiło się ciemno.

2019, Nowy Targ

Nic nie rozumiał. Nawet nie bardzo wiedział, gdzie jest, na jakimś zadupiu zlądował. On też był z zadupia, ale wyjechał. I na pewno nie po to, żeby tak skończyć. Szarpał się, ale nie mógł się uwolnić. Wściekłość go napędzała – tak się dał podejść, jak dziecko. Z tamtej strony nie było wściekłości, ale była determinacja. „Boże”, wycharczał. W sytuacjach ostatecznych z człowieka wypływają takie słowa, bez

względu na jego całe życie. Ucisk na szyi na moment zelżał, jakby miało zostać mu odpuszczone, ale po chwili wrócił ze zdwojoną siłą. „Boże”, doleciało do niego. Z tych drugich ust to padło, jak echo.

To było ostatnie, co w życiu usłyszał.

ROZDZIAŁ 1

2020, Jeziorowskie

– Kurwa! – Odskoczył z takim impetem, że uderzył plecami o ścianę. Osunął się po drewnianych belach na podłogę. Nie mógł się ruszyć; ręce i nogi zrobiły się sztywne, obce, jakby nie jego. Za to w środku dygotał. – Kurwa – powtórzył ciszej.

Co go podkusiło, żeby tu leżać? „Ludzkie gadanie”, odpowiedział sam sobie. Niby w każdej plotce jest ziarno prawdy, ale tu... Ziemi od cholery, a zamiast tego ziarna...

Z trudem odkleił plecy od ściany. Przekręcił się na kolana i przesunął na środek pomieszczenia. Rękawem bluzy przetarł spocone czoło; poczuł, że pod cienkim lateksem rękawiczek jest wilgoć. Ostrożnie nachylił się nad otworem. Przymykając oczy i powstrzymując odruch wymiotny, zagłębił ręce w ziemi. Raz jeden był na wakacjach nad morzem. Przypominał sobie teraz obsesyjnie ten moment, kiedy najpierw rozkopywał sypki, gorący piasek, żeby dotrzeć do wilgotniejszego, zwarteo podłoża, a potem zakopać tam niedużą gumową piłkę. „Słońce, piasek, piłka. Słońce, piasek, piłka. Słońce, piasek...”, powtarzał, jakby wpadł w trans.

Po dziesięciu minutach podniósł się z podłogi i na drżących nogach podszedł do drzwi. Już miał nacisnąć klamkę, ale jeszcze się odwrócił. Spojrzał w głąb korytarza i powoli opuścił wzrok. Wyglądało całkiem dobrze. Z wierzchu.

Prawa dłoń machinalnie powędrowała do czoła, potem przesunęła się na mostek, lewe ramię, prawe ramię i złączyła z uniesioną lewą.

„Amen”, powiedziały bezgłośnie jego usta.

– Kurwa – dodał on sam.

Odwrócił się i wyszedł.

Sierżant Wiera Jezierska powoli wjechała w gruntową, polną drogę, która łagodnie opadała do jeziora. Sięgnęła ręką na fotel obok po okulary przeciwsłoneczne. Niebo było bezchmurne, słońce, mimo wiosennej pory, mocno przygrzewało. Całkiem miły dzień, nie na komendzie, tylko w terenie. Szkoda za to, że sprawa banalna.

Posterunkowy Remek Staroń przyszedł dziś do niej ze zgłoszeniem kradzieży w Jeziorowskich. Dzwoniła sąsiadka poszkodowanych, którzy na co dzień mieszkają w Warszawie. Ona doglądała ich domu letniskowego. Dziś poszła na spacer-inspekcję i odkryła, że było włamanie.

Sprawa jasna – przed sezonem, pusto, jakiś lokalny złodziej potrzebował fantów, które zastawi w lombardzie albo sprzeda przez jeden z serwisów ogłoszeniowych. Zresztą co można ukraść z domku letniskowego? Stary telewizor, odtwarzacz DVD albo mikrofalówkę. Jakie łupy, taki włamywacz. Jaki włamywacz, taka sprawa. Jeziorowskie – Wiera nigdy tu nie była, a nazwa w naturalny sposób kojarzyła się jej z własnym nazwiskiem. Sztampa i nuda, a raczej policyjna codzienność. Już się miała odrobinę nad sobą poużalać, ale przypomniała sobie o kopercie, którą wyciągnęła ze skrzynki jesienią ubiegłego roku. „Wiera Jezierska”, tylko tyle było tam napisane. Żadnego znaczka, stempla, danych nadawcy. A w środku – dylemat. Nic z tym nie zrobiła, nie podjęła żadnej decyzji. „Niezrobienie niczego to też podjęcie decyzji”, pomyślała. Teraz będzie mogła się wykazać. Solidna, policyjna, niemal pozytywistyczna praca u podstaw, czyli poprawianie statystyk w popularnych obszarach przestępczości. Piękna służba niewinnemu społeczeństwu, które pada ofiarą pospolitych kryminalistów. Wszyscy będą zadowoleni. Cholera... nawet przed sobą wypadła mało przekonująco.

Zauważyła drucianą siatkę ogrodzenia, a za nią młodziak. Dom musiał stać w głębi. Zaparkowała, zjechawszy z kolein w pole. Wyłączyła silnik i wysiadła z radiowozu. Skierowała się w dół, do bramy. Po kilkunastu metrach przystanęła zdumiona.

Jeziorowskie były niedużą wsią z kilkoma obiektami turystycznymi. Zajazd Pod Pstrągiem, Noclegi u Marii – ten typ swojskiego wczasowania. Zieleń, woda, czerwień poniemieckiej zabudowy. Pensjonaty i kwatery na wynajem wpisywały się w tę stylistykę.

Dom, który właśnie zobaczyła – nie. Spodziewała się czegoś zwyczajnego – drewnianego pudełka z zadaszonym tarasem, trójkąta typu Brda, ewentualnie niedużego murowanego letniaka. Tymczasem na działce stała chałupa jakby

przeniesiona spod Tatr – z grubych bali i z dachem krytym gontem. Błyszcząca miodowo na tle wiosennej zieleni.

– Dzień dobry! – W jej stronę ruszyła kobieta, która do tej pory czekała przy budynku. Na oko sześćdziesięcioletnia, żwawa, szczupła. Nie wyglądała na lokalną gospodynię. – Maria Kobza. To ja dzwoniłam ze zgłoszeniem. Właściciele, to znaczy państwo Stykowscy, są teraz w Warszawie.

– Sierżant Wiera Jezierska, komenda policji w Giżycku – przedstawiła się. – A pani jest tutejsza?

– Nie.

Może była przewrażliwiona, ale wydało się jej, że usłyszała w tym „nie” nutę wyższości. Od pierwszego wejrzenia nie polubiła tej kobiety.

– Teraz mieszkam we wsi, wyżej. – Kobza wykonała ruch ręką. – Przeprowadziłam się w tym samym czasie, co Stykowscy. Też jestem z Warszawy. Tyle że ja osiadłam tu na stałe, a oni to letnicy. No ale ja jestem już na emeryturze, a oni wciąż pracują. Pięknie tutaj. Cisza, spokój...

– Dobrze, to co się stało? – Jezierska szła po brukowanej ścieżce w kierunku budynku. Działka była duża, pewnie z pięć tysięcy metrów, z prawej strony osłonięta młodziakiem, z tyłu było widać wyższe drzewa, a po lewej, w dół, zejście do jeziora.

Kobza ruszyła za nią.

– Ładna pogoda, więc poszłam na spacer. Dłuższy, bo ja mieszkam na drugim końcu wsi. Pomyślałam, że przy okazji zajrzę, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nawet klucze wzięłam, cały komplet. – Kobieta sięgnęła do kieszeni kurtki i brzdęknęła metalowym zestawem. – Okazało się jednak, że nie były potrzebne, znaczy tylko ten do furki się przydał. – Westchnęła.

Stały przed wejściem do budynku.

– Jak w skansenie – mruknęła do siebie Wiera.

Tak, chałupa była ewidentnie góralska. Stara, ale pieczołowicie odnowiona. Wszystko takie schludne, z wyjątkiem drzwi, na których było widać ślady łomu.

– Słucham?... A, ten dom. Tak. Piękny, prawda? To znaczy jak ktoś lubi taki styl.

– Od dawna go mają?

– Trzy lata minęły na jesieni.

– Wcześniej były tu jakieś włamania?

– Nie. To spokojne miejsce. Nawet w wakacje. To nie jest modny kurort, pokus

brak.

– A jednak się zdarzyła. – Wiera odwróciła się w jej stronę. – Więc poszła pani sprawdzić dom i?...

– I otworzyłam furtkę, bo zobaczyłam, że jedna z donic się przewróciła. – Kobieta spojrzała na stojący przy ścianie gliniany pojemnik. – To znaczy teraz stoi, bo ją podniosłam, ale jeszcze widać ukruszoną glinę na kamieniach.

– Furtka była zamknięta na klucz, prawda? – zapytała Wiera.

– Tak. – Kobza kiwnęła głową. – W sumie to dziwne. – Nagle się ożywiła. – To jak ten złodziej wszedł?

– Pewnie z tyłu przeciął siatkę. Tam chyba nie ma innej posesji?

– Nie ma. To jedyna ogrodzona i zagospodarowana działka w najbliższej okolicy.

– Więc weszła pani, podniosła donicę, zobaczyła rozwalone drzwi i zadzwoniła na policję?

– Tak. Znaczy prawie tak. Wcześniej zajrzałam do środka, żeby zobaczyć, co się stało.

– Zajrzała pani – powtórzyła Wiera.

Kobieta uśmiechnęła się krzywo.

– Chciałam sprawdzić, czy coś zginęło. Byłam ostrożna, niczego nie dotykałam. Tu zresztą i tak są moje odciski, bo ja przychodzę, żeby przepalić w kominku, włączyć ogrzewanie.

– I zginęło coś? – Wiera znała taki typ świadków. Zwarci, gotowi, poukładani. Nadmiernie zainteresowani.

– Zniknął telewizor, był nieduży, chowany w szafce w pokoju, nowy. Chyba coś ze sprzętów w tej szafce, nie wiem co, nie znam się na tym, widać jednak, że było ruszane, bo kable zwisają. Z kuchni zginął ekspres. W całym domu jest bałagan, takie myszkowanie podczas kradzieży. Najgorszy w sypialni, ale nie wiem, czy stamtąd coś zginęło, bo tylko patrzyłam.

Tak, to był właśnie ten typ.

– To na razie tyle, dziękuję. – Wiera sięgnęła do kurtki po rękawiczki. Z płaszczykiem wsunęła je na dłonie.

Kobza sprawiała wrażenie zawiedzionej, że nie została zaproszona do środka.

– A, numer do tych... Stykowskich pani ma? – zapytała Jezierska.

– Mam. W telefonie. A telefon w domu. Bo ten, co zabrałam, to męża. Tak, żeby

mieć, na wszelki wypadek. I dobrze, bo wypadek się zdarzył. Mój się w domu ładuje. Przejdę się po niego i wrócę. – W głosie słychać było narastającą ekscytację.

Wiera kiwnęła głową. Weszła do budynku. W sieni, zaraz po lewej, były drzwi do innego pomieszczenia. Skręciła tam. Kuchnia. Tak jak cały dom, zrobiona z drewna, tyle że jasnego. Szafki były niepodomykane, szuflady powysuwane, na podłodze zobaczyła jakieś ścierki i zapakowane w folię zmywaki. Z kuchni, na prawo, trafiła do salonu. Tu też dominowało drewno: kredens, półki na książki, pod ścianą, na wprost kanapy – szafka. Otwarta, dwa czarne kable zwisały nad podłogą. Kilka książek leżało na ziemi, pewnie włamywacz je przesuwiał, sprawdzając, czy nic za nimi nie schowano. Kominek, nad nim zdjęcie. Przyjrzała się – budynek na fotografii wyglądał bardzo podobnie, choć był w dużo gorszym stanie. Jeśli to ten sam, to ktoś wykonał świetną robotę. Dalej, znowu na prawo, kolejne pomieszczenie. Wszystkie pokoje były przechodnie, ten, jeśli dobrze się orientowała, wypadał na końcu korytarza. Mniejszy i bez okien. Wymacała włącznik, zapaliła światło. Garderoba. Skotłowane ciuchy na półkach, kilka zrzuconych z wieszaków. Przeszła do następnego pomieszczenia. Sypialnia. Wielkie łóżko, dwie szafki po bokach, pod ścianą kredens. Jedna z szafek była odsunięta. Wiera nachyliła się nad nią. Zauważyła poziomą szparę w drewnie. Odsunęła mebel bardziej. Szpara okazała się wyciętą w grubym balu wnęką, do której zamontowano drzwiczki. Zasuwka była otwarta. Cokolwiek się wcześniej znajdowało w tej skrytce, zniknęło. „Ciekawe, co oni tu trzymali”, pomyślała. Dom wyglądał na własność majątnych ludzi, ale przecież nikt rozgarnięty nie przechowywałby kosztowności na działce.

Kolejna para drzwi wyprowadziła ją z powrotem do sieni, dalej od wejścia. Tu też panował półmrok, więc zapaliła światło. Dopiero teraz mogła dokładnie obejrzeć to pomieszczenie. Długie, po jednej stronie był pusty wieszak, po drugiej – ozdobna drewniana skrzynia malowana w ludowy wzór. Podniosła wieko – na dnie leżały dwie pary kapci. Obok skrzyni stały damskie kalosze. W całym domu było czysto, oczywiście nie licząc włamaniowego kipiszu. Tutaj, na podłodze, zauważyła grudki ziemi. Podniosła jeden kalosz – od spodu był tak samo wypucowany, jak z wierzchu. Powędrowała wzrokiem dalej, w głąb korytarza. Więcej takich rozsypanych grudek leżało na rogu chodnika, którym zaścielono podłogę z desek. Przeszła tam i kucnęła. Delikatnie podniosła pleciony materiał szmaciaka. Z wierzchu był przykurzony, lekko poszarzały, a od spodu – czysty. „Dziwne”, pomyślała. Odsunęła go jeszcze bardziej i zauważyła, że deski pod nim leżą krzywo. Dotknęła jednej – ruszyła się. Po

gwoździach pozostały puste otwory. Podobnie wyglądały dwie sąsiednie. Wyciągnęła je i przełożyła na bok. Drobinki ziemi sfrunęły jej na spodnie. Ktoś przed nią, zapewne włamywacz, musiał zrobić to samo, stąd ta brudna podłoga. Na zewnątrz jest sucho, nie padało od tygodnia. „Trzeba dzwonić po Motykę”, pomyślała. Czego włamywacz tu szukał? Kto normalny grzebałby pod podłogą? Poza tym to dziwne, że nie ma betonu. Może to zgodne z dawnymi technikami budowlanymi, skoro chałupa stara? I może włamywacz o tym wiedział? I jeszcze o tym, że warto tutaj zajrzeć? Jeśli tak, to musiało być to ważne i przestępca nie chciał, żeby ktokolwiek zauważył, że majstrował przy deskach. Ułożył je na miejscu i nawet chodnik rozwinął, a wszędzie indziej zostawił bardak. Wiera kucnęła nad otworem. Delikatnie zanurzyła dłoń w ziemi. Była sypka, pyląca. Musiała zostać niedawno przekopana. Jeszcze raz przesiała ją dłonią. Wyczuła coś – pociętą metalową rurkę. Delikatnie rozgarnęła ziemię. Jej oczom ukazała się przyrdzewiała kierownica od roweru.

*

– Roweru? – Komisarz Janusz Kosoń, przełożony Wiery, na ostatniej prostej przed emerytalnym zakrętem, lekko się ożywił. Wstał od biurka i wyjrzał przez okno. Zapowiadała się całkiem przyjemna wiosna. Jeszcze kilka dni takiego ciepła i Rubert pewnie otworzy nowy sezon działkowy. Trzeba się będzie wybrać za Stare Juhy, do starego komendanta.

– No. Dziwne, nie? Zresztą tu wszystko jest dziwne. Niepasujące. – W głosie sierżant Jezierskiej brzmiała żywsza nuta. Słaba, ale wyczuwalna.

– W jakim sensie niepasujące?

– W takim sensie, szefie, że działka jest nad samym jeziorem, mazurski klimat, że bardziej się nie da, a ten dom to jak ze skansenu w górach. Nie klei się.

– Stary?

– To też. Ale odnowiony, bardzo ładnie. W środku biedy nie ma, wręcz przeciwnie. Syf, bo ktoś zrobił kipisz, poza tym – schludnie i dostatnio. A w sieni, pod deskami, które były teraz ruszane, bo ślady ziemi dokoła, ktoś zakopał rower. Znaczy chyba jest i reszta roweru, Mariusz sprawdzi. O, przyjechali. To na razie, szefie.

– Na razie. – Kosoń wciąż stał przy oknie. Rower. Miał w piwnicy, ale nie jeździł na nim od... nie pamiętał, od kiedy. Trzeba będzie się nim zająć, przecież nie spędzi całej emerytury z Rubertem na jego działce. Inne hobby też trzeba mieć. Rower...

Obrócił palcami pudełko zapalek w kieszeni. Co to było z tym rowerem?...

*

– No, nieźle. Odpoczynek w takim letniaku to całkiem przyjemne wakacje. – Mariusz Motyka stanął na ganku zrobionym z dużych otoczaków. – Na biednych nie trafiło, to pewnie i ubezpieczeni. Tylko drzwi szkoda, taka ładna ciesielka.

Wiera pokiwała głową.

– Od czego zaczynamy? – Popatrzył na nią.

– Od lewej. – Pokazała ręką w kierunku kuchni. – A potem dokoła, tu wszystkie pokoje są przechodnie.

– Swojskie rozwiązanie, rodzina na kupie. – Uśmiechnął się. – Idę.

„Rodzina na kupie”. Trafne określenie. Sama mieszkała w takim „przechodniaku”. Internat w szkole wydawał się jej oazą intymności w porównaniu z warunkami w ich domu. Anka lepiej sobie z tym radziła, tak wtedy myślała. Potem, kiedy siostra poszła do zakonu, Wiera uznała, że jednak nie, że Anka się poddała i nie potrafi żyć inaczej niż w zamknięciu i pod czyjąś władzą. Były jak jabłka, które od rodzinnej jabłoni odskoczyły w dwie przeciwne strony.

Otrząsnęła się.

Wyszła przed dom, skręciła w prawo i poszła wzdłuż ściany. Piękne były te drewniane bale. Jak to się wszystko trzymało, bez kilogramów zaprawy i gwoździ. I te połączenia na rogach – tak idealnie spasowane, jakby cięte komputerowo. Zupełnie inne cięcie było na siatce ogrodzenia. Tak, temu złodziejowi zdecydowanie brakowało finezji – część siatki została odgięta w lewo, część w prawo, wzdłuż topornego przecięcia. Kiedy skończą w domu, Mariusz musi tu przyjść.

– Dobra, chałupka obskoczona, ale nie spodziewaj się zbyt wiele. Odciski są, pewnie właścicieli i na pewno jeszcze jednej osoby...

– Sąsiadki. Wpada tutaj – wtrąciła Wiera.

Motyka kiwnął głową.

– Włamywacz może jest mało subtelny, ale podstawy fachu ma obczajone. To teraz tu? – Spojrzał najpierw w dół, na wystający z ziemi kawałek metalu, a potem na Wierę.

– Tak. Zobacz – te deski zostały wyjęte, koleś przekopywał ziemię, bo trochę rozsypał na boki i nie sprzątnął dokładnie, dlatego zauważyłam. Dokopał się pewnie

do czegoś, może coś zabrał, może nie, cholera go wie. W każdym razie kierownicę zostawił, a może i cały rower.

– Myślałem, że nic mnie już nie zdziwi. – Technik nachylił się nad otworem. – Ale po kiego trzymać rower pod podłogą w sieni?...

– Właśnie. Czarna kura, jajko, podkowa, święcone ziele – to rozumiem.

– Rozumiesz? – Motyka spojrział na nią. Był miłym chłopkiem z olsztyńskich bloków.

– Rozumiem siłę ludowego przesądu. – Wiera wzruszyła ramionami. Jej matka odczyniała takie hece, mimo że nie działały. No chyba że to było w intencji, żeby ojciec umarł, to wtedy tak, w tym przypadku akurat poskutkowało. – Zdobywasz przychyłność dla domu i domowników.

– Rower jest w spisie przedmiotów magicznych? – Motyka znowu się uśmiechnął.

Wiera zauważyła idącą wzdłuż ogrodzenia Marię Kobzę. Wysła jej naprzeciw, zapewne ku jej rozżaleniu, że niczego nie będzie mogła podejrzeć.

– O, jak energicznie pracuje nasza policja. Pani Karolina, znaczy pani Stykowska, będzie zbudowana taką postawą. – Kobieta mówiła to, patrząc na Jezierską, ale co chwilę lekko przekrzywiała głowę, próbując dojrzeć, co się dzieje za uchylonymi drzwiami.

– Taka służba. – Wiera wzięła od niej kartkę ze starannie wykaligrafowanym numerem telefonu. – Powiadomiła ich pani?

– Tak. No, szczęśliwi nie byli, ale mają ubezpieczenie. Tylko ta świadomość, że ktoś obcy myszkował, był, dotykał ich rzeczy...

Wiera poczuła wibrowanie w kieszeni. Wyjęła telefon. „Szef”, zobaczyła na wyświetlaczu.

– Dziękuję. Jakbyśmy czegoś potrzebowali, mamy pani numer. – Odwróciła się od Kobzy i zaczęła powoli iść wyłożoną kamieniami ścieżką. – Tak, szefie? – powiedziała do aparatu.

– Ten rower... Przypomniałem sobie o starej sprawie. Dwa tysiące piętnasty chyba, może trochę wcześniej, w każdym razie te okolice czasowe. Było zgłoszenie o zaginięciu. Rower i...

– Wiera, mamy tandem! – Jezierska zobaczyła w drzwiach Mariusza Motykę. Ręką dał jej znać, żeby przysła.

„Tandem?”, zdziwiła się. To jak duży jest ten dół?

– ...i facet – ciągnął Kosoń. – Przyjezdny. Zaginęli, wszelki ślad po nich zaginął. Może to zupełnie nie *à propos*, ale mi się przypomniało, jak powiedziałaś o tym rowerze. No i zdaje się, że to było...

Wiera weszła po kamiennych schodach do sieni. Na podłodze leżał rower. Stary, poznaczony rdzą, typowe wiejskie jeźdźdło – rama, dwa koła i sfatygowane siodełko. Pojedyncze. O co Mariuszowi chodziło z tym tandemem?...

Motyka stał nad wykopem i patrzył na Wierę zachęcająco.

Podeszła. Schyliła się. Zobaczyła ludzką czaszkę oblepioną kępkami włosów i fragment brudnego, postrzępionego ubrania.

– Taki tandem. – Technik pokiwał głową.

Wiera podniosła telefon do ucha.

– Jest i facet, szefie – powiedziała.

ROZDZIAŁ 2

1946, Podhale

Usiadł na zydlu, łokcie podparł na stole i położył na nich głowę. Mdlilo go, trochę wczoraj chyba przeholował z redykówką, ale taka tradycja na Świętego Michała, jak bacowie wracają z hal.

– Kie duje halny, górále tez pijom – szepnął sam do siebie.

A wiało. Zaczęło się właśnie wczoraj. Rano ciepły wiatr, potem mocniejszy, a w nocy jakby chałupę chciało gdzieś wywiać, nie wiadomo dokąd. Tak mu się źle zrobiło, jak to sobie wyobraził, że już nie ma w Dunajcu ojcowizny, że gdzieś, het, wicher te bale porwał, aż wyciągnął gorzałkę. Pomogło – do ranka, kiedy się obudził.

Zresztą może to od czego innego go mdlilo?... Podniósł głowę, spojrzął na wiszący nad drzwiami krzyż. Znowu poczuł falę mdłości, takie kręcenie od żołądka i wyżej, aż do gardła. Na chwilę wstrzymał oddech, powoli przełknął ślinę. Przeszło. Silną miał głowę, żołądek też.

Powoli wstał z zydlu, przeszedł przez izbę, do sieni, i wyszedł na zewnątrz. Ucichło już, nawet słońce się pokazało. Przeszedł kilka kroków i klapnął na ławie. Oparł plecy o ścianę.

Wczoraj słyszał, jak mówili o tym, co się wydarzyło w przeszłym roku w Zakopanem. Nikomu ponoć nic się nie stało, ale wcześniej ostrzelali dom dziecka z karabinów maszynowych. I granaty rzucali. Co do tego, czyje jest Podhale, to nie miał wątpliwości, no przecież jest ich. Jak „Ogień” mówił, że trzeba usunąć, to miał rację. Ale dzieci?... Do gardła znowu podeszła mu kolejna fala żółci. Przełknął ją. Te dzieci podobno zabrali, wywieźli za granicę. Ale są inne i inni. „Trzeba tępić bezlitośnie”, tak się mówiło wtedy, na wiosnę, zaraz po wojnie. Ale to była inna sytuacja, zresztą to byli dorośli, a tam... Rok i pół, tyle czasu, i jeszcze to trwa.

Zamyślił się. A może to jednak inaczej być powinno? Może źle robią, i oni, i on. Może to na obrazę Boga?

– Bóg wsynda, to i w cęku siedzi – szepnął do siebie.

W tym, co w Niego wierzy, w swoim. W tych obcych – nie.

– Czyli wszystko nie tak, jak Pan Bóg przykazał: góry nad jeziorem, facet pochowany z rowerem, dom postawiony na piasku. – Prokuratorka Maria Przyzwan ostatni raz zaciągnęła się papierosem, rzuciła niedopałek na chodnik, rozgniotła go czubkiem szpilki, po czym celnym ruchem zmiotła resztki do kratki kanalizacyjnej. Wyglądała bardzo dobrze. Po komendzie chodziła plotka, że ma kogoś. Wierze, znającej już trochę panią prokurator i jej poglądy na świat, trudno było uwierzyć, że to, czy obok jest jakiś facet, czy go nie ma, miałyby przesądzać o zadowoleniu Przyzwan. Podejrzewała raczej, że to wykorzystany do oporu zaległy urlop korzystnie wpłynął na samopoczucie prokuratorki. Sprawa Szańca ją zgięła, ale już wróciła do pionu.

– No. A trzeba na skale, po Bożemu. – Wiera kiwnęła głową.

– Cytujesz poradnik Castoramy czy w Biblię idziemy? – Przyzwan niby zapytała, ale nie czekając na odpowiedź Jezierskiej, skierowała się w stronę wejścia do komendy.

Wiera miała podobne odczucia, co prokuratorka. Choć na razie wiedziała niewiele, podskórnie czuła, że w tej sprawie nic się nie będzie zgadzać. Postanowiła jednak się nie nakręcać. Ruszyła korytarzem za Przyzwan, w smudze zapachu jej doskonałych perfum.

*

– Dwa tysiące czternasty, czyli byłem blisko. – Janusz Kosoń znowu zajrzał do akt. – Niby to była zwyczajna sprawa, zaginięcie, co roku dwadzieścia tysięcy Polaków wychodzi z domu i nie wraca, ale ten rower był ciekawy...

– Szef prowadził to dochodzenie? – zapytała Wiera.

– Nie. Jarek Sidorczuk, dlatego chwilę mi zabrało przypomnienie sobie szczegółów. Niedługo przed twoim przyjściem Sidorczuka przenieśli do Suwałk. Awans dostał, raczej przez nikogo nieoczekiwany, a potem córka starego wyszła za mąż za jego brata. Taki przypadek. Będziesz musiała z nim pogadać.

– Przejrzę dokumenty i możemy się zbierać.

– Ty możesz się zbierać. Stary tobie przydzielił tę sprawę. Ja tylko pomagam.

– Ale... – zaczęła i urwała. Do tej pory zawsze była podpięta pod Kosonia. Chwilowy stres zastąpiła jednak niedawna ekscytacja. – Co wiadomo o tamtym zaginionym? – zapytała energicznie.

– Nazywał się... – Koson przesuwał palcem po wydruku – ...Grzegorz Chyc.

– Chyc to nazwisko nie stąd – zauważyła Wiera.

– Zgadza się. Het, het od Jeziorowskich. Facet był z Podhala, z Nowego Targu.

– Baca, juhas, gazda czy zbójnik? – zapytała Przyzwan. – Bo na Podhalu facet mógłby być jeszcze tylko księdzem, a ten nie wyglądał. – Przekreśliła akta w swoją stronę i wpatrywała się teraz w zdjęcie młodego, przystojnego mężczyzny z orlim nosem. – Ciacho. Zresztą kolejnego księdza byśmy nie chcieli, nie?

Odpowiedziały jej dwa przeczące pokręcenia głowami.

– Chyc wyjechał z domu, z Nowego Targu, do roboty na Mazurach – powiedział Kosoń.

– Kto zgłosił zaginięcie? – zapytała Wiera.

– Matka.

– Taki ładny i samotny? – Przyzwan stuknęła ołówkiem w fotografię zaginionego.

– Dojdziemy i do tego – odparł Kosoń. – Więc zgłoszenie było od matki, mieszkali razem.

– Miał trzydzieści cztery lata. – Wiera wpatrywała się w akta sprawy.

– To się musiało źle skończyć. – Przyzwan podeszła do okna i je otworzyła. – Duszno tu, trzeba wietrzyć. Ty uważasz, że świeże powietrze jest dobre tylko na zewnątrz, co, Janusz?

– Co za dużo, to niezdrowo. – Komisarz wygodniej rozparł się na krześle. Między palcami przetaczał pudełko zapalek. – No, czytaj dalej, Wiera.

– Więc matka zeznała, że syn pojechał na Mazury, żeby pomóc w składaniu przenoszonego z Podhala starego domu. Zatrudnił go facet, który ten dom kupił.

– Gadałaś już z właścicielem? – zapytała Przyzwan.

– Z właścicielką. Ale to jacyś nowi ludzie, bo Kobza, ich sąsiadka, ta, która zgłosiła włamanie, powiedziała, że oni mają ten dom od trzech lat. „Na jesieni minęły trzy lata”, tak powiedziała, więc to nie Stykowsy zajmowali się budową, znaczy tym składaniem domu. Matka Chyca zeznała jeszcze, że nie znała szczegółów, ale że syn w taki właśnie sposób zarabiał na życie – najmując się na budowy w różnych

miejskach. W ruchu był. Zajmował się ciesielką. O ojcu Chyca ani słowa, pewnie nie żyje. – Wiera znowu pochyliła się nad aktami. – Jest za to o dwóch innych góralach: Macieju Nowaku i Marku Zychu. Jeden też z Nowego Targu, a drugi z Zakopanego. Byli w tej ekipie. Przyjechali oddzielnie. Po Chyca zjawił się właściciel, dużym samochodem, zabrał syna i rower.

– Czyli nasz zamordowany był zżyty i z matką, i z rowerem. – Przyzwan zsunęła jedną szpilkę ze stopy i machała nią w powietrzu. Wiera zauważyła, że prokuratorka ma pomalowane paznokcie. Może jednak coś było w tej plotce o facecie.

– Matka nic nie wiedziała o tym zleceniodawcy. „Syn mi się nie zwierzał z takich spraw” – przeczytała Wiera. – Ciekawe, z jakich się zwierzał.

– Może będziesz miała okazję ją zapytać. A to ten Sidorczuk ją przesłuchiwał? – zapytała Przyzwan.

– Nie. Ktoś z Nowego Targu. Zaraz... Antoni Gazda, komisarz.

– Gazda. Adekwatne nazwisko. – Przyzwan zdjęła drugi but.

– Typowo góralskie. – Kosoń się uśmiechnął.

– Karpackie – uściśliła Przyzwan. – No dobra, jedźmy dalej.

– Dalej jest, że Chyc wyjechał piętnastego lipca dwa tysiące czternastego roku. Miał wrócić zaraz po pierwszym tygodniu września. Z matką rozmawiał, krótko, dwudziestego dziewiątego sierpnia. Ósmego września matka do niego dzwoniła, ale telefon był wyłączony. Spróbowała następnego dnia, i tak przez dwa kolejne – głucho. Kolega z Nowego Targu i ten drugi wrócili ostatniego dnia sierpnia. Po robocie nie mieli już kontaktu z Chycem. Matka zawiadomiła policję.

– Telefon Chyca?... – Przyzwan spojrzała na Wierę.

– Ostatecznie logowanie z okolic Jeziorowskich szóstego września. Potem nic.

– Czyli to przypuszczalna data śmierci. Jeśli to oczywiście nasz góral. Trzeba będzie zrobić badania DNA, ale rower przemawia za Chycem, skoro to takie papużki-nierozłączki były.

Wiera kiwnęła głową.

– Co do tego, z kim Chyc był zżyty, to w aktach jest też mowa o Sylwii Buczek.

– Jego dziewczyna? – zapytała Przyzwan.

– Była dziewczyna. Matka o niej wspomniała. Że jest, ale trochę jakby nie była. Kiedy poszła do niej, żeby zapytać o syna, usłyszała, że rozstali się przed jego wyjazdem i od końca lipca Buczek nie miała z nim kontaktu. I że wcale nie chce mieć.

„Układało im się różnie, to fakt, mój syn nie był święty, to też fakt, ale nie wiedziałam, że się rozeszli. Długo już byli razem, to było przyklepane, trudno uwierzyć, że naprawdę się skończyło” – przeczytała Wiera. – Syn mieszkał z matką, a u Sylwii pomieszkiwał, bo ona, też z Nowego Targu, zajmowała dom po babci – w złym stanie, wymagający remontu. „Syn nawet mówił, że będzie remontować, bo będą się żenić, ale potem wyjechał do tej pracy i...”

– I już niczego więcej nie wyremontował. No dobra, a co mówił ten facet, który go zatrudnił? Jak mu było?

– Świątkowski.

– Właśnie. Świątkowski.

– Zaraz, przed chwilą to miałam. – Wiera kartkowała dokumenty. – O, jest. No więc on zeznał, że zabrał Chyca z Nowego Targu, bo i tak był na Podhalu. I że Chyc miał zostać u niego najdłużej, bo robił drewnianą wykończeniówkę w środku. Ci dwaj górale, od zgrubnej roboty, wrócili do domu, bo czekała na nich praca w polu, a Chyc mógł jeszcze zostać, bo on swoją ziemię dzierżawił. Ci z kolei zeznali, że Chyc „czasem przeholował z alkoholem”.

– Jak górale tak mówią, to znaczy, że pił na umór – stwierdziła Przyzwan. – A dlaczego ten Świątkowski nie zawiadomił policji o zaginięciu Chyca? – zdziwiła się.

– Bo, z tego, co zrozumiałam, to Chyc mu wcale nie zginął. – Wiera przesuwiała palcem po kolejnych liniijkach dokumentu. – Tu jest. Świątkowski zapłacił Chycowi ostatnią tygodniówkę z góry. Przyjechał, Chyca nie było, fakt, ale robota skończona. A wcześniej dostał od niego SMS. Szóstego września.

– Ostatnie logowanie było tego dnia – przypomniała Przyzwan.

– Tak. Więc dostał SMS: „Muszę wcześniej pojechać do domu. Wszystko skończone G.H.”. Coś tknęło Świątkowskiego, przez to „H”, no bo przecież Chyc był Chycem przez „Ch” nie Hycem przez „H”, ale, cytuję zeznanie: „Każdemu się może palec omsknąć na klawiaturze”. „Klucze były pod wycieraczką, robota zrobiona na błysk, w końcu każdy ma swoje życie”, dodał jeszcze. Dziesięć dni później przyszedł do niego, do Jeziorowskich, policjant, żeby zapytać o Chyca, bo matka złożyła zawiadomienie o zaginięciu. No i Świątkowski zeznał to, co właśnie przeczytałam.

– Sprawa była prowadzona pod kątem... – zaczęła Przyzwan.

– Zaginięcia – dokończyła Wiera.

– No to teraz się zmieni. Jak już oczywiście będziemy mieli formalne potwierdzenie, że nasz nieboszczyk to rzeczywiście Chyc.

– Ten spod podłogi nie miał przy sobie nic, co by pozwoliło go zidentyfikować.

– Prócz roweru. – Prokuratorka się uśmiechnęła. – Trzeba będzie zrobić badania.

– Tak – zgodziła się Wiera. – Ten rower jest naprawdę ciekawy. Widzę, że był też przepytywany Tadeusz Chyc, brat. Jest od kogo wziąć materiał porównawczy: matka i brat.

– No to podsumuj jeszcze, co mamy. – Przyzwan wsunęła stopy w szpilki, wyprostowała się, usiadła prosto, wyciągnęła notes i zawiesiła nad nim dłoń z długopisem.

– O włamaniu, jak już mówiłam, zawiadomiła Maria Kobza, sąsiadka Stykowskich. Nie taka najbliższa, bo oni mają działkę nad samym jeziorem, a ona mieszka we wsi, to znaczy przy głównej drodze. Jakoś się spiknęli, pewnie dlatego, że oboje się tu przenieśli z Warszawy – Kobza z mężem na stałe, oboje na emeryturze, dla Stykowskich to letnisko. Nie znali się wcześniej. Ta Kobza jest emerytowaną nauczycielką, poukładana jak numerki w dzienniku.

– I pewnie wścibska, mimo że „cudze życie mnie nie interesuje”. – Przyzwan wyciągnęła z torebki papierosy. – Nie będę palić, popatrzę sobie – uprzedziła pytanie Kosonia. – No, jedziemy, pani sierżant, bo nałóg woła.

– Kobza była na spacerze, przy okazji postanowiła przejść obok domu Stykowskich. Zauważyła, że jedna z glinianych donic przy wejściu jest przewrócona. Otworzyła furtkę, weszła, podniosła donicę i wtedy zobaczyła rozwalone drzwi wejściowe. Zajrzała, właściwie zrobiła obchód, zadzwoniła na policję. Przyjechałam, obejrzałam dom, w środku jakby się tajfun przetoczył, a w sieni były te kulki ziemi, i dlatego od razu odsunęłam chodnik. Ktoś, pewnie włamywacz, odbił gwoździe z desek, zdjął je i zaczął kopać. Aż się dokopał do zwłok.

– Na pewno? Może też się dokopał tylko do kierownicy? – zapytała prokuratorka.

– Na pewno. Głowa denata była oddzielona od ciała. I ze wstępnych oględzin wynika, że to się stało po śmierci. Ciało nikt nie ruszał po zakopaniu, a głowę – tak. Jakby kopał, trafił akurat na tę czaszkę, wyjął ją...

– ...przeżył nieprzyjemny dysonans poznawczy... – Przyzwan zakręciła pudełkiem papierosów na biurku.

– I z powrotem zakopał.

– Kluczowe jest pytanie, jak włamanie ma się do tego, co było pod deskami. Czy włamywacz przypadkiem trafił na Chyca, czy wiedział o zbrodni.

– Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to typowe włamanie. Chamskie, na rympał. Drzwi rozwalone, ogrodzenie z tyłu przecięte, zniknął sprzęt. Ktoś wiedział, że to letniak, że niebiednie w środku, że właściciele nie ma. Czego dokładnie brak, to oczywiście potwierdzą Stykowscy, mają być jutro wieczorem. Tylko skąd pomysł, żeby kopać pod podłogą? Więc może to włamanie jest przykrywką dla czegoś zupełnie innego. Tylko po co się dokopywać do zwłok? – Wiera spojrzała na Przyzwan.

Prokuratorka przez chwilę milczała.

– Klasycznie, to znaczy, kiedy ciało jest na cmentarzu, po to, żeby coś zabrać. Zwykle złoto. Teraz to rzadkość, bo ludzi się nie chowa z biżuterią, złote zęby zostały wyparte przez implanty. Kiedyś, podczas wojny i zaraz po niej, było inaczej. No i tu nie mamy cmentarza.

– Teraz to raczej akty wandalizmu. Albo głupoty. Kilka lat temu, jeszcze jak byłam w Szczytnie, była taka sprawa, gdzieś w Pomorskiem, że dwóch młodych facetów zdjęło płytę, otworzyło trumnę, zrobiło zdjęcie i potem wstawiło je w internecie. „Dla draki” – powiedziała Wiera.

– Kretynów nie brakuje. Jeszcze parę lat takiego szkolnictwa, jakie obecnie mamy, i jeszcze lepszych ministrów edukacji, a kretyni będą naszym towarem eksportowym. – Przyzwan wstała i podeszła do okna. – Bywają jednak i inne motywacje. W zeszłym roku na jesieni pojechałam w Bieszczady. Mała miejscowość, mały cmentarz. I historia, świeża, rok wcześniej się to stało. Facet, też młody, włamał się do grobowca. Wszedł, otworzył jedną z trumien. I teraz pytanie do pani, pani sierżant – w jakim celu to zrobił?

– Rozumiem, że nie rabunkowym. – Wiera spojrzała pytająco.

Przyzwan pokręciła głową.

– Czysty wandalizm też nie.

– Też nie.

– Jakież obrzędy? Czarna magia?

– Nie. Uważajcie, cytuję: „Chciałem zobaczyć, jak tam ludziom jest”.

– A w szkołach zakazują Halloween. Takie historie będą się powtarzać – stwierdziła Wiera.

Prokuratorka parsknęła.

– Widzę, że pani sierżant nabiera dystansu. Ale dobra, do ad remu, jak to mówią. Równolegle szukamy sprawcy włamania, tropów co do tego, dlaczego grzebał przy nieboszczyku, i potwierdzamy tożsamość naszego rowerzysty. W sumie... – Przyzwan wstała, energicznie odsunęła krzesło i podeszła do okna. Wyjęła z paczki papierosa i zapalarkę, usiadła na parapecie, lekko się wychyliła przez okno, pstryknęła i się zaciągnęła. Wypuściła mleczny obłok dymu na zewnątrz. – W sumie to może być nawet interesujące. I patrzcie, jaka ironia – facet leży na obcej ziemi, ale pod deskami z rodzinnych stron.

„Jakby go przeznaczenie przywaliło”, pomyślała Wiera.

ROZDZIAŁ 3

2012, Kraków

Wyszedł przed budynek. Zrobiło mu się słabo. Miał nadzieję, że kiedy zamieni tamtą duszną, małą salę na świeże powietrze, to poczuje się lepiej. Nic z tego. Dopiero teraz dotarło do niego z całą mocą to, czego przed chwilą się dowiedział. Niepojęte, że tak zareagował. To znaczy to, że tętno mu skoczyło, że serce kilka razy boleśnie się skurczyło, to była oczywista reakcja na stres, jakiego doświadczył. Żył z nim przez wiele lat, ale teraz nastąpiła kumulacja. Nie chodziło o fakty, które poznał i które od razu zamieniły się w jego głowie w przejmujące obrazy. Te obrazy towarzyszyły mu i wcześniej, kiedy przypuszczał, podejrzewał. Dręczył się nimi od lat. Rzecz w tym, że teraz zyskał pewność i już nie było od tego ucieczki. Wiedział i nie mógł tego cofnąć. I co dalej? „Może lepiej było, gdy ta sprawa była niewyjaśniona?”, pomyślał. Może z tym radził sobie lepiej niż z tą pewnością?

Przyjemność organoleptyczna była podwójna. Przede wszystkim „rowerzysta”, jak Przyzwan ochrzciła jej denata, przeleżał pod deskami wystarczająco długo i w odpowiednio sprzyjających warunkach, żeby nie wydzielać prowokującego do wymiotów zapachu. Co do wyglądu – tu bez fajerwerków, ale jeśli chodzi o zmarłych, same prawie kości to zdecydowanie lepiej niż kości obleczone nadpsutym ciałem. Na plus wybijała się za to cielesność Marka Józwika.

Wiera nie widziała patologa od sprawy Szańca. Na jesieni był utyłym abnegatem w ciuchach, które zawsze rozłaziły mu się w okolicy pępka. Teraz stał przed nią pięćdziesięciolatek, który najwyraźniej zamierzał się nie dać ani metryce, ani swoim przyzwyczajeniom: wyszczupłał, na wysokości talii nie było widać żadnego

wybruszenia, kości policzkowe wreszcie miały okazję wychynąć spod nalanej twarzy. „Nalanej”, Wiera złapała się na tym określeniu. Kosoń i wtedy, i teraz twierdził, że alkoholiczne ekscesy Józwicka to już przeszłość. „Dowody” z jazdy po pijaku, podkreślonej ekstazy, jednak były. I jeszcze zeznanie anonimowego kierowcy, który widział auto poruszające się zygzakiem. Gdy drogówka dojechała na wskazane miejsce, Józwicka nie było w samochodzie, stał obok, zdezorientowany. Silnik pracował, a w organizmie patologa alkohol mieszał się z narkotykami. Kiedy Józwick wytrzeźwiał, nie umiał wyjaśnić, co się stało, bo pamiętał tylko, że wsiada do auta, kładzie teczkę na siedzenie obok, a potem to już mgliście, że ktoś go szarpie, pakuje go i dokądś wiozą. Nieustająco się zarzekał, że nic nie brał, nie pije od dwóch lat, a narkotyków nigdy nie tykał. Ostatecznie skończyło się na półrocznym urlopie „dla poratowania zdrowia”.

– O, pani sierżant. Sama? – Józwick się uśmiechnął. Szpara między górnymi jedykami pozostawała niezmienna.

– Tak, to moja sprawa.

– Tym razem przynajmniej młodszy chłop się pani trafił. Choć sypnął się bardziej niż księżulo. – Żarty patologa też nie uległy zmianie.

– Za to pan w formie. – Wiera przyglądała mu się uważnie. Wcześniej irytowała ją przaśna obcesowość Józwicka, teraz sierżantka była trochę łaskawsza, ponieważ, podobnie jak Kosoń, uważała, że patolog został brzydko wrobiony.

Józwick przez chwilę się jej przyglądał, jakby oceniał, ile w tym stwierdzeniu ironii, a ile akceptacji. Najwyraźniej obstawił drugi wariant, bo podszedł bliżej i, już zupełnie serio, powiedział:

– Chciałem położyć na to wszystko lachę, ale nie, takiego, pomyślałem, nie dam im satysfakcji. Wziąłem się za siebie. – Poklepał się po brzuchu. – Zacząłem chodzić po lesie, nawet sobie kupiłem kijki. I psa. Ma pani psa?

Wiera pokręciła głową.

– Błąd. Nikt tak pani nie pokocha jak pies. To nic osobistego, po prostu psy są świetne. Więc mam Fulmara, bo on wygląda jak fulmar, taki ptak – jest szary z wierzchu i wszędzie indziej biały, i będę żył długo, i robił im wbrew. A co u pani?

– Też dobrze. Choć bez psa. – Nikogo, kto by ją kochał mniej niż pies, też nie było. – A co tam u naszego zmarłego? – Nie miała ochoty wkraczać na prywatny grunt, nawet w takiej zdawkowo miłej rozmowie.

– Cóż, po kilku latach od momentu zgonu możliwości stwierdzenia przyczyny

śmierci maleją, chyba że powód jest ewidentny. – Józwik spojrzał na ciało.

– Tu nie jest – stwierdziła Wiera.

– Nie jest – zgodził się patolog. – Głowa bez urazów, oddzielenie nastąpiło najprawdopodobniej teraz, podczas kopania w tym grobie. Swoją drogą to naprawdę interesujące, żeby tak faceta zakopać zaraz za progiem, i to z rowerem...

– A od czego mógł zginąć?

– Na oko od niczego brutalnego, ale on leżakował przez kilka ładnych lat, więc ziemia sporo z niego wyciągnęła. Nie widać uszkodzenia kości, zwłaszcza czaszki. Nie ma oczywistych rys na żebrach, na przykład od noża. Niczego sobie nie połamano. Mógł zostać otruty, uduszony. To był postawny facet, wysoki. Broniłby się. Jeśli nie ma ewidentnych obrażeń, to albo nie wiedział, że zaraz zostanie zaatakowany, co dało przewagę przeciwnikowi, albo z jakiegoś powodu, może na przykład był otumaniony, się nie bronił. Samobójcy sami się nie zakopują, więc ten wariant raczej nie pasuje. Przebadamy go dokładniej, ale jestem pewny, że każda opinia będzie się zaczynać słowem: „prawdopodobnie”.

– A czas zgonu?

– Też „prawdopodobnie”.

– A prawdopodobnie mógłby to być dwa tysiące czternasty rok?

– Bardzo prawdopodobnie. On nie nasz?...

– Nie. A to widać? – Wiera spojrzała na stół.

– No skąd, przecież nie odkopaliśmy neandertalczyka. Tak słyszałem. Nie od Janusza, na mieście.

– Roznosi się.

– Roznosi. Zaraz wam tu jakiś „Superak” albo „Fakt” wyskoczą z artykułem. „Spał na zwłokach brata” czy „Zakopała męża w korytarzu”. O, albo „Pedały w jednym grobie”.

– Obrzydliwe. – Wiera się skrzywiła.

– Obrzydliwe. A potem wyjaśnienie, że przecież nie takie intencje mieli, że to było o części roweru, że nie pomyśleli... A liczy się tylko to, żeby ludzie gadali i czytali. W każdym razie, bez względu na wszystko, powodzenia.

– Dziękuję – mruknęła Wiera. – Dziś skontaktuję się z Nowym Targiem w sprawie identyfikacji. Pobierzemy DNA od rodziny. Ile trzeba będzie czekać?

– Tydzień, może dłużej. Po tylu latach można sobie spokojnie poczekać, kilka dni

już nikogo nie zbawi. A kto go szukał u nas?...

– Jarosław Sidorczuk.

– Fiuuu, to już wtedy tak było. Robota nigdy nie paliła mu się w rękach. Nic dziwnego, że nie udało mu się znaleźć chłopiny.

*

– Kiszka czy kartacze?

– Kiszka. – Wiera starała się nie jeść mięsa, ale znaleźć w tym barze coś, co byłoby całkowicie wegetariańskie, granoczyło z cudem. Mogłaby zamówić ziemniaki z surówką, ale nie chciała się wygłupiać i źle do siebie nastrajać Jarosława Sidorczuka, który, z wyglądu sądząc, nie przeżywał żadnych rozterek moralnych, jeśli chodzi o jedzenie, i za nic miał dobrostan zwierząt. Właściwie to chyba w ogóle nie przeżywał żadnych życiowych rozterek. Z kwadransa rozmowy, jaką przeprowadzili w drodze do Obiadkowa („nazwa jak z *Kubusia Puchatka*”, pomyślała Wiera), wyłonił się obraz spójny z opisem Józwicka i Kosonia – Sidorczuk był poczciwym i prostolinijnym facetem z odpowiednimi plecami, wybierającym na obiad megaschabowe, a w niedzielę chodzącym do kościoła. I zupełnie nienadającym się do pracy w policji.

– Biedne jedzenie. Dobrze, że choć skwarki są. Skwarki zjesz, nie? I tak je dadzą, to co się ma marnować. Kompot?

Wiera kiwnęła głową. Sidorczuk umówił się z nią na komendzie, ale gdy przyjechała, już się kręcił pod budynkiem i prawie od razu zaproponował obiad.

Usiedli przy stoliku.

– W lecie to przyjemniej na zewnątrz. Ale jest, jak jest, na razie za zimno. Wtedy, co on zaginał, to było ciepło, pamiętam. Ładne lato. Chodziłem do tej góralskiej chałupy rozmawiać z właścicielem. Jak mu było?...

Wiera otworzyła notes.

– Świątkowski. Adam Świątkowski.

– Właśnie. Miły człowiek. Spokojny, ułożony, starszy już. Pamiętam, że nawet się wtedy dziwiłem, że tak mu się chce, w jego wieku. Tyle zachodu, starań... On był przy pieniądzach, sam rąk nie brudził pracą fizyczną, no ale było dokoła czego chodzić – pozwolenia, przyłącza, robotnicy...

– A pytałeś go, po co mu ten dom? – Wiera wzięła łyk kompotu. Był słodki,

właściwie za słodki, ale chciało się jej pić i była już głodna.

– Ładna okolica, spokój, w sumie zrozumiały wybór.

– Ale dlaczego akurat z gór ściągnął dom? Mógł sobie nowy postawić, stylizowany.

– Postawił, jaki chciał. Ja to w ogóle nie lubię góralszczyzny, a on jeszcze starość przez pół Polski wioził, ale na Mazurach nie takie paskudy ludzie budują, kwestia gustu. A on o sentymencie mówił. Że coś go w góry ciągnie.

– No to mógł się tam pobudować. Lub kupić coś starego na Podhalu.

Sidorczuk pokiwał głową.

– No może i mógł. Zresztą kto bogatemu zabroni? Ale on to w ogóle był taki... No miły, jak mówiłem, ale i dziwny jednocześnie.

– W sensie?... – Wiera znowu sięgnęła po kompot.

– W sensie, że nie swój chłop. Nawet nie chodziło o to, że inteligencik, chociaż on był wykształcony. Po prostu z innej gliny ulepiony.

– Był podejrzany?

– Nie. Motywu nie miał żadnego. Może mógłby mieć finansowy, chociaż jeździł bardzo dobrym autem, i to kupionym w salonie, nie żaden sprowadzany z Niemiec gruchot, żeby niby nie zapłacić za robotę, ale tamci dwaj górale zeznali, że oni rozliczyli się już wcześniej. No i najważniejsze: miał alibi na ten czas, co Chyc hycnął, patrz, jak śmiesznie mi się powiedziało, bo miał rehabilitację, codziennie. Był z Sulejówka, to pod Warszawą jest, kawałek z Jeziorowskich.

– Gdyby się uparł, toby mógł dojechać... Ale dlaczego był? Dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym? – zdziwiła się Wiera.

– No bo nie żyje.

– Megaschabowy i kiszka raz! – rozległo się od okienka.

– Przyniosę. – Sidorczuk wstał, potrącając brzuchem stół. Szklanka z kompotem niebezpiecznie się zachybotła. Wiera złapała ją i przytrzymała w miejscu. Dałaby sobie rękę uciąć, że w aktach nie było nic o śmierci Świątkowskiego.

– No, na zdrowie. – Sidorczuk położył przed nią talerz z dwoma pętami kiszki ziemniaczanej, które moczyły się w oleistej zawieszynie cebuli i grubo krojonych skwarek.

– Nie znalazłam informacji o śmierci Świątkowskiego – powiedziała, patrząc, jak policjant sprawnie sunie nożem przez grubą panierkę schabowego.

– Może faktycznie nie być. Tak jak i tej, że Chycowa też umarła.

– Matka Chyca? – Fakt, tego też w aktach nie widziała.

– No. To było już kilka lat później. Najpierw umarła ona, a potem on.

– Nic w dokumentach nie ma – powtórzyła Wiera. Czuła, że w gardle rośnie jej gula. Nie znosiła fuszerki w robocie.

– Niedopatrznie pewnie, że brak aktualizacji... Ale to było bez związku ze sprawą. Z tą matką to się dowiedziałem od Antka, znaczy Antoniego Gazdy. Fajny chłopak. Więc on zadzwonił i zapytał, czy coś mamy, może się ruszyło po naszej stronie, bo ona choruje, ponoć już bardzo, i przed śmiercią chciałaby się czegoś dowiedzieć o synu. Niestety, nic, przepadł jak kamień w wodę... Zresztą była i taka koncepcja, że się albo utopił, albo ktoś go zabił i wrzucił do wody, ale psy nie podjęły śladu. Więc nie było nic, a matka umarła, Antek mi SMS wysłał. Jakaś paskudna choroba kobieca, chyba nowotwór. – Sidorczuk nabrał na widelec kopczyk bladożółtego piure.

– A Świątkowski? Jak umarł?

– Zwyczajnie. Zawał czy udar. Niemłody był. Tu koledzy z Sulejówka dali informację. W domu umarł, tam, u siebie. Nawet dwa czy trzy dni tak sobie poleżał, bo sam mieszkał. Sąsiad się dopiero zainteresował, że u niego ciemno, a auto jest. Taki los. – Westchnął Sidorczuk i na chwilę odłożył sztucce. – Jedz, zimne niedobre. Chociaż zimne ziemniaki mają dużo niższy indeks glikemiczny... tak lekarz mi mówi – dodał, patrząc na Wierę.

Wiera była przekonana, że lekarz użył bardziej stanowczego określenia. Odkroiła kawałek kiszki. Była dobra, ale zbyt tłusta. W Obiadkowie wszystko było nadmiarowe – cukier w cukrze, tłuszcz w tłuszczu, wielkość porcji.

– Niedobrze mieć niedomknięte sprawy, ale tam naprawdę żadnego punktu zaczeplenia nie było, żadnego śladu. – Sidorczuk się zamyślił. – W sumie tylko matka się tym zaginionym interesowała, jak to matka zresztą. Poza tym jakby nikomu nie zależało.

„A tobie zależało?”, pomyślała Wiera. Mimo że nie chciała, pomyślała o Zielonej Dolinie. Była u matki w zeszłym tygodniu. Równie dobrze mogłaby nie być, matce na pewno bez różnicy, wbrew temu, co twierdziły siostry. Że matka z pewnością czuje, że trzeba się zachowywać i mówić tak, jakby wszystko rozumiała. Wiera w ogóle nie potrafiła mówić do matki, w sumie to nigdy. No, może jak była mała. Szybko się skończyło, no bo jak dziecko ma rozmawiać z matką, która się boi, płacze albo

zamyka w sobie. Albo ojciec ją zamyka w komórce. Potem, gdy ojciec umarł, jakoś można było próbować, ale Anka tak skutecznie zaanektowała matkę, że dla Wierzy niespecjalnie znalazło się miejsce. Teraz siostra też się uaktywniła. „Za trzy tygodnie święta, chyba przyjedziesz na śniadanie wielkanocne?”. SMS piknął akurat wtedy, kiedy Wiera siedziała w fotelu, patrząc na tę obcą kobietę, która była jej matką. Z takim samym zaproszeniem wystartowała siostra Danuta. „Cholerne kółko różańcowe”, pomyślała Wiera i nic nie odpowiedziała – ani Ance, ani siostrze Danucie.

– A ten Gazda?... On, jak słyszę, był zainteresowany sprawą.

– A był, był. – Sidorczuk włożył do ust ostatni kawałek kotleta. – Nawet tak bardziej po ludzku, prywatnie, jak z tą matką.

– W sumie takie zainteresowanie policjanta jest wzruszające.

– No, trochę. Ale oni tam inaczej żyją. Wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą, bardziej nawet niż u nas. Jest tam jakaś lokalna... – Sidorczuk się zawahał i umilkł.

– Zmowa? – Może jej myśli pobiegły złym torem i zamiast odruchów serca było mataczenie.

– Solidarność – tak bym to ujął.

Wiera przypomniała sobie licealny wyjazd do Zakopanego. Pierwszy i jedyny raz była wtedy w górach. Zrobiły na niej ogromne wrażenie. I fakt, ludzie wydali się jej inni. U nich sitwa, tam – niech Sidorczukowi będzie – solidarność. „Wyrwać się z tego grajdołka”, pomyślała. Wszędzie jest lepiej niż w tej jej dziurze.

– A co wiesz o tej Sylwii Buczek? – Wiera dopiła resztkę kompotu. Będzie musiała domówić wodę.

– To było nawet ciekawe. Zeznała, że się rozstali, bo on był narwany i w ogóle byli niedopasowani, ale miałem wrażenie, że nikt nie brał tego serio. Ani ten zabity, ani jego matka, ani nawet Antek. Takie przekomarzanie się. Alibi miała, jakby co, to nie było sensu drążyć.

Wiera kiwnęła głową. Wszyscy mieli alibi. A facet wylądował pod deskami.

– A pamiętasz, jak wtedy obstawiałeś, co się z nim stało? Która koncepcja wydawała ci się najbardziej prawdopodobna?

Sidorczuk wytarł usta chusteczką i spojrzał Wierze w oczy.

– Najpierw wszystkie – że jakiś wypadek i leży w rowie, potrącony przez tira, że za dużo wypił, bo podobno alkoholu nie odmawiał, że ktoś go zabił, że sam się zabił,

przypadkiem, że rzucił wszystko w cholerę i nie chciał wracać... Potem – żadna. Ten rower, co zniknął i się nie odnalazł, też trochę bruździł. Po prawdzie z ulgą odłożyłem ją jako niewyjaśnioną. Czasem tak bywa, że nie dojdiesz, ni cholery. W policji i życiu trzeba wliczyć i takie przypadki.

ROZDZIAŁ 4

2014, Jeziorowskie

„Co w domu powstaje, to w domu zostaje”.

Tak, to był dobry pomysł, żeby go tu zostawić.

Ostatnia deska wróciła na swoje miejsce. Fart, że tych kilku nie zdążył jeszcze przybić po poprawkach, byłoby więcej roboty z odrywaniem. Gdyby o tym wiedział, może by się pospieszył. W ogóle – byłby czujniejszy. Więc pospieszyłby się i miałby grób gdzie indziej, kiedy indziej obstalowywany... A tak to sobie tu legnie, swojsko... Cholerny rower, bez niego dwa razy szybciej dałoby się sprawę ogarnąć. Ale rower był i należało się go jakoś pozbyć. Z ciałem sprawa też nie była oczywista. Facet duży, ciężki, gdzie go nieść? Z jeziora wypłynie, w lesie zwierzęta mogą się dokopać. A tu... Tu nikt go nie będzie szukał. Proste rozwiązania są najlepsze. Chociaż...

To się wcale nie okaże takie proste, zwłaszcza gdy za jakiś czas inne deski skryją kolejne ciało.

– Krucafuks, no taka sprawa. Jak się wczoraj dowiedziałem, to żem się zdziwił. – Antoni Gazda mówił niby normalnie, ale Wiera miała wrażenie, że każdy wyraz, który wypowiada, wyciąga do góry. Brzmiało to interesująco. Patrzyła przez okno pokoju komendy. Płasko, betonowo. Ciekawe, jaki widok ma komisarz w Nowym Targu.

– Myślał pan, że on się odnajdzie żywy?

– E, to nie. Jakby żył, toby wrócił do domu, bo do domu się wraca. Skoro nie wrócił, znaczy, że nie żyje, to prosta sprawa. Ale pochowany z rowerem?...

– No, z rowerem. – Wierze nagle zrobiło się głupio, jakby się miała tłumaczyć z tego, że ktoś u nich nie dość, że zamordował Grzegorza Chyca, to jeszcze zakopał go z rowerem. – Trzeba będzie wziąć materiał genetyczny, żeby potwierdzić tożsamość. Wiem, że matka nie żyje...

– Ano nie żyje. Może to i lepiej?... Śmierć dziecka to zawsze śmierć dziecka. – W głosie Antoniego Gazdy było coś jeszcze, czego Wiera nie potrafiła nazwać, a co sprawiało, że... – Bez względu na wszystko – dodał komisarz.

To zabrzmiało już inaczej.

– ...ale jest brat – dokończyła Wiera.

– Jest, Tadeusz. Już z nim wczoraj rozmawiałem, jak tylko przyszła informacja. Mieszka niedaleko, w Obidowej. Materiał będzie. Ze dwa tygodnie pewnie się zejdzie?

– Może krócej. A on jak to przyjął?

– Z ulgą, można powiedzieć. W sensie, że wreszcie pewnik, można zostawić domysły i po ludzku, ale i po Bożemu pochować.

– Z ulgą... – powtórzyła Wiera. – Przeczytałam dokładnie akta i wynikało z nich, że ta ulga mogłaby być spowodowana także charakterem Grzegorza Chyca.

Antoni Gazda nie podjął wątku, więc Wiera ciągnęła:

– A wczoraj widziałam się z Jarkiem Sidorczukiem i od niego wiem, że Chyc miał opinię narwańca i brutala, szczególnie po wódce.

– Jarek. – Gazda się ożywił. – Fajny chłopak.

– Fajny – zgodziła się bez emocji Wiera. – Matka przyznała, że Chyc nie był idealnym synem, Sylwia Buczek mówiła o zapalczywości, a koledzy, że czasem przeholował z pićm. A według pana jaki był Grzegorz Chyc?

– Normalny. Jak każdy – powiedział Gazda. – Pił czasem, też jak każdy. Czasem z tęsknoty, czasem z radości, a także zupełnie bez powodu.

– A jak pił, to robił się agresywny?

– Pani o tę Buczek pyta?

– A zasadnie?

Gazda westchnął.

– Czasy teraz takie, że w rodzinie wszystko staje na głowie. Chłop się może pogubić. No, może w przypadku Sylwii Buczek gubił się za bardzo, ale tyle lat byli razem...

– Ona go rzuciła, tak zeznała.

– Zeznała, to zapisałem, ale nikt nie dawał temu wiary. Tam po prostu było... –
Gazda się zawahał – ...intensywnie.

Wierę przeszedł nieprzyjemny dreszcz. W tonie Gazdy, gdy mówił o Buczek, można było wyczuć pobłażliwość. I jakieś swojskie przyklepywanie brzydkiej rzeczywistości.

– Złożyła na niego skargę? Niebieska karta?...

– Nie, to wiedza pozaoperacyjna.

„Wiedza pozaoperacyjna. Bardzo zgrabne określenie”, pomyślała Wiera. Kolejny skurcz przeszył jej bark, bo ona też miała taką wiedzę w przypadku tej Moroń z Biedaszek. I co? I nic. „Trzeba było wcześniej”, to była standardowa formułka wszystkich, którzy wiedzieli, a nic nie zrobili, bo co mogli zrobić, kiedy sama zainteresowana, znaczy bita i maltretowana, nie chciała sobie pomóc. A potem on jeden raz przeholował i... W tym przypadku, jakkolwiek było, to się już nie wydarzy.

– Ale to ślepy trop, jeśli pani o tym myśli. Po pierwsze, to bardzo spokojna dziewczyna, a po drugie, to ona się wcale nie ruszała poza Nowy Targ w tamtym czasie.

– To też wiem.

– No. A tego, co się tam włamał, to namierzacie jakoś? W jakim to idzie kierunku – że miało związek z Chycem czy nie?

– Na razie nie wiemy – przyznała Wiera. Włamywacz, kimkolwiek był, nie zostawił śladów. Może i brak mu było finezji, ale w rękawiczki lateksowe zainwestował. Jedyna szansa, że fanty niedługo wypłyną.

– No, nie od razu Kraków, jak to mówią. Będziemy w kontakcie, jakby pani sierżant czegoś potrzebowała, proszę dzwonić.

Odłożyła telefon. Z jednej strony w tym Gaździe była jakaś niepokojąca nuta, którą dobrze znała ze swojego podwórka, a z drugiej... „Ciekawe, jak on wygląda?”, pomyślała. Wróciła do biurka, wpisała w komputer nazwisko nowotarskiego komisarza. Oficjalne zdjęcia każdemu ujmują urody. W skali „interesujący” leci się przynajmniej o jedno oczko w dół. Jeśli dołożyć do tego służbowy uniform, to spadek jest boleśniejszy. Tymczasem Antoni Gazda wyglądał naprawdę dobrze. Naprawdę. Czterdzieści trzy lata, szczupła, pociągła twarz, błyszczące brązowe oczy, orli nos. Był trochę podobny do Chyca, ale wydawał się łagodniejszy i bystrzejszy. „Nakładasz

na te zdjęcia to, co już wiesz”, pomyślała. Musiała się pilnować, żeby nie osądzać Chyca, bo na razie jedynym pewnikiem było to, że nie żył. A w przypadku Gazdy – że był bardzo pociągający.

*

Zaparkowała w tym samym miejscu, co poprzednio. Łąka po lewej stronie była rozjeżdżona przez samochody. „Odrośnie, jak to się przewali”, pomyślała. Zabrała z siedzenia teczkę, zamknęła drzwi i poszła w dół.

Na razie powinna się skupić na włamaniu, do sprawy Chyca potrzebne było potwierdzenie tożsamości. Była jednak przekonana, że to właśnie jego ciało ktoś zakopał w tym domu.

Minęła młodniak. Dostrzegła biało-niebieską taśmę przeciągniętą przez ogrodzenie. Doszła do furki, schyliła się i weszła na teren posesji. Zatrzymała się. Miała teraz widok na całą działkę i dom. „Co tu zaszło?”, pomyślała. „Wtedy i teraz?”

Wczoraj wieczorem siedziała w wąskiej kuchni służbowego mieszkania, jadła kanapki z serem i ketchupem i przeglądała materiały z tej sprawy. Potem sięgnęła po gruby zeszyt A4 w twardych porysowanych okładkach. Miała w nim notatki z wykładów ze Szczytna. A dokładniej – przepisane te fragmenty, które wydały się jej wtedy ważne. Nie zapisywała teorii, paragrafów, przepisów i tego, co trzeba było wykuć na pamięć, żeby zaliczyć. Wybierała to, co miało być jej drogowskazem, kiedy jeszcze będzie jej brakowało doświadczenia. Te zapiski, które odnalazła, dotyczyły spraw otwieranych na nowo po latach. Przyjechał do nich wtedy szef krakowskiego Archiwum X. „Żeby poczuć sprawcę, trzeba znaleźć się na miejscu przestępstwa. Upływ czasu sprawił, że czynności nie da się już odtworzyć, pozostaje zatem układanie kolejnych faktów w całość. Niekiedy pomocą w rozwiązaniu nierozwiązanej do tej pory łamigłówki będzie nowoczesna technika, na przykład kod DNA, innym razem badanie na wariografie, ale zawsze konieczne jest wytrwałe «węszenie». Pojedźcie na miejsce zbrodni, oglądajcie, rozpytujcie. Słuchajcie intuicji”.

Intuicja mówiła jej, że między włamaniem a morderstwem Chyca musiało być jakieś powiązanie. „Jakieś” wydawało się jej tu kluczowym słowem. Złodziej chciał zwinąć to, co ukradł, ale było coś jeszcze – coś, co sprawiło, że zajrzał pod te deski. Nie szukał jednak szczątków Chyca, tylko... No właśnie – czego?

Szła brukowaną ścieżką w kierunku domu. Na jednym z kamieni pośliznęła się

i z trudem złapała równowagę. W nocy padało, a w tym miejscu było lekkie obniżenie i zostało trochę wody. „Ładne, ale nefunkcjonalne”, stwierdziła, patrząc na powtykane w ziemię otoczaki. Zbliżało się południe. Słońce oświetlało front domu. Kiedy była już bardzo blisko, nachyliła się w stronę grubych drewnianych bali. Poczula przyjemny, żywiczny zapach. Obeszła budynek, rozglądając się dokoła. „Ładny kawałek ziemi”, pomyślała. „Naprawdę niezła miejscówka”. Dziś wieczorem mieli przyjechać Stykowsy, była z nimi umówiona jutro na komendzie o dziewiątej rano. Nie wiedziała, ile uda się jej w ten sposób wnieść do sprawy, ale jedno było pewne – Karolina Stykowska będzie energiczną rozmówczynią. Zarzuciła Wierę serią pytań, żalów i uwag. Jak zareaguje, kiedy się dowie, że pod sformułowaniem „przestępstwo” mieści się nie tylko włamanie, lecz także morderstwo?

Usiadła na kamiennej opasce z drugiej strony domu. Otoczaki były chłodne, ale przynajmniej słońce nie świeciło prosto w oczy.

Położyła na kolanach teczkę, otworzyła ją, wyjęła papiery i zaczęła je przeglądać. „Najbliższych chyba możesz wykluczyć”, pomyślała. Gdyby miała obstarwić, tak hipotetycznie, wytypowałyby Sylwię Buczek. Zwykle mordercą okazuje się ktoś związany ze zmarłym, a tu dodatkowo był powód. „Wiedza pozaoperacyjna”, wróciło to do niej. Gazda powiedział, że ta dziewczyna była spokojna i cicha, a to właśnie najlepszy materiał na zabójczynię, w której w końcu coś pękło. To się jednak dzieje w afekcie, w domu, ona bierze nóż, dźga go i już. W tym przypadku facet wyjechał, a ona by musiała pojechać za nim. Nie pasowało. Do tego miała mocne alibi – nie ruszała się z Nowego Targu. Pracowała w sklepie z używaną odzieżą, każdego dnia się meldowała do roboty, a w weekendy dorabiała sobie w cukierni. Matka... Matka nigdy nigdzie nie jeździła. No i to matka. Ojciec Chyca nie żył od dwudziestu lat. Brat, ten z Obidowej, też był cały czas u siebie, co potwierdziła żona. Dalsza rodzina mieszkała dalej, brat zmarłego ojca, ale nie utrzymywali bliższych relacji. „Motyw rabunkowy?”, pomyślała. Jeśli nie zbrodnia z emocji, żalu, złości, niedobrych rodzinnych układów, to może prozaiczna kasa. Zmarły nie miał przy sobie żadnych pieniędzy, ale tego, co mu morderca zabrał, nie mogło być dużo – ostatnia tygodniówka. Wcześniejsze wypłaty słał przelewem pocztowym do domu, do matki. Teoretycznie jednak to mógłby być motyw, ludzie ginęli z powodu śmiesznych sum pieniędzy, ale ten rower...

– Po co morderca go zakopał razem z ciałem? – zapytała Wiera na głos.

Dyskutowała o tym z Kosoniem. Miała tę sprawę, była tylko jej, ale zahaczała

szefa, żeby z nim porozmawiać. Kosoń udawał, że nie widzi grubych fastryg, gdy przechodziła z innego tematu na ten. „Po co morderca zakopał rower?”, odbił piłeczkę, zmuszając ją do snucia hipotez. „Żeby go ukryć, to jasne. Brak roweru miał sugerować, że Chyc wybrał wolność. Są jednak łatwiejsze sposoby, choćby zatopić w jeziorze. Albo zostawić gdzieś, odpowiednio daleko, na pewno by się jakiś amator znalazł. Albo rozebrać na części i pozbyć się w różnych miejscach”, odpowiedziała. „A jednak ten ktoś wybrał takie rozwiązanie. Co ci to o nim mówi?” To było jedno z tych Kosoniowych pytań, które padały na końcu rozmowy i zostawiały ją z twórczym mętlikiem. Co jej to mówiło?... Hipotezy mogły być różne: morderca chciał od razu załatwić sprawę, nie bawić się w późniejsze ukrywanie roweru lub nie miał go jak przewieźć, to najbardziej oczywiste. A może zależało mu na tym, jak to powiedział Motyka, „tandemie”. Ale dlaczego? To by miało być jakoś symboliczne?

Usłyszała dźwięk, jakby coś metalowego spadło na ziemię. Podniosła się. Dźwięk się powtórzył. Mniej energiczne, ale z podobnym pogłosem. Powoli przeszła wzdłuż ściany budynku. Doszła do rogu. Delikatnie się wychyliła. W polu widzenia nikogo nie zauważyła, ale lewa strona posesji była dość mocno porośnięta młodziakiem. Skręciła w kierunku wejścia do domu. Szła wzdłuż bali i miała wrażenie, że one się nie kończą. „Jak wysokie i stare musiały być te drzewa?”, pomyślała. A zaraz potem: „I nic, kurwa, przy sobie nie mam. Nawet gazu. Węszenia mi się zachciało”. Wraz z kolejnym łączeniem na zrąb młodziak rzedniał, ukazując trawnik. Teraz widziała już furtkę. I rower, który stał obok niej, oparty o ogrodzenie. Poczowała kroplę potu na dekolcie. „Nie nakręcaj się. Zwykły rower”. Przynurła się bliżej drewnianej ściany, prawie przyklejając do niej barkiem. Powoli wychyliła głowę.

– Ej! – krzyknęła.

Chłopak podskoczył, potem na ułamek sekundy znieruchomiał i rzucił się w stronę furtki. Wiera pognała za nim. Skoczyła na ukos, przez trawę, on biegł prosto, po ścieżce. Mniej więcej w połowie tej trasy nagle wyrzucił ręce w bok, jakby się chciał złapać powietrza, zaplątał się we własne nogi i upadł. Dopadła go, gdy zdążył się podnieść.

– Policja, stój! – wrzasnęła mu do ucha.

Nie stawiał oporu. Patrzył na nią przerażony. Źle go oceniła – był młodszy, niż się jej początkowo wydawało. Bliżej mu było do szesnastu niż dwudziestu lat.

– Co tu robisz? – zapytała, gdy wstał. Rękę wciąż trzymała na jego ramieniu.

– Ja?... – Trząśł się. Trudno by było udawać taki strach, ale nie zwolniła uścisku.

– Ty. Co tu robisz?

– Nic. No po prostu... – Zacukał się.

– Co: nic? To teren prywatny. Dodatkowo oznaczony taśmą policyjną. Nie zauważyłeś?

Chłopak ewidentnie się bał. Zrobiło się jej głupio, że tak do niego wystartowała. I że sama się wystraszyła. Co by było, gdyby to był prawdziwy przestępca?

– Powiesz tu albo na komendzie. – Nie zmieniła jednak tonu.

– Nie, no co pani mówi, jak na komendzie? Ja przecież nic nie zrobiłem, ja tylko... tylko... no chciałem popatrzeć.

– Na co chciałeś popatrzeć?

Znowu się zaciął.

– Dobra. Telefon masz?

Kiwnął głową.

– Daj.

Sięgnął do kieszeni kurtki.

– Kurwa – wyrwało mu się. – Znaczy przepraszam. – Teraz przeniósł wzrok z pękniętego wyświetlacza na Wierę.

– Odblokuj i daj.

Przejechał palcem po szkłe, wstukał kod i z niepewną miną podał jej aparat.

– No dobra, to co my tu mamy... – Wiera wpatrywała się w pęknięte szkło. Rysa szła przez całą wysokość, jak ładnie rozrośnięty piorun. – O, jest. „O” jak ojciec. Dzwonimy? – Zawiesiła palec nad ekranem.

– Nie! – krzyknął odruchowo. – Znaczy nie – dodał ciszej. – Stary się wkur... wkurzy się. Jest nerwowo.

Może był po prostu zmęczonym życiem ojcem trudnego nastolatka, a może był taki jak jej ojciec. Nie wybrała numeru.

– To powiedz. – Spojrzała na chłopaka.

– Naprawdę nic. Po prostu tu było to włamanie, tak? I jeszcze ten... no trup był. I ja chciałem... Chciałem to zobaczyć z bliska.

– Trupa? Nie ma go tutaj, spóźniłeś się – zakpiła.

– Nie, no nie trupa, tylko to miejsce. Bo się mówi... – Urwał.

– Co się mówi? I kto mówi?

– We wsi. Ludzie mówią.

– Że? – Znowu czuła narastającą irytację.

– Że to w ogóle dziwne miejsce. Że nie wiadomo, co tu może być.

– W jakim sensie: co tu może być?

– No że może jakaś tajemnica albo co schowane.

– Schowane – powtórzyła za nim. „Jak to się szybko rozchodzi”, pomyślała. Przypomniała sobie rozmowę z Józwickiem. – Schowany to ty masz rozum. Jak się nazywasz?

– Muszę?

– Musisz.

– Stanisław Ozimek.

– Więc słuchaj, Stasiu. – Wiera wpisała kilka cyfr w jego telefon i kliknęła palcem w ekran. Po chwili rozległ się dzwonek. Wyciągnęła swój aparat i odrzuciła połączenie. – Mam twój numer. I – teraz podniosła telefon wyżej, a potem dotknęła przycisku na dole – twoje zdjęcie. Ma cię tu nigdy więcej nie być. Ani żadnego z twoich kolegów. Może będę chciała jeszcze z tobą porozmawiać. I wtedy masz odebrać. Jeśli nie, zadzwonię do ojca, jasne?

– Jasne.

– Ten rower przy furtce twój?

– Mój, rodzice mi kupili. Lubię jeździć. Zresztą tutaj takie wypiz... odludzie znaczy. Wszędzie tu tak, rower trzeba mieć.

– To zjeżdżaj i pamiętaj, co ci powiedziałam.

Kiwnął głową i odszedł.

Patrzyła za nim, jak szybko, nerwowym krokiem zbliża się do furtki. Schylił się pod taśmą, podszedł do roweru, chwycił za kierownicę i odsunął go od siatki. Wsiadł i ruszył. Zbyt energicznie, bo zarzuciło tylnym kołem na piaszczystym podłożu, tak że musiał się podeprzeć nogą.

Nic się jej nie kojarzyło z rowerem, żadna symbolika, odchyły, dewiacje. Zero. Może tylko absurdalne wspomnienie z czasów, kiedy sama się uczyła jeździć na rowerze. Nie miała swojego, znaczy dziecięcego, był tylko stary rower ojca – ciężki i za duży. Gdy miał dobry humor, pozwalał jej go brać. Kiedy Wiera jako tako opanowała jazdę, wybrała się na przejażdżkę po Ornecie. Z daleka zobaczyła grupę dzieciaków z klasy. Nawet, wyjątkowo, była zadowolona, bo tym razem miała im czym zaimponować. Jeden z kolegów wrzasnął do niej wtedy: „Ty, Jezierska, jak

umiesz jeździć, to puść kierownicę. Kto nie umie puścić, ten nie potrafi jeździć”. Wszedł jej na ambicję, puściła. I zaraz się wywaliła. A w domu dostała od ojca, bo wygięła kierownicę. Przez wiele lat nie tknęła później tego roweru, nawet gdy ojciec zmarł. Źle jej się kojarzył. I teraz przyszła jej do głowy taka myśl, że w sumie to mogły ojca z tym rowerem pochować.

ROZDZIAŁ 5

2013, Sulejówek

Dusił się. Nie mógł zrobić żadnego ruchu, zresztą nawet gdyby było tu więcej miejsca, to wiedział, że mu nie wolno, boby usłyszeli, a wtedy koniec.

„Koniec”, to słowo się często powtarzało. Tak często, że mu chyba spowszedniało – do tego stopnia, że przestał się tego końca bać. Co takiego straszego jest w końcu? Że już nic potem nie ma? A co miał teraz?

„Życie”, usłyszał.

Więc trzymał się życia. Trzymał się kurczowo, ze wszystkich sił, za wszelką cenę. Tutaj jednak było tak ciemno, tak duszno, nie mógł już wytrzymać i jeszcze go złapał jakiś skurcz, rozsadzając łydkę nieznośnym bólem.

– Boże! – Poderwał się oszołomiony i rozejrzał po pokoju. Wciąż było ciemno, tylko mała lampka na stoliku nocnym rozjaśniała wnętrze. Nigdy jej nie gasił na noc. Miał mokre plecy, koszula od piżamy nieprzyjemnie się do niego kleiła. – To sen, to sen, to tylko sen – szeptał gorączkowo sam do siebie.

Przez jakiś czas mu się to nie śniło, może nawet kilka lat spokoju było. Ale od momentu, kiedy pojechał do Nowego Targu, majaki wróciły.

„Nie da się tak żyć”, pomyślał. A jednocześnie chciał żyć, przecież tego się nauczył w dzieciństwie, że najważniejsze jest, by żyć.

„Pan daje śmierć i życie, wtrąca do Szeolu i zeń wyprowadza. Pan uboży i wzbogaca, poniża i wywyższa”.

Pan i tylko Pan.

I z tym ostatnim właśnie nie mógł się pogodzić.

Stali przy furtce. To znaczy on stał, a ona nerwowo chodziła wte i wewte.

Wiera zaparkowała obok srebrnej terenówki właścicieli letniska w Jeziorowskich. Początkowo umówiła się z nimi na komendzie, ale potem zmieniła miejsce spotkania. Zależało jej na tym, żeby ją oprowadzili po domu, przy okazji sprawdzając, co jeszcze zginęło. No i jakoś ją tu ciągnęło.

– Dzień dobry. Sierżant Wiera Jezierska. – Wyciągnęła rękę w kierunku kobiety.

– Karolina Stykowska. – Uścisk miała mocny i chłodny. Wysoka, lekko koścista, elegancka. W pewnym sensie była podobna do Przyzwan, ale prokuratorka oprócz podobnych warunków fizycznych miała też w sobie dużo luzu i zupełnie się nie przejmowała opiniami innych. „A tutaj – spięta dupa”, pomyślała Wiera, obserwując gospodynię.

– Wiktor Stykowski, miło mi. Mimo wszystko. – Ten uścisk był ciepły i miękki. „Mąż swojej żony”, przebiegło Wierze przez głowę.

– Okoliczności umiarkowanie miłe – Stykowska obrzuciła męża karcącym spojrzeniem – ale miły jest fakt, że policja tak żwawo wzięła się do roboty. Trzy lata, tyle się udało wytrzymać bez włamania. Wiktor nawet sobie niedawno zażartował, głupio – znowu popatrzyła na męża – że do trzech lat sztuka i możemy już odpuścić ubezpieczenie od kradzieży. No i proszę, uderz w stół – jakiś amator cudzego się znalazł.

– Zażartowałem, fakt. Ale już bardziej serio pomyślałem, że tu naprawdę nie ma się czego bać. Piękne, niezwykle miejsce. Niebywała cisza i spokój.

– Po prostu odludzie. Cisza jest, fakt, jak w grobowcu.

– Właśnie. – Wiera delikatnie położyła rękę na jej ramieniu, przytrzymując kobietę w miejscu, bo Stykowska już zdążyła się odwrócić w stronę domu. – Jest jeszcze jedna sprawa. Chodzi o drugie przestępstwo.

– Drugie? – zdziwiła się Stykowska. – Kogoś jeszcze okradli? To by znaczyło, że włamywacz raczej nietutejszy, bo jeszcze chyba nie jest tak źle, żeby sąsiad do sąsiada się włamywał.

– A my? My też sąsiedzi – zauważył Stykowski.

– Ty jesteś obcy i obcy dla nich pozostaniesz. Zamknięci jak konserwa są.

– Nie chodzi o kradzież. Chodzi o morderstwo.

Po raz pierwszy Stykowscy przyjęli zgodną pozę – oboje byli zdumieni.

– Tutaj, we wsi? – Pierwsza rezon odzyskała Stykowska.

– Tutaj. – Wiera kiwnęła głową.

– Tu? – Stykowski spojrział na dom.

– No jak... Tu?! – Do Stykowskiej wreszcie dotarło. – Ale jak to? To niemożliwe. Nie, no skąd, u nas, w domu? Pani Maria mówiła, co prawda, że tam więcej wozów, i technik w kombinezonie, ale ja myślałam...

Wiera natomiast pomyślała, że zarówno Stykowscy, jak i Kobzowie są słabo zasymilowani z lokalną społecznością, jeśli nikt ich nie poinformował.

– To włamywacz? – Stykowski nie ruszył się z miejsca i intensywnie wpatrywał się w Wierę. – Włamywacz został zabity?

– Nie. To sprawa sprzed kilku lat. Państwo jesteście właścicielami od trzech lat, prawda?

Oboje kiwnęli głowami.

– No to zapewne starsza.

– Wiedziałam! – Stykowska odzyskała energię. – No po prostu wiedziałam!

– O czym? – Tym razem Wiera się zdziwiła.

– Nie, nie o żadnym morderstwie. O tym, żeby nie kupować tego domu. Tak, miałam przeczucie, żeby nie kupować tego domu, a ty się uparłeś! – Dźgnęła męża palcem.

Stykowski się zmieszał.

– Karolcia, no co ty, daj spokój. Przecież to od Adama było, taki porządny człowiek. Nie sądzisz chyba...

Ponieważ żona w żaden sposób nie zareagowała, przeniósł spojrzenie na Wierę.

– Na tym etapie śledztwa jest za wcześnie, żeby stawiać jakiegokolwiek hipotezy. A dlaczego właściwie była pani przeciwna zakupowi tego domu? – zapytała Jezierska.

– Dlaczego? Bo tego się nie robi. Nie przestawia się domu, to narusza energię miejsca. Jednego i drugiego – tego, z którego zabrano, i tego, gdzie postawiono coś obcego – powiedziała to takim tonem, jakby opowiadała o podstawach algebry.

– Żona wierzy w takie rzeczy – wyjaśnił zakłopotany Stykowski.

– I, jak widać, ma rację – rzuciła Stykowska. – To co się tu stało?

*

Kwadrans później stali w salonie, już ogarniętym przez gospodarzy. Potwierdzili, że zginął telewizor, odtwarzacz DVD, ekspres, czyli to, czego brak zauważyła Maria

Kobza. Stykowska zgłosiła też brak szkatułki z biżuterią chowanej w sypialni. „Taka wakacyjna, nic wyszukanego”, stwierdziła. Wiera pomyślała, że to właśnie ten sukces mógł zachęcić włamywacza do dalszych podpodłogowych poszukiwań. Lub być zmyłką. Na razie nic z tego, co usłyszała od właścicieli, nie rozjaśniło mroku wątpliwości. Jezierska poznała za to historię tego miejsca: Wiktor Stykowski, młodszy od Adama Świątkowskiego o kilkanaście lat, po raz pierwszy spotkał go ćwierć wieku temu na wydziale chemii. Stykowski szedł tam na studia doktoranckie, Świątkowski był adiunktem. Potem Świątkowski odszedł, założył własną firmę zajmującą się produkcją opakowań do celów spożywczych, rozkręcił ją, zatrudnił Stykowskiego. Dobrze się poznali, nawet zaprzyjaźnili, choć Świątkowski był raczej skryty. Rozwodnik, drugi raz się nie ożenił, syn jednak został przy matce, ale miał z ojcem regularny kontakt – taki, na jaki pozwalała odległość – Świątkowski mieszkał wcześniej w Krakowie, była żona i syn tam zostali, on się przeniósł do Warszawy, a później – do Sulejówka. Gdy Świątkowski umarł, syn postanowił wystawić dom na sprzedaż.

– Sam go nie chciał? – zapytała Wiera.

– Z Krakowa daleko – odpowiedział Stykowski.

– „Jakbym miał chęć oglądać podhalańską architekturę, to mam bliżej na południe, a za jeziorami nie przepadam”, tak to mniej więcej ujął – dodała Stykowska. – To nie zarzut, różnie się układa w rodzinach. Nie będę oceniać, zresztą sama nie mam dzieci. Więc Tomek nie chciał ani domu, ani firmy. Udziały ojca też nam zaoferował.

– Dał dobrą cenę – wtrącił Stykowski.

Żona, chyba pierwszy raz podczas tego spotkania, przytaknęła.

– W sumie to firma była najpierw, dom potem. Ja to byłam przeciwna. Chcesz mleka, nie kupuj krowy. Mnie smakują różne: i zwykłe, i sojowe, i migdałowe. No ale mąż jest tradycjonalistą – lubi to, co zna, dacza nad jeziorem, las, gazeta, kominek, kaptcie.

– Już mówiłem i powtórzę – piękna, cicha okolica, dom też ładny, kunszt sztuki podhalańskiej. Widziała pani te łączenia? – Spojrzał na Wierę.

– Na zrąb. – Wiera pamiętała stare drewniane chałupy niedaleko Gubałówki. Przewodnik im wtedy opowiadał o stylu podhalańskim. „Bele połączone tak, że nic ich nie rozłączy, nawet halny”.

– Właśnie. Piękna ciesielka.

– Syn Świątkowskiego tu przyjeżdżał? – Wiera wróciła do głównego wątku.

– Rzadko, kilka razy może był. Tomek ma swoje życie, zresztą jest inny niż ojciec – wyjaśnił Stykowski. – Lubi gwar dużego miasta, zabawę.

– A jaki był ojciec? – zapytała Wiera.

Wiktor Stykowski przez chwilę się namyślał.

– W Adamie zawsze była jakaś taka nostalgia. On był osobny, pojedynczy. Trochę dziwny, ale nie w złym sensie, tylko w takim, że to cecha ludzi wrażliwych.

– Po prostu był dziwny, nie dorabiaj ideologii. Uczciwy, odpowiedzialny i dziwny. Całe życie sam. Rozstali się z żoną, on się już potem z nikim nie spiknął. Gdyby mnie ktoś zapytał, tobym obstawiała, że on wolał facetów, i tyle.

– Nie, no nie – zaprzeczył Stykowski. – Nie zauważyłem niczego takiego.

– Może nie byłeś w jego typie.

Jezierska od prawie godziny była świadkiem, że pieniądze, pozycja i brak dzieci nie gwarantują ludziom dobrego wspólnego życia. Trop ewentualnego gejoństwa Świątkowskiego zapisała jednak w pamięci.

– A dom? Wiecie państwo, skąd go Świątkowski sprowadził?

– Z Podhala. Z... Dunajca chyba. – Stykowski spojrzał pytająco na żonę, ale ona wzruszyła ramionami.

– Od kogo?

– Nie wiem, nie wspominał. Zresztą nawet jeśli, nie zapamiętałbym.

– A dlaczego właściwie tak się uparł na chałupę stamtąd?

– Lubił góry, miał do nich jakąś słabość. Tam nie chciał niczego kupować, bo raz, że ziemia droga, dwa, że dalej, trzy, że tam trudno o odludzie. No to przywiózł te deski tutaj...

– A my przez te wszystkie lata po tych deskach chodziliśmy. – Stykowska wyciągnęła rękę w stronę korytarza. – I mieszkaliśmy z trupem pod jednym dachem. Niedobrze mi się robi. Trzeba będzie sprzedać ten dom, chociaż, jak się rozejdzie po wsi i dalej, to kto będzie chciał kupić?... Naprawdę nie wiadomo, kto to jest, ten zamordowany?

– Ustalamy tożsamość. Nazwisko Grzegorz Chyc coś państwu mówi?

Oboje pokręcili głowami.

– A o ekipie, która ten dom mu stawiała, coś może opowiadał?

– Nie. Pamiętam tylko, że był taki... podekscytowany. Adam, jak już mówiłem,

był spokojny, w radości też. A wtedy, gdy się za to wziął, to było w nim widać emocje. Żal, że na tak krótko mu tego domu starczyło. – Stykowski pokiwał głową.

– No, żal. Podwójny. Bo wtedy nie my byśmy mieli trupa w domu. Ja się zasta...

– Przepraszam. – Wiera poczuła wibrowanie telefonu. „Remek”, zobaczyła na wyświetlaczu. Odwróciła się do gospodarzy plecami i zrobiła kilka kroków w stronę sieni.

– Cześć. Co tam?

– Cześć. – Od razu wyczuła, że Remek też jest podekscytowany. Jak Świątkowski chałupą z Dunajca. – Słuchaj, chyba go mamy.

– Kogo?

– No tego faceta od włamania. I wiesz, no, od trupa.

ROZDZIAŁ 6

2019, Nowy Targ

Przeżegnał się.

„Promienny Chryste, Boski Zbawicielu, jedyne światło, które nie zna zmierzchu, bądź dla tej duszy wiecznym odpoczynieniem, pozwól oglądać chwały Twej majestat” – to przyszło do niego automatycznie, jakby był zaprogramowany i nie miał wpływu na słowa, które rozbrzmiewają w jego głowie.

Można zmienić życie, odciąć się od przeszłości, ale ona człowieka nie opuści.

„Boże, przebac” – to wyszeptał sam.

Przejechał ręką po czole – było mokre. Piżama kleiła mu się do ciała. Regularnie śnił mu się ten sam sen – staje w progu domu i zamiast równo ułożonych, grubo ciosanych desek widzi w sieni ziemię. Stawia pierwszy krok i czuje, że to nie ziemia, a grząskie bagno. Dostawia drugą nogę, z nadzieją, że jednak uda mu się przejść – dalej, do pokoju, do nich, ale bagno go wciąga. Zaczyna się szamotać, próbuje się wyswobodzić – bez efektu. Ogarnia go paniczny lęk, że się utopi, udusi, ale w momencie, gdy lepka maź dosięga mu szyi, grunt się nagle stabilizuje. I on tak zostaje, z tą głową na powierzchni – nie martwy, ale co to za życie?

Czy jednym morderstwem można uratować drugie istnienie?...

„DVD, prawie nowy, tanio, odbiór osobisty w Suwałkach”.

– Ale siara, nie? – Remigiusz Staroń był podekscytowany.

– Remek, ile razy cię prosiłam, żebyś nie wrzucał partykuł na koniec zdania? –

Wiera westchnęła.

– No, prosiłaś – przytaknął niepewnie posterunkowy. – Ale mówiłaś o „tak”, nie?

– Mówiłam o partykułach. Ty wiesz, co to jest partykuła? – Wiera wiedziała, bo sprawdziła w internecie, jaką częścią mowy są „tak” i „nie”.

– Nie. Znaczą „nie” w sensie „nie wiem”, nie że znowu ta partykuła.

– To takie małe wyrazy. Krótkie, niesamodzielne. Nie bądź jak partykuła, Remek.

Posterunkowy chyba lekko się zaczerwienił, a może po prostu w pokoju było za ciepło. Wiera na chwilę odeszła od monitora i otworzyła okno.

– Wiesz co, Wiera, jeszcze trochę, a zaczniesz się robić jak Przyzwan – powiedział z wyrzutem.

Żadna krytyka nigdy jej tak nie ucieszyła.

– Dobra, nie obrażaj się. W słusznej intencji ci zwracam uwagę. Potem społeczeństwo z nas się śmieje. Nie? – Lekko go szturchnęła.

– No. Ale z tym ogłoszeniem to pojechał. Przed obskoczeniem lombardów szukaliśmy na Allegro Lokalnie, na forach mieszkańców z rejonu, w kupię–sprzedam i właśnie na OLX. Sprzęt pasuje. Ogłoszeniodawca Piotr – Staroń zaczął suwać myszką, wyszukując informacji – sprzedaje od kilku lat, ale miał długą przerwę ostatnio, aż do teraz. Zawsze oferuje używane sprzęty, w każdym opisie ma jakiś błąd ortograficzny. Jak ja je wyłapuję, to znaczy, że on jest naprawdę kiepski, niiii... Kiepski jest, prawda?

– Kiepski. Pod każdym względem. Jeśli w kilka dni po włamaniu wystawia fanty w serwisie internetowym, to rzeczywiście nie jest orłem intelektu.

– No ale jeśli to on, to po imprezie – złodziej złapany, sprawa zamknięta, statystyki w porządku.

– Statystyki... – powtórzyła Wiera. – Widzisz, Remek, to takie proste rozwiązanie, aż żal. Jeśli ten włamywacz jest tak głupi, to ze śmiercią Chyca nie ma chyba nic wspólnego. – Westchnęła.

– To przecież dwie oddzielne sprawy? – zdziwił się Staroń.

– Trudno powiedzieć na tym etapie. Facet odgrzebał starego trupa. Przypadkiem?... Z drugiej strony, jak on taki bystry, że takie błędy wali... Zaraz! – Wiera poderwała się od komputera i wybiegła z pokoju. Wróciła po kilku minutach z papierami w ręku. – W aktach jest informacja, że Świątkowski, czyli poprzedni właściciel domu, dostał SMS niby to od Chyca, to znaczy z jego telefonu, ale podpisany z błędem ortograficznym – zamiast „ch” było samo „h”. Kurde, kto wie? –

zapytała samą siebie. Do Staronia rzuciła: – Remek, idź do Kosonia, niech ci kogoś dorzuci do pary, i umów się z tym Piotrem. A – i może zdejmij ten granatowy sweterek? Albo chociaż kołnierzyk od koszuli schowaj. Wyglądasz za porządnie, koleś z kilometra wyczuje podpuchę.

Remek znowu lekko spąsował.

Naprawdę lubiła tego chłopaka. Był miły, całkiem rozgarnięty, tylko zaimpregnowania życiowego było mu brak. Z tego, co o nim wiedziała, był jedynakiem, synem przedszkolanki i technika, czy coś w tym stylu. „Zbyt wychuchany, zbyt wyręczany, zbyt ciepło mu w życiu było”, pomyślała. I aż przystanąła. „Życie nie musi cię zgnoić, żebyś potem czegoś dokonała”, przyszło do niej. Tylko czy byłoby w niej tyle determinacji, żeby się wczepiać pazurami i iść dalej i wyżej? Czy chciałoby się jej tak, jak się jej chce, gdyby się nie uparła, że postawi na swoim i będzie mieć inną, lepszą codzienność?

Poczuła wibrowanie telefonu. Anka. „Co za wycucie czasu”. Upchnęła telefon z powrotem w tylnej kieszeni dżinsów. Nie przestawał dzwonić. „Cierpliwa jest”, pomyślała o siostrze. Wiedziała, po co Anka chce ją dorwać – w sprawie tego śniadania wielkanocnego. Wiera nic jej nie odpisała, bo co tu pisać. W końcu jednak się zdecydowała – sięgnęła po aparat, odblokowała go i powiedziała obojętnym tonem:

– Sierżant Wiera Jezierska, słucham.

– Szczęść Boże. Czyli jednak czasem odbierasz telefony.

– Odbieram, kiedy mogę. Teraz jestem w pracy, a w pracy pracuję. – Szła do swojego pokoju i miała nadzieję, że słyhać, że jest zajęta.

– Ale jednak zdecydowałaś się na prywatną rozmowę.

– Nie sprawdziłam, kto dzwoni. – Dobrze, że na korytarzu był całkiem spory ruch, nie to, co u Anki, gdzie cisza, aż głowę rozsadza.

– No tak... Wysłałam ci SMS z prośbą, żebyś potwierdziła śniadanie wielkanocne z mamą.

– Tak.

„Gadam jak Remek”, pomyślała.

– No wiem, że tak. Rzecz w tym, że nie odpisałaś.

– Nie odpisałam, bo jeszcze nie wiem, co będę robić w święta.

– Chyba nic?... Przecież nie jesteś w tym pionie, czy jak się to nazywa, który

patroluje miasto i tak dalej...

– Anka, to taka praca, że zawsze coś się może zdarzyć. Tu się liczy doczesność, nie wieczność, więc nie wiem.

– Rozumiem, ale teoretycznie masz wolne, prawda?

– Uhm.

– Więc możemy się umówić.

– Teoretycznie.

– Śniadanie jest o dziewiątej. O jedenastej jest msza.

– To też obowiązkowy punkt programu?

– Nic nie jest obowiązkowe. To wszystko z potrzeby ducha. Jeśli nie...

– Więc nie. – Wiera przystała na korytarzu. – Nie mam takich potrzeb ducha jak ty.

– A w ogóle masz jakieś potrzeby ducha, Wiera? Ja się za ciebie modłę, wiesz? – Anka zmieniła ton z przyszpilającego na modlitewny.

– To słabo ci idzie. Śniadanie – może. I tyle. A teraz naprawdę już muszę kończyć. Cześć.

Rozłączyła się. Poczuła, że ręka lekko jej drży. Nie chodziło o to, że Anka ją wkurwia, przecież nie ona jedna. Chodziło o to, że te kontakty, choćby Wiera sto razy temu zaprzeczyła, choćby sobie wmawiała, że już się pogodziła z nędzą rodzinnego życia, coś jej robiły. „W dupie”, mówiła, a później i tak dygotała.

Usiadła przy biurku. Otworzyła teczkę z dokumentami. Po raz kolejny zaczęła je czytać, ale nie była w stanie się skupić. Zaczynała, gubiła wątek, znowu wracała do początku. Poczuła nieprzyjemne pulsowanie skroni. Oparła głowę na dłoniach, zamknęła oczy i powoli nabrała powietrza, a potem, jeszcze wolniej, je wypuściła. Czasem taka technika pozwalała się pozbyć tego bolesnego napięcia. Przy czwartym powtórzeniu telefon zadzwonił. Spojrzała na ekran. Teraz też poczuła dreszcz, choć zupełnie inny.

– Dzień dobry. Hej! – To „h” było takie, jakby się na Giewont wybierało. – Antoni Gazda z tej strony.

– Jezierska, dzień dobry. Hej. – Jej „h” było nizinne.

– Dzwonię, żeby powiedzieć, że Tadeusz Chyc rozpoznał rower brata na zdjęciach. To oczywiście sprawy nie załatwia, ale pokazuje, w którym kierunku zapewne pójdzie identyfikacja.

– Tak, też uważamy, że to Chyc. Jakieś nowe informacje od brata przy tej okazji?

– Nie. No, tyle tylko, że teraz to będzie mógł wszystko uporządkować, bo do tej pory w zawieszaniu żył.

– A dużo tego do porządkowania? – Wiedziała, że to pytanie może mieć materialny wydźwięk. I miało.

– On ma swój majątek, dobrze mu się powodzi. Kierpce szyje, galanterię skórzaną też ma.

Odpowiedź nie na temat sprowokowała ją do kolejnego pytania – również nie na temat:

– A jak między nimi było?

– Jak to między braćmi – od małego brali się za łby. Ale i od małego trzymali się razem. Nie zawsze idealnie, ale zawsze lojalnie, zwyczajnie, jak to w rodzinie.

Anka. Kiedy były małe, to jeszcze trzymały się razem. Potem brały się za łby, a teraz przeszły do etapu obojętności. „Czy to lepsze niż podhalański wariant?”, przeleciało jej przez głowę. Bez odpowiedzi.

– No, a co do spadku – ciągnął Gazda – to jest to mieszkanie w Nowym Targu, w którym matka mieszkała razem z Grześkiem. Dwa pokoje w kamienicy. W Rynku, ale żadne meycje i jeszcze z własnością nie do końca uregulowana sprawa.

– Więcej osób do dziedziczenia?

– Raczej to mieszkanie było spadkiem... No, mówiąc wprost – przed wojną chyba tylko jedna kamienica w Rynku była polska, reszta należała do gminy żydowskiej. Ostatnio ten temat znowu wrócił. Więc coś dostał, ale czy się wzbogaci?...

Zdziwiła się. Tam też? Wydawało jej się, że to wschód Polski miał takie przedwojenne proporcje własności.

– No i oczywiście ziemia jest, ale ziemia jeść nie woła.

– A dużo tej ziemi?

– Łąki i las. Trzy hektary, coś koło tego – odpowiedział Gazda. – Tadeusz ręki do tej śmierci nie przyłożył, za to ja się przyłożyłem do śledztwa – ma alibi – dodał.

– Tak – mruknęła Wiera. Zaraz ją zacznie rozliczać z wyników. Dobrze, że jakiś sukces majaczył na horyzoncie, przynajmniej w sprawie włamania.

– Finał może być taki, że Tadekowi nic namacalnego po rodzinie nie zostanie. Mieszkanie niepewne, dom rozebrany...

– Dlaczego rozebrany? – Tego wątku Wiera nie знаła.

– Jak to? – Teraz zdumiał się Gazda. – No przecież u was stoi.

– U nas?... – Dopiero do niej dotarło. – Ten dom w Jeziorowskich, przy składaniu którego Chyc pracował, to jego dom?

– Ojcowizna, z Czarnego Dunajca. Sprzedał, rozebrał, złożył, a potem został tam pochowany. Na pewno to ustaliliście podczas pierwszego dochodzenia.

*

„Takie luki, Sidorczuk, kurwa”, Wiera chodziła po pokoju od ściany do ściany. Była zła. Nie jej kompromitacja, ale i tak jej było głupio przed Nowym Targiem. Jak to możliwe, że tej informacji zabrakło w aktach? Przecież Świątkowski musiał powiedzieć, od kogo kupił dom – jeśli nie sam z siebie, Sidorczuk powinien to sprawdzić. Nawet Stykowsky wiedzieli, że chałupa jest z Dunajca, choć nie wiedzieli, kto wcześniej był jej właścicielem. A co, jeśli Świątkowski zataił ten fakt? Ale po co? Z jakiego powodu? Wybrała numer do Sidorczuka.

– Wiera Jezierska. Mam jeszcze jedno pytanie w sprawie Jeziorowskich. Od kogo Świątkowski kupił dom? – Nie zamierzała się bawić w uprzejmości.

– A, dzień dobry. – Sidorczuk albo nie wyczuł jej nastawienia, albo nie chciał mu się poddać. – Świątkowski... no nie wiem, nie pamiętam. Z gór go ściągnął, prawda... Z... zaraz, jak rzeka się nazywała ta miejscowość – mam, z Dunajca. A od kogo?... A co w aktach jest na ten temat?

– Nic.

– Nic... Znaczy, że albo takie pytanie nie padło, albo nie padła odpowiedź. A to ważne?

– Nigdy nie wiadomo, co się okaże ważne – burknęła. – Cześć.

Może to nie miało znaczenia, a może miało. Świątkowski już też pod deskami, tyle że klasycznej trumny, więc z niego nic nie wyciągnie, ale...

Z korytarza dobiegła głośna wymiana zdań. Rozpoznała głos Remka. Wyrzała.

Przy wejściu stał posterunkowy Staroń z sierżantem Witkowskim, a między nimi, w kajdankach, lekko otyły czterdziestolatek w dresie.

– Jezuu, no, ja nic, to pomyłka! Jakie macie dowody? – Facet nerwowo podrygiwał.

– Sierżant Wiera Jezierska. – Podeszła do tej trójki. – Sprzedający Piotr... – Przyjrzała się zakutemu. – A nazwisko?

– Wójcik – mruknął. I znowu spojrzął na Witkowskiego, jakby jej tu nie było.

Najwyraźniej nie traktował kobiet serio. „Dupek”, przemknęło jej przez głowę. „Szowinista”.

– O co w ogóle wam chodzi? – zapytał, wciąż stojąc do Jezierskiej tyłem.

– Chciał uciec podczas oględzin sprzętu – zaraportował Staroń.

– Bo się nie dam w nic zrobić. – Dowieziony biegał wzrokiem od Staronia do Witkowskiego.

– Na razie sam się wrabiasz. Pójdziemy porozmawiać. – Wiera wykonała gest zapraszający do pokoju przesłuchań. – Remek, odprowadź pana.

*

– Oj, Wójcik, Wójcik, numery sprzętu się zgadzają. Właściciele szczęśliwie trzymali dokumenty zakupu na Mazurach. I szczęśliwie akurat ich włamywacz, czyli pan, nie ukradł.

– Jezuu, no. Przecież mówiłem, że to nie ja. – Wójcik kręcił się na krześle. – Numery są serii, to jeszcze nie dowód.

– Inne dowody też sprawdzamy. Więc jest pan zupełnie przypadkowo zabranym na komendę człowiekiem z oskarżeniami... Nigdy nic, czysty jak łąza...

Wójcik się skrzywił.

– Nigdy nic to może nie. Zdarzyło się.

– Zdarzyło. Osiem miesięcy za paserstwo.

– Paserstwo to nie włamanie.

– Może się pan rozwija? – zakpiła. – No dobra, to jeśli nie pan się włamał do Jeziorowskich, to skąd pan ma ten sprzęt? I może inne, co się zaraz okaże, bo jest już nakaz przeszukania pańskiego mieszkania. I piwnicy.

– Kurwa, no. – Wójcik pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Kolana, na których oparł łokcie, nerwowo chodziły.

– No?... – Jezierska nie spuszczała z niego wzroku.

– Ja... – zaczął.

Zadzwoił telefon. Wyjęła go z kieszeni dzinsów i spojrzała na wyświetlacz.

– Dzień dobry – powiedziała. Przez chwilę słuchała rozmówcy. – Świetnie, dziękuję, panie Wiktorze, sprawdzimy. – Podniosła słuchawkę aparatu stojącego na stole. – Remek, możesz przynieść to DVD?

Wójcik patrzył na nią, ale nic nie mówił. Ona też milczała. Po chwili w drzwiach

staął posterunkowy Staroń ze sprzętem pod pachą.

– Podłącz, zobaczmy, czy tam w środku coś jest.

Wójcik nerwowo się poruszył.

Staroń wetknął wtyczkę do kontaktu. Błysnęła dioda i na wyświetlaczu pojawiły się napisy. Wiera podeszła i wcisnęła przycisk z namalowanym trójkątem podbitym wąską kreską. Zgrzytnęło i odtwarzacz wypluł płytę.

– No proszę. – Wiera wzięła do rąk błyszczący krążek. – „Afryka 2018”, tak tu napisane. To pana płyta?

Wójcik nieznacznie pokręcił głową.

– Nie pana – zgodziła się Wiera. – Bo nie pan był w Afryce dwa lata temu, tylko właściciele tego sprzętu. Właśnie zauważyli brak płyty w pudełku i przypomnieli sobie, że jest w odtwarzaczu. No i co teraz pan powie?

Kolana Wójcika drżały teraz tak, jakby go złapał jakiś atak. W końcu się poderwał i nachylił przez stół do Wiery.

– No dobra, ten sprzęt to ja. Przyznaję się, zwinąłem te graty, ale w nieboszczyka mnie nie wrobiecie, o nie! A w ogóle zamiast mi robić kipisz w chałupie, to lepiej się zainteresujcie, co tam jeszcze jest ukryte pod tymi deskami!

ROZDZIAŁ 7

2014, Sulejówek

„Żyjąc – pomimo, żyjąc – przeciw”¹.

Przeczytał ten tekst tyle razy, a wciąż nie potrafił wybrać, który wers jest o nim.

– W piwnicy sobie to skitrał. Telewizor i ekspres. Reszty nie ma, może gdzieś indziej upchnął. Albo do lombardu wstawił. Sprawdzimy. – Posterunkowy Staroń z zadowoleniem przekazał Jezierskiej te informacje.

– Dzięki, Remek.

– Uwinęli się chłopaki w Suwałkach, ni... No. Ten, z którym gadałem, to powiedział, że byli przekonani, że on w końcu znowu wypłynie, bo go widywali z różnymi takimi, co uczciwie na życie nie zarabiają.

– No. – Jezierska wciąż była myślami przy ostatnim zdaniu, które usłyszała od Wójcika, nim Staroń dał jej znać, że ma dla niej informacje.

– Teraz to sprawa jasna, nawet jak się nie przyzna.

– Tak. Dobra, wracam do niego, wyjaśnimy jeszcze kilka kwestii.

*

Piotr Wójcik siedział przy stole i nerwowo wpatrywał się w drzwi. Gdy zobaczył w nich Jezierską, wykonał ruch, jakby chciał się podnieść, ale ostatecznie zrezygnował. Nic też nie powiedział.

– Policja znalazła w pańskiej piwnicy pozostałe przedmioty skradzione z domu w Jeziorowskich.

Wzruszył ramionami.

– Z tymi dowodami nie ma pan szans na wywinięcie się. A dochodzi drugi wątek, o którym sam pan wspominał. – Przypomniał się jej ten chłopaczek z rowerem, który się szwendał przy domu Stykowskich. „Jakaś tajemnica albo co schowane”. Plotka lub wiejska bajka, w każdym razie coś było na rzeczy.

Tym razem Wójcik nie wytrzymał. Gwałtownie wstał, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym bezgłośnie opadł na krzesło.

– Dobra, to włamanie to ja. Przyznaję się. Chuj wie, co mnie podkusiło. Żałuję, naprawdę żałuję. – Spojrzał na nią nieszczerym wzrokiem.

– To pan powie w sądzie. A wracając do wcześniejszej rozmowy – to co tam jeszcze jest pod tymi deskami?...

Wójcik odwrócił wzrok i wzruszył ramionami.

– Do czego jeszcze nie zdążył się pan dokopać?

Cisza.

– Trudno uwierzyć, że ktoś, nie mając wiedzy o zbrodni, zrywałby deski.

Cisza.

– Więc obecna hipoteza dochodzeniowa jest taka, że morderca wrócił na miejsce przestępstwa...

– No jak wrócił? Kurwa, no jak? – Wójcik jednak pękł. – Nie mam pojęcia o tym truposzu. Dobra, kopałem. Najpierw jakiś złom był, a potem... Potem... Kurwa, ja tego do końca życia nie zapomnę. Czaszka, normalnie ludzka czaszka, jeszcze z takimi przylizanymi resztkami włosów. Ale to nie ja. Nie ja, rozumiecie? – Z łoskotem opuścił ręce na blat biurka.

– Ale po coś pan kopał pod tymi deskami. Po co? – Wiera patrzyła na niego beznamiętnie, choć w środku czuła dygot.

– A to wpłynie na obniżenie kary? Jak będę współpracował? – Wójcik przyspilił ją wzrokiem.

Kiwnęła głową. Dużo byłaby mu w stanie obiecać, bez względu na rzeczywiste pokrycie, byle tylko coś wreszcie z siebie wydusił.

Wójcik zebrał się w sobie.

– Więc chodziły słuchy, że ten, co sobie tę góralską chałupę nad jeziorem postawił, to Żyd.

Wiera drgnęła. Tego wątku, podobnie jak informacji o własności przenoszonej

chałupy, nie było w aktach. Nie wypłynęła też nigdzie po drodze. Może to była ta „tajemnica”?

– A wiadomo – ciągnął Wójcik – że jak Żyd, to przy kasie. Zresztą było widać, że niebiedny. A jak niebiedny, to gdzieś kasę trzyma. A gdzie się kasę trzyma?

– W banku – odpowiedziała machinalnie. I jeszcze ta rozmowa o Nowym Targu i mieszkaniu Chycowej. Czy to się wiąże?...

– Ta... – Wójcik prychnął. – W chałupie się trzyma, dobrze zadekowane.

Wiera się otrząsnęła.

– A skąd te słuchy dochodziły?

– No... nie wiem, pewnie różnie, jak to w życiu. Do mnie akurat z Balladyny, znaczy z baru.

– Gdzie ten bar?

– W Krukłankach – odparł zdziwiony, jakby to była oczywista wiedza.

Coś się jej kojarzyło. Przejeżdżała tamtędy kilka razy i rzeczywiście był znak lokalu gastronomicznego, chociaż z szosy go nie było widać. To znaczy był, ale nie ten, jakiś Auto Bar. Nie, Moto Bar. Romantycznej Balladyny nie widziała.

– Od lat tam jest. W tych turystycznych miejscowościach to co sezon się knajpy zmieniają, a ta jest i jest. Dobrze dają zjeść, wypić też co jest. I atmosfera taka przyjemna. Bez napinki. – Wójcik się trochę odprężył.

– Zapamiętam, jak będę szukała miejsca na obiad. – Wiera wręcz przeciwnie – parła do finału. – I co dalej?

– Tak się akurat trafiło, że kiedyś bywałem tam częściej. Robota była, wszystko na legalu, transporterem jeździłem. Wpadałem coś zjeść. I wtedy też tak było. Pustawo, bo koło południa, może była pierwsza, i w tygodniu, ale było dwóch takich facetów. Siedzieli w kącie, razem. Nie nasi. Jak się potem dowiedziałem, to jeden, ten stary, to był właściciel tego domu.

– Kiedy to było?

– Dokładnie nie pamiętam, ale już ładnych parę lat temu.

– A kto panu powiedział, że to właściciel?

– Szef Balladyny. Tak się zgadało. No, a drugi to ponoć jego syn był. Pasowało, bo mniej więcej o tyle młodszy, choć niepodobny. No i siedzieli, coś tam jedli, bo talerze były, i nagle zaczęli dyskutować głośniej. I ten młody do tego starego powiedział coś w stylu: „Daj mi spokój z tą swoją żydowskością” czy „z tymi swoimi

Żydami!”, no jakoś tak.

„Z tą swoją żydowskością”, powtórzyła Wiera w myślach.

– Wtedy to mi jakoś zapadło w pamięć. Potem jeszcze gdzieś się z kimś zgadało, z jakimś kumplem, ale to już naprawdę nie pamiętam, kiedy, z kim i gdzie. I teraz, niech to chuj strzeli, poszedłem do tego domu. Sama drobnica, a pod podłogą... Taki pech, gdyby nie ten trup, byście sobie odpuścili i nie szukali tak intensywnie. – Wójcik westchnął.

*

– Przypadek to istotny element w pracy policji. – Maria Przyzwan podeszła do okna i je otworzyła. – Czy wy wszyscy macie jakiś uraz do świeżego powietrza? W lecie jeszcze czasem wietrzycie, a w pozostałe pory roku może sztywnieć?

Wiera z trudem się powstrzymała, żeby nie nachylić głowy w stronę pachy. Żadnej przykrej woni nie czuła.

– Tu wszystko jest takie lepkie. Zapyziałe. Brudną szmatą przeleciane. Tylko wietrze nie może pomóc. A wracając do tego, co powiedziałaś o Świątkowskim... – Prokuratorka odwróciła się od okna i spojrzała na Wierę.

– Że jest podejrzenie, że był Żydem – dokończyła Wiera.

– Przypuszczenie, powiedziałabym – sprostowała Przyzwan.

Wiera poczuła ciepło na policzkach.

– No wiem, że nie jesteś antysemitką. W tym kraju łatwo nasiąknąć kretyńską narodową narracją. Niby tak nie myślisz, a słowa same się dobierają.

Wiera kiwnęła głową.

– Co wiadomo o Tomaszu Świątkowskim? – Przyzwan zmieniła temat, za co Wiera była jej wdzięczna. Szkoda tylko, że na taki, w którym nie mogła się wykazać.

– Niewiele. Jeszcze mniej niż o jego ojcu. Wychowywany przez matkę w Krakowie, z ojcem miał zdawkowy kontakt. Stykowsy powiedzieli, że bardzo się różnili – ojciec był poważny, zorganizowany, pracowity, syn – raczej rozrywkowy typ.

– Odziedziczył firmę po ojcu.

– I od razu sprzedał udziały. Dom w Jeziorowskich też sprzedał. Ten w Sulejówku wynajmuje.

– Nieźle go to ustawiło – stwierdziła prokuratorka. – Gdyby to stary Świątkowski

leżał pod podłogą, podejrzany sam by się nasuwał... Bez względu jednak na to, jakie relacje łączyły obydwu Świątkowskich, wątek, o którym mówisz, trzeba będzie sprawdzić.

– Myśli pani, że to ma związek z naszą sprawą? – Wiera próbowała posplatać wszystkie nitki, które zdążyła do tej pory schwycić. Szło opornie.

– Przeszłość zawsze ma związek z tym, co teraz. Im mroczniejsza, tym większy. A bycie Żydem w tym kraju... Możliwe, że kolejne kukułcze jajo nam się trafiło. No dobra, ja się zmywam, bo mam spotkanie wyjazdowe, a ty działaj lokalnie. – Prokuratorka podniosła torbę z parapetu, przeszła obok Wiery, zostawiając za sobą intrygujący zapach, i wyszła na korytarz. Fala przeciągu z hukiem zamknęła okno.

Wiera po jesiennej sprawie trochę przystopowała z oglądaniem telewizji. Wyrobiła sobie za to kartę biblioteczną, pierwszy raz w dorosłym życiu, i regularnie zjawiała się w miejscowej bibliotece po nowe książki. Pożyczała je systemem trójkowym: dwie lekkie i jedna poważniejsza. Pierwszy wariant luzował jej emocje, drugi – dawał poczucie, że robi coś wartościowego, dzięki czemu pchnie swoje życie do przodu, i jednocześnie wzbogacał jej słownictwo. Kupiła sobie trzydziestodwukartkowy zeszyt z infantylną czterolistną koniczyną na okładce, w którym zapisywała nowo poznane wyrazy. Jednym z ostatnich była „ambivalencja”. „Postawa charakteryzująca się jednoczesnym występowaniem tak pozytywnego, jak i negatywnego nastawienia do obiektu”. To się jej teraz trafiło – z jednej strony niechęć i opór przed zagmatwaną i być może bolesną sprawą, a z drugiej – ekscytacja.

ROZDZIAŁ 8

2017, Nowy Targ

Ten plan nie miał wad. Dlatego decyzja już zapadła – on umrze.

Tych, co nie zabijają pod wpływem impulsu, hamuje strach, że policja trafi na ich ślad. Boją się – nie zbrodni, lecz kary. A kara jest wtedy, gdy uda się powiązać mordercę z ofiarą. Tu zaś – obcy z obcym.

Tak, ten plan nie miał wad.

Połowa się udała, teraz pora na drugą.

– Nie wiem, na razie to dowód. – Teraz to Wiera stała przy oknie. Otworzyła je. Owionęła ją fala chłodnego powietrza, aż się wzdrygnęła.

– No tak, no tak... – przytaknął Wiktor Stykowski. – Z pozostałymi sprzętami pewnie będzie tak samo... W sumie to nie aż takie istotne, bo Karola, znaczy żona, i tak nie chce tu być. Nie dziwię się jej, kobieca psychika jest bardziej wrażliwa. – Jeśli chodziło o Stykowską, Wiera miała wątpliwości. – Pytam raczej dlatego, że to informacja, której domaga się ubezpieczyciel. Pewnie będę musiał panią lub kogoś innego z komendy poprosić o stosowne zaświadczenie. Wiem, że to dodatkowa praca, a państwo i tak pewnie jesteście zawaleni biurokracją, ale...

– Ktoś na pewno wypisze papier. – Wiera postanowiła zakończyć ten wątek. Czowała, że Stykowski mógłby tak jeszcze długo. Facet był ślamazarny. – Skoro już rozmawiamy, to chciałabym pana zapytać o nowy wątek, który się pojawił w tej sprawie. Czy Adam Świątkowski był Żydem?

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Halo? – Wiera potrząsnęła telefonem.

– Tak, tak, jestem – pospieszył z zapewnieniem. – Nie spodziewałem się takiego pytania. I w sumie to nie wiem, jak na nie odpowiedzieć.

– Tak albo nie. – Jednak ją irytował. Powolny i niezdecydowany. „Karola ma rację”, pomyślała.

– To nie takie proste. Widzi pani, ja go nigdy o to nie zapytałem.

– Przecież podobno się przyjaźniliście? – zdziwiła się. Jeśli chodzi o przyjaźnię, doświadczenie miała takie, jak w związkach, znaczy nikłe, ale obstawiała, że pochodzenie to jedna z informacji, których się udziela przyjacielowi.

– To się może wydać nieprawdopodobne, ale ja nic nie wiedziałem. Znaczący nie nic, bo Adam miał mało słowiańską urodę i jeszcze na uczelni się zdarzały jakieś sugestie, ale on nigdy nic nie mówił, a ja nie pytałem. I to mimo tylu lat znajomości, a potem zażyłości.

– Nigdy? Nic? – Albo ten facet był tak dziwny, albo w tej sprawie coś śmierdziało.

– Nie, naprawdę. Widzi pani, czasem jest tak, że się czuje, że ktoś nie chce o czymś mówić, więc się nie pyta. Oczywiście, w tym przypadku można sądzić, że skoro Adam nie chciał rozmawiać, to właśnie dlatego, że był pochodzenia żydowskiego. To zdanie jednak nie padło, więc między nami wisiły niewypowiedziane fakty. Przepraszam, że zapytam, ale czy to w ogóle może mieć związek z tym morderstwem?

– Nie udzielamy informacji na temat prowadzonego dochodzenia.

Zabrzmiało odpowiednio oschle, bo Stykowski speszył się jeszcze bardziej.

– Wiem, oczywiście, przepraszam. Po prostu jestem zdziwiony.

– A syn? Nigdy nic nie mówił o ojcu? – Wiera zbyła te wyjaśnienia.

– Tomka znamy, oczywiście, ale to nie jest bliska znajomość. Gdy był mały, młodszy, to sporadycznie się spotykał z Adamem, bo opiekę nad nim sprawowała matka. Potem w sumie również się rzadko widywali. On niewiele ma z ojca – z wyglądu, charakteru, upodobań. Powiedziałbym, że raczej negował wszystko, co z Adamem związane. My z Karoliną też nie mamy z nim żadnego specjalnego kontaktu. A jeżeli pytanie dotyczyło pochodzenia ojca, to tym bardziej o tym nie rozmawialiśmy.

„Długie cienie starych spraw”, odpowiedziała, gdy Kosoń zagadnął ją o ustalenia w sprawie. On stał przed budynkiem i palił, ona zeszła na dół, bo go zobaczyła. Brakowało jej rozmów z komisarzem. Mimo że to on pytał, a ona musiała udzielić odpowiedzi, to jego pytania były dla Wiery wskazówkami. „Ale co dokładnie miałyby być zbrodnią?”, zapytał tym razem Kosoń. „Jego pochodzenie? To przykra okoliczność w tym kraju, ale czy ma związek ze sprawą? A jeśli tak, to z którą – ze śmiercią Chyca czy z włamaniem?”

Na żadne z tych pytań nie znała odpowiedzi.

– Obiekt docelowy znajduje się po prawej stronie – poinformowała ją nawigacja. Skręciła, choć niepewnie. Z szosy niczego jeszcze nie było widać. Dopiero gdy przejechała kawałek gruntową drogą, jej oczom ukazał się wolno stojący budynek z wyblakłym napisem „Balladyna”. Średnio pasował do tej miejscowości – Krukłanki były biało-czerwono-zielone. Biel fasad, czerwień dachów i zieleń roślin – te kolory miały wspólną cechę: były świeże, czyste. Cała miejscowość wyglądała jak z folderu reklamowego. Balladyna by się do niego nie załapała. Tynk był trochę przykurzony, sztyldowi przydałoby się odmalowanie, otoczenie też nie wyglądało imponująco – przywędnięte surfinie w plastikowych doniczkach, kilka bezładnie posadzonych tuj i przepełniony kosz na śmieci przed wejściem. A jednak parkowało tu więcej aut niż przed ładną Moto Gospodą (nie Barem), którą mijała. I kilka rowerów z boku.

Wnętrze trzymało zapowiedziany na zewnątrz klimat – ciemnawo, drewniane krzesła i stoliki przykryte ceratami w czerwono-białą kratę, boazeria z sosnowych deszczulek. Mniej więcej połowa miejsc była zajęta. Bar wyglądał na odnowiony w latach dziewięćdziesiątych – kieliszki wetknięte do góry nogami w płycie MDF przyciętej w falę i podwieszanej srebrnymi łańcuszkami do sufitu oraz dodatkowo wspartej na dwóch aluminiowych rurkach. Z tyłu widać było solidnie wyposażony barek.

Gdy weszła głębiej, zapach piwa osiadł ją jeszcze mocniej. Dołączył do niego aromat schabowego i zasmażanej kapusty. Poczowała ścisnięcie żołądka. Była głodna. I, ku swojemu zdziwieniu, pomyślała, że mogłaby wciągnąć taki obiad, gdyby jadła mięso. Nie jadała; zdążyła się już przyzwyczaić do myśli, że jest wegetarianką ze szlachetnych pobudek, którym towarzyszy wstręt do mięsa. Przełknięta przed chwilą ślina zrewidowała ten pogląd.

– Dzień dobry! – przywitała ją kobieta w barze. Młoda, ładna blondynka w czerwonej koszuli, niedopiętej na jędrnym biuście i podkreślającej talię. – Co

podać?

– Coś bez mięsa – odpowiedziała Wiera.

– Wegetariańskiego czy wegańskiego?

– Macie jedno i drugie? – zdziwiła się.

– Idziemy z duchem czasu i za potrzebami naszych gości. – Dziewczyna odsłoniła aparat ortodontyczny na zębach.

– Wegetariańskie wystarczy. Pierogi ruskie może są?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– I kompot. – Wiera zobaczyła rząd szklanek z ciemnoczerwonym płynem i rozmokniętymi owocami na dnie.

Usiadła przy wolnym stoliku pod ścianą.

Goście wyglądali na zadomowionych; żadnego zagubionego turysty przed sezonem. Z głośnika płynęła swojsko skoczna muzyka, przerywana od czasu do czasu lokalnymi reklamami.

Pierogi okazały się zaskakująco smaczne. Wiera gotowa była obstawić, że dostanie garmazeryjną mrożonkę, a tymczasem ciasto było miękkie, a nadzienie – aromatyczne. A w omaście tylko cebula, bez skwarek – wegetariańsko. Nawet kompot był, albo sprawnie udawał, wyrobem z owoców, a nie doprawioną najtańszym sokiem wodą.

Kiedy skończyła jeść i już miała podejść do baru, żeby porozmawiać z dziewczyną, do środka wszedł postawny pięćdziesięciolatek.

– Cześć, Kaśka! – rzucił do kelnerki.

– Dzień dobry, szefie. – Spod uniesionych warg znowu błysnął metal.

Wiera pomyślała, że w tej parze to młoda wygląda jak drapieznik.

Podeszła do baru.

– Szef wrócił – powiedziała do dziewczyny.

Tym razem nie została obdarzona uśmiechem.

– Wrócił.

– To niech go pani poprosi.

Blondynka się wahała, a Wiera mogła tylko obstawiać powód.

– Policja. – Nachyliła się przez bar.

Podziałało.

Po chwili w drzwiach w głębi baru pojawiła się zwałista postać. Mężczyzna

podszedł, zatrzymał się w miejscu, gdzie uprzednio stała dziewczyna, i rozejrzał się, a później odwrócił w stronę kelnerki, która ruchem głowy wskazała na Wierę.

– Sierżant Wiera Jezierska, komenda policji w Giżycku. – Sięgnęła do kieszeni kurtki po legitymację.

Facet przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

– Chodźmy – powiedział w końcu. Odwrócił się i poszedł w głąb pomieszczenia. – Mariusz Dybek. Nie wie pani, z kim chce rozmawiać? – Powoli odzyskiwał rezon.

Usiadł przy zawalonym papierami biurku, wskazując Wierze krzesło pod ścianą.

Zignorowała go. Wciąż stała, więc on również się podniósł.

– Zna pan tych mężczyzn? – Położyła przed nim fotografie obu Świątkowskich. Rzeczywiście nie byli do siebie podobni.

Przez chwilę się w nie wpatrywał.

– Znam. Tego starszego. Miał tu dom.

Kiwnęła głową.

– A tego drugiego?

Mężczyzna jeszcze raz pochylił się nad blatem. Wierze wydawało się, że tym razem Dybek wcale nie analizuje twarzy. To, co miało się wydarzyć – rozpoznanie lub nie – już się dokonało. I obstawiała, że w obu przypadkach test wypadł pozytywnie.

– Nie jestem pewien – powiedział w końcu, nie patrząc na nią.

– To niech się pan upewni. Jeden z nich nie żyje, obaj byli tu widziani.

– No ale ten stary to umarł zwyczajnie. Ze starości znaczy. Podobno. Kilka lat temu. Jaki to ma...

– Co pan o nim wie? – przerwała mu.

– To, co wszyscy. Miał tutaj dom, drewniany, góralski, sam w nim żył, a potem umarł, ale nie tu. Gdzieś u siebie. W Warszawie chyba?...

– Mniej więcej. – Kiwnęła głową.

– A dom został.

Mariusz Dybek spojrział na nią, jakby próbował wybadać, dokąd ta rozmowa ma ich zaprowadzić.

– No został. Ale ci nowi właściciele tutaj nie zaglądają. Przynajmniej ja ich nie widziałem. Więc jeśli to chodzi o tę sprawę, co to teraz, to ja nic nie wiem.

– Mam inne informacje.

Nic nie miała, prócz zeznania notorycznego krętacza Wójcika.

– O nie, nie. Ja bym bardzo prosił, żeby w ogóle Balladyny nie łączyć z żadną działalnością przestępczą. – Energicznie zamachał dłonią.

– A kto łączy? Po prostu rozmawiamy.

– Biznes dla ludzi prowadzę. Każdy może się u mnie napić i zjeść. Każdy. – Zrobił kilka nerwowych kroków. – I policjant, i taki po wyrokach, i facet z kochanką, i te elgiebety też – każdy. – Rozłożył ręce, jakby właśnie każdą z wymienionych grup zapraszał do Balladyny.

– A Żyd też?

– Słucham?

– Pytam, czy Żyd też może?

– Ale co pani? – Trudno było ocenić, co go zaskoczyło – sama propozycja, czy fakt, że Wiera wyciąga ten wątek. – Przecież... przecież mówię, że każdy. – Ochłonął.

– On również przychodził. – Wiera stuknęła palcem w fotografię Adama Świątkowskiego.

– No. – To był jedyny komentarz Dybka.

– A wie pan, że był Żydem?

Wyglądał, jakby dopiero teraz zrozumiał, o co jej chodzi. Może powinna była inaczej go o to zahaczyć.

– Wiedzieć nie wiem, tak tylko słyszałem. Po prostu tak słyszałem, ale więcej to ja nic.

– A od kogo pan słyszał?

Wzruszył ramionami.

– Mówiło się.

– Mówiło się – powtórzyła po nim. I po Wójciku. I po Jóźwiku.

– Ten starszy był miły, czasem przychodził tu coś zjeść, nie tylko trunki serwujemy, sama pani...

– Sierżant – dopowiedziała.

– ...sierżant jadła. I smakowało, jak widziałem.

– Co jeszcze pan wie o Adamie Świątkowskim?

Dybek wzruszył ramionami.

– Nic. Tyle. To był człowiek bez pretensji, grzeczny. Jakby niepolski, faktycznie.

– A o synu nic pan nie wie? – Tym razem jej palec powędrował na drugą fotografię.

– Synu?... – Chyba był naprawdę zdziwiony. – Jak teraz patrzę, to się zaczynam zastanawiać, czy ja go tu jednak kiedyś nie widziałem...

„Na pewno”, pomyślała.

– Bo była kiedyś taka sytuacja, że ten stary był z młodszym facetem. Mógłby to być ten z fotografii, choć ta, co pani sierżant pokazała, to jak portret pamięciowy. – Uśmiechną się, ale neurony lustrzane Wiery pozostały niewzruszone. – Ten młody przyjechał taką wypasioną furą, to pamiętam, bo się zastanawiałem, czyje to auto.

– Jaka rejestracja?

– Nietutejsza. Nie wiem... chyba KR?

Pasowało.

– Trochę milczeli, trochę gadali, a w końcu się pokłócili.

– O co?

– Nie wiem, bo tylko czasem temu młodemu się wyrwało coś głośniejsze, a tak to cicho gadali. „Obsesję masz, daj spokój. Stare sprawy”, coś takiego.

– A o byciu Żydem? – zapytała Wiera.

– No, akurat tego to nie usłyszałem, ale coś było na rzeczy, bo...

– ...mówiło się – dokończyła za niego. – Dużo się można dowiedzieć o życiu mieszkańców u pana – stwierdziła.

– Też w pozytywnym sensie, to znaczy nie plotki, a konkret. Na przykład kiedy zebranie z sołtyską, bo my tu mamy sołtyskę, kobietę, z duchem czasu, po ile w skupie runo, gdzie jaka robota czeka... O, na przykład ten starszy, Świątkowski, przypomniało mi się, bo się tak nazywał niepasująco, w sensie, że polsko, no a nie wyglądał, więc on tu znalazł fajną dziewczynę do pomocy w domu.

– Jak się nazywała ta dziewczyna?

– Zaraz... Kamila, to na pewno, ale dalej to nie wiem.

Wiera nie odrywała od niego wzroku.

– Albo wiem, o, bo mi się przypomniało. Kurek się nazywała. Mówię w czasie przeszłym, bo ona u niego była, a potem wyjechała gdzieś do roboty, daleko. Na kosmetyczkę się wyuczyła.

– A wracając do tego syna – widział go pan kiedyś jeszcze? – zapytała Wiera.

– Nie, tylko raz.

Kiwnęła głową.

– Gdyby pan sobie coś jeszcze przypomniał, proszę dzwonić. – Sięgnęła po długopis i zapisała mu swój numer na karteczce, którą wyjęła z plastikowego pojemnika na biurku. – Od dawna prowadzi pan ten lokal?

– Od dwudziestu lat. – Wyprostował się. – Kawał historii. Różne były w mieście i okolicy, a tylko Balladyna się ostała. A wie pani skąd nazwa?

– Z lektur szkolnych. – Tyle pamiętała.

– No. Dwie kobiety zakochane w tym samym facecie. Kiedyś to był romantyzm. – Zaśmiał się.

„Romantyk się znalazł”, pomyślała.

Kiwnęła głową, odwróciła się i wyszła.

*

– I jak postępy w śledztwie? – Król wygodniej rozparł się na krześle.

„Chyba znowu utył”, pomyślała Wiera, patrząc na podwójny podbródek komendanta.

– Mamy podejrzanego w sprawie włamania do Stykowskich. Właściciele jutro pojedą do Suwałk zidentyfikować sprzęt. W DVD, które przejęliśmy, była ich płyta z wyjazdu, więc sprawa w sumie oczywista.

– Dobra robota, Wiera. A ta druga sprawa?

– Zbieram materiały. Jestem też w kontakcie z Antonim Gazdą z Nowego Targu. Dopiero teraz wychodzą na jaw różne rzeczy. Na przykład to, że Świątkowski kupił dom od Chyca.

– Tego zabitego?

Kiwnęła głową.

– W aktach ani słowa na ten temat. Sidorczuk nie...

– Sidorczuk zrobił, ile się należało – przerwał jej komendant.

No tak, szwagier córki Króla. „Kurwa”.

– Rozmowy, wizja, rozpytywanie, świadkowie. – Komendant wstał i poluzował węzeł krawata. Koszula opinała mu się na brzuchu. „Na pewno jest go więcej”, pomyślała. Teraz Król wyglądał jak Józwik na jesieni. O ile jednak patolog odwrócił swój zdrowotny los, o tyle komendant staczał się z równi pochyłej otyłości. – Przyłożył się, mimo że to nie nasz się zgubił. To zawsze trudniejsze sprawy. Niektóre

fakty mogą się dopiero teraz objawić.

Wiera nie zamierzała tego komentować. Mina komendanta utwierdziła ją w tym postanowieniu.

– No, a teraz się okazało, że tego nie naszego ktoś u nas zabił... – ciągnął komendant.

– Właśnie. – Wierę zdopingował ten „nie nasz”. Zastanawiała się, czy też powinna wstać, skoro komendant stoi, ale ostatecznie nie podniosła się z krzesła. – Z dwóch różnych źródeł usłyszałam... sugestię, że Świątkowski był pochodzenia żydowskiego.

– O, to on bardziej obcy, niż ja myślałam – zdziwił się Król. – Sami obcy, no. A ten wątek ma znaczenie dla sprawy? Bo w sumie byłoby lepiej, żeby nie miał. – Spojrzał na sierżant Jezierską. – Rozumiesz – dodał.

Niestety, rozumiała.

*

„I co było dalej?”, patrzyła na nią bez żadnej litości. „No...” Nie pamiętała, tylko początek i koniec jej zostały w pamięci. Dwie kobiety, jeden facet. Dwie siostry właściwie. A potem wszystko poszło nie tak i trup słał się gęsto. Na koniec umarła też Balladyna, ale jak?... „Jezierska, oj, Jezierska, gdybyś chciała, tobyś mogła, ale najwyraźniej ci się nie chce. A kto sobie folguje, ten spraw nie rozwiązuje”. Pogubiła się. Skąd jej polonistka wie o sprawach, przecież są w szkole, Wiera jeszcze nie poszła do Szczytna. „Kiedy już sobie odświeżysz *Balladynę*, weź *Tego obcego*. Wciąż powtarzasz, że chciałabyś stąd zwać – no co tak patrzysz, sama słyszałam – to ci się powinno spodobać. I teraz podobno się obcymi zajmujesz, to jak znalazł”. „Ale ja...”, nie wiedziała, co powiedzieć. „Dzwonek, koniec wykrętów, jesteś uratowana”.

A dzwonek dzwonił i dzwonił.

Usiadła w łóżku. Jej pokój. Miodowe zasłony przepuszczające poranne światło. I rozbłyskujący telefon na stoliku nocnym.

– Jezierska, halo – odchrząknęła do słuchawki.

– No, wreszcie. Zależało pani sierżant czy nie?

– Zależało.

To Jóźwik się do niej dobijał.

– Wcześniej pan zaczyna. – Spojrzała na wyświetlacz. Siódma dwie.

– Energia mnie roznosi. Żywotna. W kontrze do zawodu. Ten truposz spod desek

to wasz poszukiwany. Chyc Grzegorz. Zmarniał pod tą podłogą, ale ładnie się udało pobrać materiał i sprawdzić powinowactwo z bratem. Przyczyna zgonu wciąż nieustalona, mogę tylko sugerować uduszenie jako najbardziej prawdopodobne.

– Dziękuję.

Odłożyła telefon. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Odsunęła zasłonę. Spojrzała na osiedle, które obudziło się wcześniej od niej. Pastelowe kolory, duże napisy na ścianach ocieplonych styropianem bloków. Faceci odpalający krzywo poparkowane na każdym wolnym skrawku ziemi auta, jakaś kobieta wracająca ze sklepu.

– Obcy świat. – Westchnęła.

Zamordowany też był obcy. A morderca? „Obcy czy swój?“, pomyślała, otwierając okno. Może prokuratorka miała rację z tym wietrzeniem.

ROZDZIAŁ 9

2013, Nowy Targ

Lubił na nią patrzeć – była taka bezbronna, krucha. Niewinna. Posłuszna.

Wszystko w tym zestawie było ważne, taka powinna być kobieta u jego boku.

Zwykle układało się nieźle. Ona miała czasem jakieś humory, płacze, ale tym się nie przejmował, u bab to normalne, bo są inaczej zbudowane. To, co sprawia, że tak przyciągają facetów, że mają taką siłę, kiedy zostają matkami, czasem obraca się przeciwko nim. Zachowują się wtedy dziwnie – głupio i nierozsądnie. Gdyby tylko pozrządziła czy nawet się odszczeknęła, machnąłby ręką. Kobieta może być czasem charakterna.

Jej jednak co innego przyszło do łba.

– Nie rycz – wrzasnął. I walnął ręką w stół.

Zobaczył, jak się kuli. Po chwili wyrwał się jej jeszcze większy szloch. Ramiona się jej trzęsły, głowa kiwała. Objęła ją rękami, splatając dłonie, jakby się chciała ochronić przed ciosem. Ledwo ją widział zza blatu.

– Nie rycz – powiedział trochę ciszej. – Kochasz mnie?

Głowa wykonała kilka gwałtowniejszych ruchów.

– Odpowiedz.

Dobiegło do niego głuche:

– Tak.

– No to chodź. – Klepnął dłonią w drewniany blat. – Chodź.

Spojrzała na stół, zobaczyła srebrną żyletkę i jeszcze bardziej się rozszlochała.

„Ludzie się kłócą, ale żeby aż tak, żeby przez całą Polskę jechać i zabić, to chyba nie. Tobo trzeba było nie wiem jakiej urazy. Ja bym na miejscu szukał, znaczy u was”.

Wiera obracała w głowie słowa Antoniego Gazdy. Z jednej strony gotowa była pójść tym tropem: nikt z najbliższych Grzegorza Chyca nie mógł znajdować się w tym czasie w okolicy. Zarówno ich zniknięcie z Nowego Targu, jak i pojawienie się w Jeziorowskich zostałyby zauważone. U siebie nie zniknęli, mają alibi. „Nieporozumienia rodzinne”, najczęstszy motyw, odpadają. A tutaj?... Czy w dochodzeniu, które prowadził Sidorczuk, było więcej luk? Czy przepytывał ludzi na temat obcych we wsi? Z drugiej strony to był jeszcze sezon, na pewno ruch był większy niż zwykle. Czy wśród turystów mógł się ukryć ktoś, kto przyjechał tu po to, żeby zamordować Chyca? Pewnie tak. A może to jednak ktoś miejscowy stał za tym morderstwem? Wtedy szanse na zostanie niezauważonym rosną, bo w końcu jest się u siebie, na swoim terenie. Stanowi się element krajobrazu. Bez względu na adres zamieszkania mordercy pozostawało pytanie o motyw. Po co ktoś miałby zabić Grzegorza Chyca? Co by mu ta śmierć przyniosła? I o co chodziło z tym cholernym rowerem? Brak pomysłu, co z nim zrobić, jakiś rytuał, znak rozpoznawczy? Przekopłała bazę – żadnego innego przypadku pochowania ciała z rowerem. Więc albo gdzieś czekają nieodkopeni „rowerzyści”, albo to jednorazowy wybryk, ewentualnie długodystansowiec, który jeszcze ponownie nie uderzył. W pierwszym momencie, gdy tylko ta sprawa się pojawiła, Wiera pomyślała o seryjnym mordercy, właśnie z powodu tego roweru, który mógłby być znakiem dla śledczych, swoistym podpisem mordercy. Seryjne zabójstwa są na pozór bez związku – inny czas, inny obszar geograficzny, odstępstwa krótkie lub nawet kilka lat. Łączy je brak korzyści materialnych, bo chodzi o sprawowanie władzy nad zabitymi. Seryjni zwykle chcą zostać odkryci, kręci ich zabawa z policją. W tym fachu są prawie sami faceci, kobiety rzadko mordują w ten sposób. To mógłby być jakiś pomysł, gdyby tylko gdzieś jeszcze pojawiło się ciało z rowerem. No i gdyby nie ten wątek żydowski – może bez znaczenia, a może jednak znaczący. Czyli wszystko na opak.

Po telefonie od Józwika nie mogła już zasnąć, zresztą za dziesięć minut i tak by ją poderwał na nogi budzik. Odczekała do siódmej czterdzieści pięć i zadzwoniła do Gazdy. Przekazała mu informację. Rozmawiali krótko, on przeprosił, że się spieszy, ale na koniec był więcej niż miły, jakby mu było przykro, że nie może dłużej z nią rozmawiać.

Jej było naprawdę przykro.

Poszła do łazienki, żeby wziąć prysznic. Z trudem domknęła drzwi kabiny prysznicowej. Łożyska w rolkach albo już się rozsypały, albo tak były pokryte kamieniem, że kółka nie chciały się toczyć. Może by się tym zajęła, gdyby to było jej mieszkanie. „Wtedy też raczej nie”, pomyślała. Takie duperele są czasochłonne. Trzeba jechać do marketu, kupić nowe rolki, oczywiście wiedzieć jakie, potem się bujać z wyjmowaniem drzwi, przekręcaniem. Kilka godzin jak nic, bez gwarancji efektu. Gdyby miała faceta...

– Kurwa! – Syknęła z zimna. Niby blok i centralne, a woda w kranie nagrzewa się jak w piecyku. Przekręciła wajchę w lewo, w kierunku czerwonego.

Nie potrzebowała faceta do drobnych prac domowych. Ani do tego, żeby była druga pensja. Albo w ogóle jedna, a ona mogłaby siedzieć w domu i dzieci rodziców. Na myśl o dziecku zrobiło się jej jeszcze zimniej niż po lodowatym początku kąpieli. Nie chciała mieć dzieci, nie czuła instynktu macierzyńskiego. Czuła instynkt antymacierzyński. Sprowadzać na świat kolejnego człowieka, który będzie miał spięrzzone życie? Była przekonana, że wydatnie by się do tego przyczyniła. Sama ze sobą nie umiała przecież sobie poradzić. Więc tyle męki – wielki brzuch, wielkie cycki, obrzęki, utrata swojego ciała, potem poród albo cesarka, nie wiadomo, co gorsze, pogryzione sutki, nieprzespane noce, brak żłobka, stres przedszkola, mordęga podstawówki, by w końcu usłyszeć od niej lub od niego, że ona, Wiera, niczego nie rozumie i generalnie jest do dupy.

Nie, żadnych dzieci.

Woda w końcu się nagrzała. Płynęła teraz ciepłym, może nawet na granicy gorąca, strumieniem po plecach Wiery. Kobieta przechyliła głowę do tyłu i zwilżyła włosy. Dziś nie był dzień ich mycia, ale i tak by się zalały. Część kropli spływała jej po czole, nosem i skapywała do ust.

Swojski, praktyczny, oczywisty, siermiężny facet nie był jej potrzebny.

Odwróciła się przodem do prysznica. Nachyliła głowę, żeby ją już całkiem zmoczyć. Wyprostowała się i sięgnęła po szampon. Wlała na dłoń odrobinę słodko pachnącego płynu i zaczęła go wcierać we włosy. Uniosła brodę, by piana nie wpadła jej do oczu. Gorący strumień spadał teraz na jej klatkę piersiową, lekko się rozbryzgując u szczytu mostka, a potem sunął w dół, między piersiami.

Skończyła kręcić energiczne kółka na skórze głowy; teraz przejeżdżała palcami po płatkach uszu, docierając w każdy ich zakamarek. Kabina całkiem już zaparowała. Wiera przesunęła dłonie na szyję. Objęła ją. Zwolniła tempo, za to zwiększyła nacisk

palców. Kręgi szyjne poddały się naporowi. Mięśnie i ścięgna obok były tak samo twarde jak kręgosłup. „Jezu, ale jesteś spięta”, pomyślała, uciskając kamienne tkanki. Przejechała dłońmi niżej; kciuki sunęły wzdłuż obojczyków, aż spotkały się w miejscu, gdzie uderzał strumień.

Nie potrzebowała faceta do prozy życia. Proza i tak jest prozaiczna, w ogólnym rozrachunku facet może ją tylko pogorszyć.

Znowu zjechała dłońmi. Poczowała gładką wypukłość. Delikatnie objęła piersi. Były ciepłe i sprężyste.

Zacisnęła powieki. „Hej”, usłyszała w głowie. Twarde, dźwięczne, pewne siebie.

Facet nie stanowi o wartości kobiety. Jest dwudziesty pierwszy wiek, wolność rządu.

Delikatnie ścisnęła piersi, zbierając je ku sobie. Woda, do tej pory gładko spływająca rowkiem pomiędzy nimi, teraz zaczęła oblewać cały dekolt.

Widziała twarz Gazdy. Smukłą, z orlim nosem i ciemnymi oczami.

Ten facet jej się podobał. Kiedy pierwszy raz z nim rozmawiała, poczuła przyjemny dreszcz. Zupełnie od niej niezależny, płynący gdzieś z głębi.

Naparła dłońmi na piersi. Podtrzymywała je od spodu, dociskając do siebie, a kciuki rozpoczęły synchroniczną wędrówkę ku sutkom.

Wyglądał męsko. Każdy może sobie wyglądać, jak chce, kobiety mogą robić się na facetów, faceci wydobywać z siebie delikatność, łąsi, zarośnięci, chudzi, grubi. Ją jednak pociągał taki lekko testosteronowy typ. Tak jak gej nie będzie się oglądał za taką na przykład Kaśką z baru, tak jej nie ruszają wydelikaceni blondyni. Namiętność rządzi się swoimi prawami.

Sutki stwardniały, kciuki przyspieszyły.

Od dawna już nie była z żadnym mężczyzną. Zresztą poprzednie hotelowe spotkania to też nie był jakiś deszcz orgazmów. W takich układach każdy chce wycisnąć jak najwięcej dla siebie. Im się to lepiej udawało, bo wiedzieli, że to jednorazowo. Ona się wolniej rozkręcała, poza tym zawsze się dawała nabrać na to, że to początek czegoś nowego. Więc bywało, że budziła się z kaczem, poobcierana, a i tak z niewolnionym napięciem w podbrzuszu.

Gazda jest pewnie dobrze zbudowany, żadne blade ciasto-plasto.

Lewa ręka powędrowała w dół.

W zeszłym roku ten ostatni był zdziwiony, że ma tam „gąszcz”. Amator gładkich

lolitek się znalazł.

Palec przedarł się przez sztywny skręt. Potrzebowała trzech jego posunięć, żeby poczuć konwulsyjny skurcz w brzuchu.

Oparła się czołem o beżowe kafelki. Po kilku chwilach uspokoiła oddech.

Zawsze potem czuła to samo: odprężenie, smutek, brak, wstyd – wszystko razem. Dziś pomyślała jeszcze, że oprócz tego, że brakuje jej seksu, to zwyczajnie nie potrafi sobie poradzić z napięciem, które w niej rośnie – czy podoła tej sprawie. Dopóki stres dotyczył zwykłych, codziennych sytuacji, jakoś szło – piwo, kilka kieliszków wina, podła uwaga wobec Remka, kilka kurw rzuconych w powietrze. Teraz to nie wystarczało. Jeśli nie nauczy się nad tym panować, spali się – tyle wiedziała i bez psychologicznego grzebania w głowie.

Spłukała szampon i zakręciła wodę. Wyszła z kabiny i zrobiło się jej zimno – różnica temperatur była odczuwalna. Energicznie wytarła się ręcznikiem i z trudem wciągnęła ciuchy na wilgotne ciało.

– Po co ktoś miałby zabić Chyca? – powtórzyła na głos pytanie, które zajmowało ją przed prysznicem. Siedziała przy stole w kuchni nad kanapkami z twarogiem.

Jeśli nie seryjność, to co? Chodziło o materialny zysk? To drugi z najczęstszych motywów zabijania, ale Sidorczuk chyba słusznie go wykluczył. Po pierwsze, Chycowi nie było czego ukraść – nawet ten dumny rower został, a po drugie, samo zabójstwo i sposób ukrycia ciała... Gdyby facet miał prostacko rozplataną czaszkę, można by dopuścić taki wariant, przecież zdarzają się mordy dla małych kwot. Tym razem jednak było inaczej. „Prawdopodobnie uduszenie”, powiedział Józwik. Grzegorz Chyc miał jednak sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Zajmował się ciesielką, był postawnym młodym facetem. Takiego niełatwo zabić gołymi rękami. Na pewno by się bronił, chyba że został zaskoczony. Dla kasy się raczej ludzi nie dusi, w tym przypadku inne metody unieruchomienia przeważają. Jeśli nie psychopata, nie konflikt i nie pieniądze, to zostają morderstwo na zlecenie i zbrodnia na tle seksualnym. Ostatni wariant odpada, a zlecenie?... To raczej nie był podhalański mafioso.

Dopiła letnią już herbatę.

Z akt zostawionych przez Sidorczuka niewiele już wycisnie. Źródłem informacji o Grzegorz Chycu mógłby być Świątkowski, ale nie żyje. Swoją drogą ten facet był dziwny. Nie chodziło o pochodzenie, zresztą niepotwierdzone do końca, ale o tę samotność i skrytość. Z nikim nie był, nikomu się nie zwierzał. Co ukrywał? Musi

pogadać z jego synem, choć z tego, co mówili Stykowscy, wynika, że on też jest zaburzony, tylko w drugą stronę.

Koledzy Chyca z budowy również nic nie wniesli. Same ogólniki, ktoś komuś kogoś polecił, tak to się nie bratali. Swoje zrobili, wyjechali. On pił, ale oni też pili.

Brat miał z nim na pieńku.

Dziewczyna go nie chciała.

Facet w tych zeznaniach nie wyglądał na miłego misia – osoby z jego otoczenia raczej by nie skoczyły za nim w ogień. No ale zginął tu, nie tam.

A na miejscu? Na Mazurach, w Jeziorowskich lub gdzieś w okolicy?... Może tutaj kogoś poznał? Zasuwał na budowie, ale przecież nie samą robotą żył. Musiał coś jeść, iść do jakiegoś sklepu, może do baru?...

„Balladyna”, pomyślała. „Swojski bar dla estetycznie niewymagających, z dużymi porcjami i piwem. W Jeziorowskich są lokale dla turystów, ale nie te ceny, nie ten klimat. Jeśli gdzieś by trafił, to właśnie do Balladyny”.

Wyszukała w internecie numer telefonu.

– Mariusz Dybek. Halo? – Usłyszała zasapany głos i szum drogi.

– Wiera Jezierska, Komenda Policji w Giżycku. Może pan teraz rozmawiać?

– Dzień dobry – powiedział niepewnie. – Niby mogę, właśnie z hurtowni wracam, dopiero co wysiadłem, ale ja nie wiem nic więcej niż to, co już pani powiedziałem. Gdybym sobie coś przypomniał, tobym zadzwonił.

– Chciałam zapytać o kogoś innego. Grzegorza Chyca pan znał? To ten mężczyzna, który pracował przy budowie domu Adama Świątkowskiego. Jeden z trzech, który został najdłużej.

– Ten, co go zabili.

– Jak zawsze jest pan dobrze poinformowany.

– Da pani spokój, no przecież takie rzeczy się rozchodzą. Zresztą to nie tajemnica.

– Nie tajemnica – zgodziła się Wiera. – Znał go pan? Przychodził do Balladyny?

– Znać nie znałem, ani brat, ani swat, ale był w barze kilka razy. Dwa, może trzy, tyle razy mi mignął w każdym razie – przyznał niechętnie Dybek. – Raz przyszli we trzech, a potem ten jeden się tylko pojawiał.

– A skąd pan wiedział, że to właśnie Grzegorz Chyc, a nie któryś z tych dwóch pozostałych?

– Bo na rowerze przyjeżdżał...

„To też wszyscy wiedzą”, pomyślała Wiera.

– Odstawiał go przy wejściu. Nasi to wiedzą, że z boku budynku się zostawia, a ten – przy drzwiach. A że nie nasz, to było z daleka widać – nos jak Wielka Krokiew. Poza tym on w tygodniu nie przychodził, widać dużo pracował. W weekendy bywał. W kościele na mszy też mi mignął. Nie ma się co dziwić, górale są wierzący, chyba najbardziej, tak papież mówił, ten nasz, nie ten, co teraz.

– Coś jeszcze pan pamięta?

– Głowę miał mocną, tyle pamiętam. Dużo zjadł, ale wypił jeszcze więcej... – powiedział Dybek. – A on miał żonę? – zapytał nagle.

– A skąd to pytanie? – Wiera odbiła piłeczkę.

– Bo mnie się tak wydawało, że ta Kamila, co u właściciela potem sprzątała i co pani, znaczy pani sierżant, o nią pytała, to jakoś tak...

– Ta, którą Świątkowski u pana poznał? Balladyna to niezły punkt kontaktowy.

– Zaraz wyjdzie, że ja w to jakoś zamieszany – obruszył się. – Jest racja w tym, żeby się przed policją nie wychylać.

– Zatajanie informacji to przestępstwo.

– Nie zatajam. Bar prowadzę, ludzie przychodzą, znajomości się zawiązują. Zwyczajna sprawa. Ona się jakoś wtedy z właścicielem zgadała, żeby mu ogarniać czystość, tak jak już mówiłem. A teraz mi się przypomniało, jak pani sierżant o tego nieżywego zapytała, że raz ich widziałem razem w barze.

– Raz? To może zbyt daleko idące wnioski.

– Raz, więcej nie, ale takie rzeczy się czuje. Rozumie pani... – Zawiesił głos. Chyba miało być filuternie, a wyszło obleśnie. Nie zareagowała. – Więc gdyby on miał żonę, toby było głupio mówić, niech ma dobre wspomnienia po mężu...

– Jak ta dziewczyna się nazywała? Kamila... Kurek?

– Tak. Kamila Kurek. Ale jej tu nie ma, wyjechała, to też mówiłem już.

– Jak wyjechała, to znaczy, że wcześniej była. Wie pan, gdzie mieszka?

– Nowy adres? Tego to naprawdę nie. A stary, tutejszy, to tylko tyle, że z matką, gdzieś w okolicy. Wszystko tutaj było dorywcze, tak mówiła. Jakoś daleko pojechała. Ludzie gadali – zaakcentował pierwszy wyraz – ja tylko powtarzam, że wyjechała wykorzystywać w pracy wygląd, bo ona była bardzo ładna, to akurat mogę potwierdzić, he, he.

„Oblech”.

- Ale dokąd, to nie wiem, naprawdę – spoważniał.
 - Dobra, dziękuję. Gdyby coś się jeszcze panu przypomniało, proszę dać znać.
 - Oczywiście. No i zapraszam na pierogi. – Znów ten ton.
- „Oblech”, pomyślała po raz drugi.

*

- Czuję, że się kręcę w miejscu, szefie – powiedziała.
- Mieć za dużo to lepiej, niż mieć za mało. – Januszowi Kosoniowi w końcu udało się rozerwać foliowe opakowanie. Pudełka zapalek rozsypały się po biurku.
 - Nie wiem... Jak się nic nie ma, to człowiek drapie głębiej, w różne strony i w końcu coś chapnie. Taki instynkt łowczy. A kiedy ma w garści różne wątki, to mu trudno któryś odsunąć. A może ta dziewczyna ma znaczenie?
 - Która? Stara czy nowa? – zapytał Kosoń, nie odrywając wzroku od szuflady, w której układał zapalki.
 - W sumie to obie.
 - Młody facet, relacje damsko-męskie mają wtedy znaczenie. A on był całkiem przystojny. Górale tak mają. – Podniósł wzrok.
- Wiera przypomniała sobie poranny prysznic. Otrząsnęła się.
- Kamila Kurek wypłynęła teraz, zresztą to jeszcze do zrewidowania, bo może ona tylko raz się przysiadła, a Dybek sobie resztę dopowiedział.
 - Może. – Kosoń kiwnął głową. – Ale sprawdzić trzeba, zwłaszcza że potem sprzątała u Świątkowskiego.
 - Już ją zaczęłam sprawdzać. Dybek niby powiedział, że wyjechała, ale zameldowana jest cały czas w Pieczonkach, u matki. Podjadę pogadać.
- Kosoń znowu kiwnął głową.
- Jest jeszcze Tomek Świątkowski, syn. Ciekawa postać. Dwa razy notowany za bójki.
 - O, proszę. Coś więcej?
 - Właściwie nie. Rozróby na mieście, pod jakimiś klubami. Stykowscy wspominali, że on lubi rozrywkowe życie. Tyle tylko, że ojca miał w dupie, rzadko się widywali. Dobra, szefie, jadę do tych Pieczonek, od czegoś trzeba zacząć.

*

Czuła się tak, jakby przyjechała do domu rodzinnego. Przechylony płot, szare, gdzieśgdzie omszałe sztachety, szorująca o ziemię furtka. Drewniana chałupa w kolorze zwietrzałej musztardy, grube liście pelargonii prześwitujące przez kołkowe firanki. I nawet matka była podobna – w tej samej co otoczenie kolorystyce, ewidentnie zmęczona życiem.

– Na pewno nic się nie stało? – zapytała Maria Kurek, po raz kolejny wycierając ręce w ścierkę.

Stały w kuchni. Gospodyni nie zaproponowała, żeby usiadły, Wiera nie miała ochoty spędzić tu dużo czasu. Zapytać, dostać odpowiedź, odjechać.

– Jak powiedziałam, szukamy świadków.

– Tak, wiem, przepraszam. No ale Kamilka jest teraz w Rzeszowie.

– Daleko – powiedziała Wiera. „Przez pół Polski czmychnęła”, pomyślała. „Ciekawe, przed czym tak związa?...”

– Daleko, daleko – kobieta pokiwała głową – ale co ją tutaj trzymało?... Perspektyw brak, pracy brak, beznadzieja. Jakies dorywcze roboty, w sezonie ciut lepiej, ale poza... Pani też młoda, pani to na pewno rozumie. Tyle że pani w policji pracuje. Zawód pewny, można w domu zostać... Kamilka jednak do czego innego była stworzona. Od kiedy pamiętam, lubiła się czesać, umalować. I teraz zrobiła z tego zajęcie, którym zarabia, bo w Rzeszowie pracuje w salonie kosmetycznym. Swoim. – Szarą kolorystykę twarzy kobiety ożywił jasny rumieniec. Pewnie od dawna nie wypowiedziała tylu słów na raz.

– A kiedy tu mieszkała, to gdzie pracowała? Podobno sprzątała?...

– Zajmowała się domem u takiego jednego pana z Warszawy. – Wszystko w tym zdaniu miało podkreślić, że córka nie była po prostu sprzątaczką. – Kulturalny, miły człowiek. Dom nowy, działka duża. A on był sam, nie najmłodszy.

– Miał syna.

– Tak? Kamilka nigdy nie opowiadała. No, różnie to bywa, gdy się rodzic zestarzeje. Ja nie mogę narzekać, Kamilka się interesuje, dzwoni. Bardzo się mną interesuje. Bardzo.

– Często przyjeżdża?

– No... Jak pani sama powiedziała, to daleko. Pracy dużo, a Kamilka zawsze była taka delikatna. Kiedy była mała, to po lekarzach z nią chodziłam, do sanatorium nawet jeździła, do Rabki, z kośćcem miała problem. O, widzi pani, karteczkę sobie wtedy

kupiłyśmy, do dziś ją mam postawioną w kredensie. – Kobieta zrobiła krok w stronę niedużej szafki w kolorze zażółconej bieli i otworzyła przeszklone drzwiczki. Wiera dostrzegła wyblakłą już trochę pocztówkę, na której były mozaika zdjęć i duży czerwony napis „Rabka”. Obok stały buteleczka perfum i porcelanowy pojemniczek, może na pieniądze, może na jakąś biżuterię. „Same skarby”, pomyślała.

– Jeszcze w dorosłości miała problemy z kręgosłupem, operację robiła. Musi się oszczędzać. – Kurek zamknęła drzwiczki.

„Czyli nie przyjeżdża”, pomyślała Wiera.

– A kiedy pomagała Świątkowskiemu, to nie spotykała się z kimś u niego?

– Z kim niby? – zdziwiła się kobieta.

– Z jednym z górali, którzy stawiali ten dom.

– E, nie. – Machnęła ścierką w powietrzu, jakby odganiała muchę.

– Na pewno? Może po prostu nie wspominała?...

– Na pewno. – Kurkowa energicznie pokiwała głową. – Kamilka nie interesowałaby się robotnikiem. Nie to, żeby jakaś praca hańbiła, Boże broń, ale moja córka chciała czegoś innego, lepszego. A z robotnikiem... Nie, na pewno nie.

Wiera pokiwała głową. Mogła zrozumieć taką motywację.

*

Dzień był naprawdę piękny. Gdyby nie temperatura, można by pomyśleć, że to chwilę przed wakacjami. Wiera postanowiła wrócić do Giżycka dłuższą trasą, przez Kruklanki. Droga wyglądała bajecznie, jak z obrazu. „Jak się nazywali ci goście, co mieli taką technikę malowania?”, patrzyła na kolorowe pasy przed nią: tam, gdzie korony drzew wpuszczały światło, były one błyszczące, tam, gdzie panował cień – matowe. Układ zmieniał się co chwilę; było to piękne, ale i trochę męczące dla wzroku. Wiera kilka razy zamrugnęła i w tym samym momencie usłyszała szelest po lewej stronie oraz poczuła delikatny podmuch powietrza, który owionął auto. Kiedy znowu wpatrzyła się w drogę przed sobą, dostrzegła na niej szybko oddalającą się czarną terenówkę, której numer rejestracyjny zaczynał się od KR.

Przyspieszyła.

Przed tablicą z terenem zabudowanym auto delikatnie zwolniło. Wiera tylko przez chwilę się zawahała, czy skręcić w lewo, do sześćdziesiątki trójki, czy pojechać za czarną terenówką w kierunku Jeziorowskich.

Na końcu wsi samochód ponownie zamrugał czerwonymi światłami – tym razem hamowanie było intensywniejsze. Teraz mignął kierunkowskaz i auto zjechało w polną drogę prowadzącą do domu Stykowskich.

Wiera skręciła za nim.

ROZDZIAŁ 10

1985, Podhale

Bolało go coraz mocniej. Dziś rano nie mógł zapiąć koszuli. Palce były jak nie jego – chciał je zgiąć, żeby przecisnąć guziki przez otwory w materiale, i nie mógł. Łokieć też nie chciał go słuchać, a kość między nim a dłonią rwała i paliła, mimo że nic sobie w tę rękę nie zrobił. Zaczęło się z rok temu, znaczy z tą ręką. Wcześniej to z męskimi sprawami się popsuło, ze trzy lata albo lepiej będzie. Że człowiek na starość źle działa, normalne, ale żeby aż tak? Może gdyby Zośka jeszcze żyła, toby wcześniej się do doktora wybrał, choć do ich przychodni wtedy młodą doktorkę przysłali i tak jakoś głupio było o tych sprawach mówić kobiecie, i to takiej siksie. „Przejdzie może”, myślał. Zośka mu jakichś ziół zaparzała. Nie przeszło. Potem Zośka sama się zebrała na tamten świat. Migusiem, trzy miesiące, i już. Podobno nerki. Kto by się spodział? On myślał, że w szpitalu ją podlecza, zaradzą coś, w końcu od tego są szpitale. Zośka czuła chyba, że koniec bliski, bo nim karetka po nią przyjechała, powiedziała do niego: „Idźże się pomódl”. Kiwnął głową, choć widział różaniec u niej w ręku. „Dwa razy Pambuka prosić o zdrowie to lepiej niż raz”, pomyślał. Ukląkł przy jej łóżku, głowę schylił, dłonie splótł, a ona do niego „Nie tu, na cmentarzu”. Zgłupiał. Ma czekać, aż ona umrze? „Za tamtego”, odparła. I nic, tylko tyle. Potem ją sanitariusze wzięli i to było ostatni raz, kiedy ją widział za życia. W trumnie spokojnie sobie leżała, też z różańcem w dłoniach, chociaż ciężko było włożyć, bo jej palce były jak jego teraz – sztywne, zakrzywione, jakby nie chciała przyjąć tych świętych paciorków. E, nie, niemożliwe, Zośka to zawsze z tym różańcem, zawsze do ich Gaździny się modliła, bo ona tu, na Podhalu, pierwsza po Pambuku, a może nawet w ogóle pierwsza, w końcu to matka. Matka Boska Ludźmierska.

Z trudem skończył ubieranie. Duszno mu było, chociaż kanikuły jeszcze nie

przyszły. Doktor, bo w końcu poszedł, akurat drugiego zatrudnili, jeden dzień w tygodniu, starszy już, z Krakowa, obejrzał go, pomilczał, pokręcił głową, a potem powiedział, że to rak. I teraz to już tylko pastylki na ból może dać. Brał je, ale niewiele pomagały.

Wyszedł przed dom, obejrzał się, jakby miał tu nigdy nie wrócić. Położył dużą, zniszczoną dłoń na płazie. To drewno z ojcowego lasu. Przeżyje jego, jego syna i syna jego syna, co to już za chwilę do szkoły pójdzie. Temu małemu najbardziej zazdrościł – w innych czasach na świecie się pojawił, w takie historie się nie wplącze. Spokojnie będzie zasypiał. Raz jeszcze pogłaskał ciepłe drewno.

– Nos nie bendzie, a ono bendzie – powiedział do siebie.

Musiał się spieszyć, pociąg do Nowego Targu odjeżdżał w południe. A potem będzie musiał znaleźć grób tamtego, nie wiadomo gdzie, i nim stanie przed Najwyższym, załatwić tę sprawę raz na zawsze.

– Jechałem za szybko? – zapytał, gdy się przedstawiła.

– Na pewno. To był teren zabudowany.

Wiera rozpoznawała ten typ facetów. Przy kasie, pewni siebie, mający wywalone na wszystko. Gdyby się poznali w innej sytuacji, pewnie próbowałby ją zbajerować, a potem użyć, jak chusteczkę jednorazową. Znała to z czasów, gdy była bardziej naiwna.

– Pani, mimo trudnych warunków technicznych – spojrzał na jej starą toyotę – też przekroczyła prędkość, skoro mnie nie zgubiła. – Uśmiechnął się. Stał oparty o samochód, ręce trzymał w kieszeniach.

– Nie jestem z drogówki. – Wkurzał ją, a nie powinien. Była na służbie, to, co mówił do niej, mówił do funkcjonariuszki. – Jest pan synem Adama Świątkowskiego.

– Tak twierdzi matka. W każdym razie mamy to samo nazwisko. – Nie zmienił pozycji.

– Nie był pan z ojcem w bliskich relacjach, dom już do pana nie należy, a mimo to przyjechał pan do Jeziorowskich.

– To zabronione?

Prowokował ją, ewidentnie. Wiera poczuła, że puls jej przyspiesza. Mogła mu odpysknąć, ale co by jej z tego przyszło? Chciała z nim pogadać o ojcu i ten cel

powinien być ważniejszy niż jej chwilowy dobrostan psychiczny.

– Nie, oczywiście, że nie. – Czuła, jakby miała kluchy w gardle. Zmuszanie się do uprzejmości dużo ją kosztowało. – Pomyślałam po prostu, że skoro już pan tu jest, to mógłby mi pan udzielić kilku informacji o ojcu.

– To włamanie i ten trup mają z nim coś wspólnego? – Odkleił się od karoserii. W nim też zaczynała wygrywać ciekawość.

Wiera dostrzegła kątem oka jakiś ruch. Obróciła głowę w prawo. W otwartych drzwiach zobaczyła Karolinę Stykowską. Kobieta stała i patrzyła na nich, nie zdecydowała się jednak podejść. Po chwili zniknęła we wnętrzu.

– Od Stykowskich ma pan te wszystkie informacje?

Kiwnął głową.

– Twierdzili, że nie utrzymujecie bliższych kontaktów.

– Bo nie utrzymujemy. Sytuacja jest jednak niecodzienna, a dom wcześniej należał do mojego ojca, ja im go odsprzedałem. Uznali, że powinienem wiedzieć. Policja też zresztą się cofa w śledztwie, skoro chce pani ze mną rozmawiać o ojcu.

Wahała się, jak to rozegrać. Na litość czy w wariancie „coś panu zdradzę”. „Chyba miks”, zdecydowała.

– Poprosili pana o przyjazd? – zapytała.

– Nie. Tak jak pani powiedziałem – uznali, że powinienem po prostu wiedzieć. I tyle.

– Wiedzieć to jedno, a przyjechać – drugie. Daleko pan ma. – Spojrzała na rejestrację.

– Drogę teraz dobre, kraj się rozwija, w pracy luz. Więc przyjechałem. – Znowu ten sam ton. – Wie pani, oni nie są w komfortowej sytuacji – w ich chałupie leżał sobie trup. A ponieważ znalazł się tam za kadencji ojca, to się poczułem.

– Do czego? Do wyjaśnień? A może do tego, żeby odkupić od nich dom, skoro został sprzedany z... felerem.

Roześmiał się.

– Dobre określenie. Tak, ojciec był felerny. I za życia, i po śmierci. – Jakby spoważniał. – Przejdziemy się? – dodał już całkiem serio, wskazując głową drogę w dół, do jeziora.

Ruszyli.

Ponieważ on milczał, Jezierska zapytała:

– Znał pan Grzegorza Chyca?

– Tego zamordowanego? Z krótkich wspominek.

– I co w tych wspominkach było?

– Nic ważnego, nic ciekawego. Ojciec nie wchodził w głębsze relacje z innymi ludźmi. Traktował ich...

– Użytkowo?... – odpowiedziała.

– Użytkowo? – Obrócił się w jej stronę. Doszli do linii brzegowej. W tym miejscu była gęsto zarośnięta; jedyna przecinka to stary, krótki pomost z częściowo brakującymi deskami.

– Ojciec u siebie zrobił ładne zejście. Nawet piasku nasypał. Zawsze, jak się do czegoś brał, to przeprowadzał to perfekcyjnie. Nie, nie traktował ludzi użytkowo. Zatrudniał ich, dobrze im płacił, terminowo, tyle że nie obchodzili go prywatnie. On generalnie nie był zainteresowany ludźmi. Sam żył, sam umarł.

– Karolina Stykowska powiedziała, że być może był odmiernej orientacji.

– Nie, bardzo wątpię. W gejach jest taka fajna wola życia, radość, bardziej niż w innych, to pewnie dodatkowy mechanizm obronny. W każdym razie ojciec nie był z nikim związany, ani z facetem, ani z kobietą.

– Wiktor Stykowski powiedział, zasugerował właściwie, że pana ojciec był pochodzenia żydowskiego.

– Zasugerował? To dobre. – Roześmiał się. Głośno, nieprzyjemnie. – Pani nie rozumie, co mnie tak rozbawiło? – zapytał, patrząc na nią.

Lekko pokręciła głową. Ten facet był dziwny. Antypatyczny, bezczelny, ale z jakimś przebłyskiem ludzkich odruchów.

– Mój ojciec to był jego najlepszy przyjaciel. Jedyny przyjaciel. I facet, po tylu latach, nie wie, z jakiej matki ojciec był. To chore, nie?

Nie odpowiedziała. W tym przypadku jej osąd nie byłby kategoriyczny.

– Ojciec był szurnięty, ta sprawa go niszczyła, obsesję miał. Tak, był Żydem. Ukrytym Żydem. Żydem ukrywającym się. Ja wszystko rozumiem, to żaden bonus w Polsce być Żydem, ale bez przesady, u niego to przyjęło wynaturzoną formę. Coś pani powiem, bo i tak się pani dowie. Mógłbym nie być miły i nie ułatwiać, ale nic do pani nie mam, więc potwierdzę wersję Stykowskiego.

Odetchnęła. Uprzejmość się opłacała. Niestety.

– Ojciec urodził się w żydowskiej rodzinie podczas wojny. Przeżył tylko on.

Adoptowała go jakaś ciotka, daleka, w sumie to chyba żadna krewna. Polka, wychowywała go normalnie, znaczy po polsku, kościół i te sprawy. Wzięła go na aryjską stronę, na jakiś czas, a okazało się, że do końca życia. Ojciec nic nie wiedział o swoim prawdziwym pochodzeniu. Poznał moją matkę, ożenił się. Kiedy matka była ze mną w ciąży, ta ciotka zachorowała i na łożu śmierci wyznała ojcu prawdę. Od tego czasu, tak mówi matka, ojcu kompletnie odwaliło. Do tego stopnia, że matka nie potrafiła z nim wytrzymać i się rozstali. Uwierzy pani? Nie że on kogoś miał albo ona, tylko sytuacja była taka, że nie szło z nim wytrzymać.

– A dokładniej – dlaczego nie dało się z nim wytrzymać?

– Zaczął mieć jakieś obsesje, omamy. Dopiero wtedy, mimo że podczas wojny nie był taki mały, pod koniec miał cztery lata. Niby powinien coś z tego okresu pamiętać, ale może takie rzeczy się zapomina. Zapomniał na przykład o tym, że dwa i pół roku spędził w szafie, żeby przeżyć. Przypomniało mu się, kiedy ta ciotka mu o tym opowiedziała. Wszędzie wietrzył spiski. No i koniecznie chciał poznać swoją przeszłość, krewnych i tak dalej. Teraz to chyba łatwiej przeprowadzić, są różne źródła, internet, archiwa, instytucje. A wtedy...

– A kiedy to dokładnie było?

– Osiemdziesiąty ósmy rok. Byłem trzylatkiem.

– Mieszkaliście w Krakowie?

– Tak. Matka tam została, ojciec się wyniósł z domu. Do mieszkania tej ciotki, która już zdążyła umrzeć. A potem w ogóle z Krakowa, do Warszawy. Na koniec kupił sobie domek w Sulejówku.

– A dlaczego tam?

Świątkowski wzruszył ramionami.

– Podobało mu się. Pod lasem, cisza, blisko do Warszawy, jakby co. W sumie to się naciął, bo kupował w lecie, a jak przyszedł sezon grzewczy, to powietrze jak na Śląsku. Świadomość ekologiczna Polaków to dno. Wkurwiał się na to.

– Może stąd pomysł na te Mazury?

– Może.

– A dlaczego dom z Podhala przeniósł?

– Lubił góry, po prostu. Znaczy nie po prostu, bo u ojca wszystko było dziwne. Ściągnął tę chałupę, odnawiał, składał. Gadał o szczegółach, ale dlaczego w ogóle?... Może na zasadzie, że coś stamtąd, z ziemi, którą lubił, bo na Podhalu nie chciał

zamieszkać na stałe?... Całe życie miał jakieś takie ciągoty do tych terenów i jednocześnie odpychało go od tego miejsca. Mówił, że nigdzie nie jest u siebie. Za ojcem trudno było trafić.

– Wie pan, od kogo kupił dom?

Mężczyzna pokręcił głową.

„Nikomui nie powiedział”, pomyślała.

– Adam Świątkowski rzeczywiście był skrytym człowiekiem.

– Abraham. To było jego prawdziwe imię.

– W dokumentach ma inne.

– Sfałszowana metryka, zrobiona na wojenne potrzeby.

– A nazwisko? Znaczy to prawdziwe.

– Nie wiem.

– A coś o dziadkach pan wie?

– Tyle, że oboje trafili do getta. Babce udało się umieścić syna po aryjskiej stronie u tej pseudociotki właśnie, sama zginęła, prawdopodobnie już po wywiezieniu do obozu. W Bergen-Belsen, zdaje się. Dziadek uciekł na Słowację, do Czerwonego Klasztoru.

– Klasztoru?... – zdziwiła się.

– Wtedy to nie był obiekt kościelny, tylko państwowy. Tam było jakieś gospodarstwo rolne czy coś takiego.

Teraz się kleiło, bardziej, niż gdyby Żyda mieli ukrywać księża.

– I tam zmarł?

– Nie. Udało mu się przeżyć wojnę, zmarł na wiosnę czterdziestego piątego roku. Ojciec rzeczywiście nie był w czepku urodzony. Dziadek nie zginął z rąk hitlerowców, mógłby się zająć synem, który byłby tylko półsierotą, a tu taki los. Zdążył jedynie wrócić do Polski i koniec. Może stąd u ojca ten sentyment do Podhala?

– Dlaczego? Co ma Kraków do Podhala?

– Jaki Kraków? Dziadek wrócił do Nowego Targu, gdzie mieszkali przed wojną.

– Ojciec nie był z Krakowa? Na pewno? W jego dokumentach jako miejsce urodzenia widnieje Kraków, Stykowsky też mówili...

– No. I imię Adam też tam jest – przerwał jej. – Dla wszystkich był Adamem Świątkowskim z Krakowa. W dziwacznym życiu ojca ten Nowy Targ to jeden z niewielu pewników.

*

Siedziała nad talerzem zupy i próbowała wpasować nowy klocek do reszty układanki. Co jej dawała wiedza, że Świątkowski był z Nowego Targu, nie z Krakowa? Czy to miało znaczenie? Grzegorz Chyc też był z Nowego Targu. Przypomniały się jej słowa Gazdy (kula ciepła przemknęła przez jej podbrzusze), że większość kamienic – także ta, w której mieszkała Chycowa z synem – była żydowska. Czy to możliwe, żeby akurat Świątkowskiego? Ale wtedy próbowałyby ją odzyskać, nawet z lokatorami. W takiej sytuacji miasto oddaje nieruchomość właścicielowi. To trwa, ale Świątkowski był bogatym człowiekiem, finanse go nie piliły. Mogłoby go pchać pragnienie sprawiedliwości, ale nigdzie nie było śladu po tym, że zaczął taką procedurę. Tak czy owak, trzeba to dokładniej sprawdzić.

Wpisała ten punkt do notesu. Podniosła łyżkę do ust. Dostała wersję z wkładką. Jasne, że wiedziała, że zupy się gotuje na mięsie, ale dopóki go nie znajdowała, nie połykała, to się rozgrzeszała z tego łamania wegetarianizmu. Zupa była jeszcze gorąca. I słodka. Kapuśniak na Mazurach to nie kapuśniak w górach. Zresztą tam to się nazywa kwaśnica. Wciąż pamiętała smak, który poznała na tej szkolnej wycieczce do Zakopanego. Zjadłaby teraz takiej kwaśnicy: wyrazistej, mocnej, prawdziwej.

– No proszę. Na diecie kapuścianej jesteście?

Ręka jej zadrżała i tłusty, mokry kleks pojawił się na kartce notesu.

– Sorry, nie chciałam cię wystraszyć. Myślałam, że mnie zauważyłaś. Patrzyłaś w stronę drzwi. – Maria Przyzwan przerzuciła płaszcz przez stojące obok Wiery krzesło.

– Zamyśliłam się.

– Prywatnie czy zawodowo?

– Zawodowo.

– Dobra, to kupię coś sobie i mi opowiesz.

Wiera odprowadziła prokuratorkę wzrokiem. Jak ona to robiła, że mimo tych szpilek i zgrabności była w jawnej kontrze do tradycyjnie pojmowanej kobiecości? Nawet kiedy wybierała jedzenie – wróciła z podwójną porcją naleśników pływających w śmietanie obficie posypanej cukrem.

– Jezus, ale jestem głodna. Taki dziś zapieprz, że dopiero teraz mam czas, żeby coś zjeść. – Z lubością wpakowała sobie do ust spory kawałek ciasta z serowym nadzieniem. Perfekcyjnie, bez żadnego rozbryzgu. – „Kamienica w Rynku.

Żydowska? Chyc a Świątkowski?” – przeczytała, wychylając się w stronę Wiery. – Coś nowego u rowerzysty?...

Wiera przez chwilę ze sobą walczyła.

– W sumie to nie wiem – przyznała w końcu. – To mało profesjonalne, że policjantka tak przed prokuratorką...

– No. Policjant przed prokuratorem toby nigdy, bo faceci zawsze wiedzą, są pewni, a jak się coś nie zgodzi, to się potem nagnie. No, to co tam masz?

– Rozmawiałam dziś z synem Świątkowskiego. Przyjechał do Stykowskich. Oni go poinformowali, a on się tu zjawił, bo „czuł się trochę odpowiedzialny, w końcu to od niego kupili dom”.

– Coś ukrywa?

– Nie sędzę. Wydaje mi się, że to raczej z ciekawości. Mówił też coś o obronie dobrego imienia ojca, który już sam się nie może wytłumaczyć, bo nie żyje.

– Ale to nie był ukochany tatuś, nie?

Wiera wzruszyła ramionami.

– Nie był. Kijowy mieli kontakt. Młody żył z matką, ojca odwiedzał sporadycznie. Jeszcze jak mieszkali w Krakowie, to częściej, a potem to się rozlazło. Mimo to on ma do niego jakiś stosunek emocjonalny. To w końcu ojciec.

– To w końcu ojciec. Nie lubię tego zdania. – Przyzwan zamasyście przejechała naleśnikiem przez śmietaną.

– Ale to nie w tym znaczeniu. W tym to i ja... Ojciec mu nic nie zrobił. Po prostu był dziwakiem. Był również Żydem, na pewno.

– I stąd ta kamienica? Na Rynku w Krakowie? Fiu, fiu...

– Nie, z Nowego Targu. Tyle że nie wiem, czy Świątkowskiego. *Nota bene* – w zeszycie z wyrazami była i ta pozycja – Abrahama.

– A skąd on by miał mieć tam kamienicę?

– Bo był z Nowego Targu, tak syn powiedział. Kraków i Adam to ze zmienionej metryki.

– No... – Przyzwan odłożyła sztucce – ...to by mogło mieć jakiś związek. Chyc też z Nowego Targu.

Wiera kiwnęła głową.

– Mieszkał z matką w pożydowskiej kamienicy, jeszcze nie sprawdziłam właściciela.

– Co jeszcze wiesz? – Przyzwan się jej przyglądała.

– Że Adama Świątkowskiego adoptowała jakaś ciotka, ale zdaje się przyszywana, nie krewna. Przeżył wojnę w Krakowie, matka zginęła w obozie, ojciec się uchwalił na Słowacji i wrócił do Polski, do Nowego Targu właśnie, ale umarł na wiosnę czterdziestego piątego.

– W Nowym Targu?

– Tak.

– A wiesz, na co umarł? Dlaczego?

– Nie wiem. Może jakiś wypadek, może choroba? – Wiera nie rozumiała, po co te uszczegółowienia. – Wtedy ludzie chorowali, na gruźlicę na przykład. Albo na zapalenie płuc czy na cokolwiek, bo nie było szczepionek. Albo byli wymęczeni, osłabieni wojną.

Przyzwan jeszcze przez chwilę na nią patrzyła, a potem odchyliła się od stołu i wygodniej rozsiadła, wyciągając nogi.

– Słyszałaś o przemocy na Podhalu?

Wiera po raz kolejny nie dojechała z łyżką do ust. Pytania i wolty tematyczne prokuratorce były dziwne.

– Tak. Sama pani prokurator mówiła, że Zakopane nie podpisało ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie i ochronie ofiar. Zresztą nie tylko Zakopane. No fakt, oni są recydywistami, i to okrągłymi, bo to już dziesiąty raz – Wiera to sprawdziła, więc mogła teraz zaprezentować tę odrobioną lekcję – ale tak zrobiło jeszcze sześć procent innych gmin, co daje...

– Nie o tę współczesną, polsko-polską, rodzinną przemoc pytam. Chodzi mi o przemoc wobec Żydów. Powojenną.

Wiera miała pustkę w głowie. Na historii tego nie omawiali. Nigdzie o tym nie słyszała.

– Powojenną? – powtórzyła.

– Tak. – Przyzwan kiwnęła głową. – Jak na przykład w Kielcach.

„Pogrom”, Wierze od razu dopasowało się odpowiednie słowo. Czytała o tym, nawet oglądała jakiś program w telewizji.

– No, to na Podhalu było tak samo, a może gorzej.

Wiera machinalnie objęła dłońmi talerz. Był ledwie ciepły.

– Jak to gorzej? – zapytała, choć było jej głupio, bo raz, że znowu obnażała swoją

niewiedzę, a dwa, że przeczuwała, co może usłyszeć. I wolałaby tego nie słuchać, bo miała taką konstrukcję, że każdą krzywdę, o której się dowiadywała, odchorowywała. Jednocześnie jednak w jej głowie uruchomił się ciąg myślowy: pogromy, zabójstwa po wojnie na Podhalu. Kto zabijał? Polacy, górale. Kogo? Żydów. Zginął ojciec Świątkowskiego, Żyd. W Nowym Targu. Kilkadziesiąt lat później, w domu Świątkowskiego, też Żyda, ginie góral, z Nowego Targu.

– Zaklikało? – Przyzwan trafnie odczytała milczenie Wiery.

– Tak, to znaczy tak ogólnie, bo o samej sytuacji to niewiele wiem.

– To sobie doczytaj w domu. O podhalańskich Żydach, którzy przeżyli obozowe piekło albo wojenną rzeczywistość ZSRR, a potem wrócili „do siebie”. Jedni nie chcieli, inni nie mogli tu żyć, myśleli o wyjeździe, byli i tacy, co nie zamierzali opuszczać Polski. Zginęli między czterdziestym piątym a czterdziestym siódmym, bo byli Żydami. Żydowskość ofiar pozbawiała oprawców skrupułów. Rabunek był elementem obok, dodatkowym, tak bym to ujęła. Zresztą nie zawsze maskowano to rabunkiem, jak na przykład podczas napadów na sanatorium w Rabce, gdzie po wojennej traumie dochodziły do siebie żydowskie dzieci. To zresztą było inspirowane przez księdza. Żydowskie dzieci z sanatorium w Zakopanem ostatecznie wywieziono z Polski. Odrębna sprawa to morderstwa dokonywane przez podkomendnych „Ognia”. No, to tak w dużym skrócie, jak Polacy dopełniali niemiecki zamysł, by uwolnić Podhale od Żydów. – Przyzwan wytarła usta chusteczką. – Nie mam pojęcia, jakie jest prawdopodobieństwo, że odprysk tamtych czasów dotyczył Chyca i Świątkowskiego, ale pogrzebać warto. W najgorszym wypadku po prostu się doksztalcisz. Choć to nie będzie przyjemna wiedza. Idę, bo mam spotkanie. – Przyzwan sięgnęła po płaszcz. – Będziemy w kontakcie.

Wiera przez chwilę siedziała nieruchomo, potem sięgnęła po łyżkę, żeby dokończyć zupę. Ostygła, słodka kapusta spęczniała jej w ustach. Odsunęła talerz, z obrzydzeniem patrząc na stężały bulion oblepiający kawałek żeberka z nieapetycznie odstającą kością.

ROZDZIAŁ 11

2014, Nowy Targ

Pchnął metalową furtkę. Zaskrzypiała.

Zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Zdjął czapkę. Po chwili ją włożył. Mylił się, mimo że wszystko wiedział. Tu trzeba być w nakryciu głowy.

Zanim przyszedł na cmentarz, był jeszcze w kinie i zakładzie ślusarskim. Do hallu kina wszedł bez problemu, z zakładem było trudniej. Zapytał o jakiś adres, facet w brudnym drelichu coś mu odpowiedział.

Nie wiedział, po co to robi. Żadne z tych miejsc nie przypominało synagogi, którą kiedyś było, a on sam nie wiedział, czy kiedyś, w dawnym świecie, ojciec go tutaj przyniósł. A mimo to za każdym razem, gdy był w Nowym Targu, pokonywał tę samą trasę, aż docierał na cmentarz. Kiedyś jeszcze wstępował do kościoła, ale dziś nie. Czuł się splątany.

Włożył rękę do kieszeni. Miał w niej kilka kamyków, zbierał je po mieście, podczas spaceru, a potem układał na grobach – różnych, zwykle na tych, gdzie żadnych kamyków nie było, bo to znaczyło, że nikt ich nie odwiedzał.

No i na tym jednym, najważniejszym, choć na innym cmentarzu, tym zwykłym, który się obronił podczas wojny.

Jego bliscy, jego ród, nawet po śmierci zawadzali – nawet takiego śladu jak kawałek kamienia nie mogli po sobie zostawić.

Nie trafiła palcem w odpowiednie okienko na ekranie, więc dźwięk alarmu znowu rozbrzmiał. Podniosła się i sięgnęła po telefon. Tym razem skutecznie zablokowała budzik.

Siedziała na łóżku, próbując otworzyć oczy. Pod powiekami miała piasek, głowa delikatnie pulsowała. Była cholernie niewyspana.

Po powrocie ze Świtezianki czytała opracowanie na temat żydowskich ofiar zbrojnej przemocy na Podhalu w dwóch pierwszych powojennych latach. Przyzwan SMS-em przysłała jej nazwisko autorki tego tekstu. Był dostępny w internecie. Kilkadziesiąt stron, trochę ponad godzinę zabrała jej lektura, ale to, co pojawiło się w jej głowie jako rezultat przyswojonych informacji, przyprawiło ją o dygot. Potem wyszukała jeszcze artykuły z prasy, a na koniec dowaliła sobie komentarze internautów. Długo nie mogła po tym wszystkim zasnąć. Przewracała się w łóżku, zastanawiając się, czy bardziej męczą ją nowo poznane fakty, czy zapiekłość i zac zadanie niektórych użytkowników internetu. Nawet jeśli przyjąć, że część z nich to trolle, specjalnie robiące rozróbę, to i tak ciężar nienawiści i głupoty przytłaczał.

Podniosła się i poczłapała do łazienki. Szybki prysznic pomógł tylko trochę.

Siedziała przy stole. Zrobiła sobie kanapki z dżemem i kawę z mlekiem i cukrem. Jedno i drugie wydawało się jej za słodkie.

Odsunęła talerz i kubek, sięgnęła po laptop. Odpaliła go, przez dłuższą chwilę czekając na pojawienie się docelowego ekranu. Powinna coś zrobić z tym sprzętem, wyczyścić dysk, a najlepiej kupić coś nowego, bo sześć lat to dla technologii wieczność. W końcu pojawiła się niebieska tapeta. Kliknęła na ikonkę „Zagląda2015-Panz.pdf”.

„Na pomniku poświęconym pamięci żołnierzy oddziałów partyzanckich Józefa Kurasia «Ognia», odsłoniętym w Zakopanem w sierpniu 2006 r. przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, umieszczono słowa Zbigniewa Herberta: «Nie dajmy zginąć poległym» (z tego samego wiersza pochodzi cytat rozpoczynający mój artykuł). Ówczesny sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik powiedział podczas uroczystości odsłonięcia pomnika: «Komuniści chcieli zabić Ognia podwójnie; zabić jego, ale też zabić pamięć o nim. Dziś przywracamy go do panteonu narodowej sławy. Nie wrócimy im życia, ale możemy przywrócić im pamięć i honor». Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że przywracanie sławy i pamięci żołnierzy wyklętych, w tym wypadku «Ognia» i jego podkomendnych, odbywa się niejednokrotnie kosztem pamięci o ich ofiarach i konsekwencjach wyrządzonego zła. Patrząc na ten zakopiański pomnik, trzeba mieć przed oczami skamieniałych z bólu rodziców dwunastoletniego Józefa Gallera, stojących nad jego krakowskim grobem, słyszeć szloch Jerzego Cynsa, który opowiada o śmierci swej matki, czytać słowa

bliskich Henryka Unterbucha i Beniamina Rosego... Oni także powinni znaleźć się w panteonie naszej narodowej pamięci”².

Od wczoraj była ogarnięta jedną, nieprzemijającą myślą – czy to możliwe, że ojciec Adama/Abrahama Świątkowskiego (jak on naprawdę miał na nazwisko? Musi to sprawdzić) też został zabity w ramach tej „żydowskiej czystki”, „nowej Zagłady”? A jeśli tak, to czy Świątkowski chciał, żeby jego ojciec znalazł się w „panteonie narodowej pamięci?”. Albo go, zwyczajnie, po ludzku, pomścić? To by oczywiście zakładało, że Grzegorz Chyc był synem, a raczej wnukiem górala, który dał się wciągnąć w tę machinę zła. Na tym etapie nic nie wiedziała o przeszłości młodego Chyca, tyle tylko, że jego ojciec już nie żył, a chałupę, zdaje się, że zbudowaną jeszcze przed wojną, Chyc sprzedał właśnie Adamowi Świątkowskiemu.

Miotła się. Z jednej strony wydawało się jej prawdopodobne, że ten trop jest prawdziwy, z drugiej – niemożliwe – zemsta po latach, poplątane ścieżki, jak... w Szańcu. A co z tym cholernym rowerem, co z innymi możliwymi wątkami, na przykład tej Kurek?...

„Czytałaś?”, piknął telefon, dostarczając wiadomość od Przyzwan.

„Tak. Nie wiem, czy to do połączenia z naszą sprawą. Teoretycznie tak, ale czy nie zbyt mało prawdopodobne?...” Dostawiła te kropki po to, żeby pokazać, że się nie tyle dystansuje, ile równolegle szuka innego wątku. Współczesnego, przyziemnego, bardziej prawdopodobnego. Tak powinna prowadzić to śledztwo, tyle że po prostu nic innego na razie nie miała. I nic innego nie było tak intrygujące.

„Prawdopodobne historie masz w nudnych książkach. Te prawdziwe – w życiu. Literatura by ich nie uniosła, na pewno nie ta pociągowo-samolotowa”, skwitowała te rozterki Przyzwan.

„«Pociągowo-samolotowa» literatura”, myślała Wiera. Znaczący dwie trzecie jej bibliotecznych wypożyczeń. Fakt, nie były to arcydzieła, nawet ona, bez filologicznych sukcesów w szkole, wiedziała, że ten język, te fabuły, ci bohaterowie – to wszystko jest średniej jakości. Po kilku miesiącach regularnego czytania (wybierała zwykle z półki „nowości”) miała wrażenie, że te wszystkie powieści i kryminały są zbudowane według dwóch schematów. Pierwszy to powtarzanie tego, co już było i co czytelnik zna, a drugi – historie tak nieprawdopodobne, tak z dupy wzięte, że przy nich ten wojenno-żydowski wątek wydawał się sztamą.

Pachniało wiosną. Dobrze pamiętała ten zapach, kiedy jeszcze mieszkali w drewnianej chałupie. Końcówka zimy to był wilgotny chłód w domu, bo ojciec uważał, że skoro już nie ma mrozu, to można sobie odpuścić dokładanie do pieca. Nienawidziła tego, lubiła ciepło pieca, buzujący ogień. Na zewnątrz ziemia miała wtedy ten niepowtarzalny zapach – żywej świeżości. Wydawał się jej wówczas taki... kobiecy. Może się nakładało na to ludowe, wiejskie myślenie: ziemia rodzi, wydaje owoce. W każdym razie myślała tak do dziś.

Chodnik kończył się na wysokości garaży, zupełnie tak, jakby jedynym możliwym sposobem opuszczenia tego osiedla był samochód. Reszta mieszkańców – w znakomitej większości kobiet i dzieci – szła dalej, do głównej ulicy, gruntową drogą, utwardzoną jakimiś kamykami, które w porze suchej pyliły, a w mokrej zamieniały się w błotnistą maź.

Skreśliła w lewo, wybierając ścieżkę wydeptaną w dzikiej łące. Po kilku minutach była już przed komendą.

*

– Stary... – Posterunkowy Staroń ściszył głos i podszedł bliżej do Wieri. – Stary – wyszeptał jej teraz do ucha i odsunął się o krok – cię szukał – dokończył już normalnym tonem.

Spojrzała na zegarek. Nie było jeszcze ósmej.

– Jestem przed czasem – stwierdziła.

– Dlatego mnie nie opieprzył ani nic, tylko kazał ci przekazać. W tej sprawie, niiii... prawda?

Kiwnęła głową.

– A masz coś jeszcze? Wójcik odfajkowany, super. – Wyprostował się, jakby wypinał pierś do orderu. – Ale to drugie... Ruszyło się jakoś?

– Ruszyło. – Nie miała teraz nastroju do dłuższych rozmów z Remkiem. – Dobra, idę. – Wyminęła go i poszła na pierwsze piętro.

*

– Słyszałem, że prowadzisz badania terenowe. – Zbigniew Król złożył ręce na brzuchu.

To była oczywista aluzja do Balladyny. „Ciekawe, czy on też tam jada?”, Wiera wpatrywała się w bęben, na którym opinała się koszula. W tym budynku nie dawało

się niczego ukryć. „No chyba że przestępstwo”, pomyślała.

Kiwnęła głową.

– I do czego cię przywiodły? Bo rozumiesz, nie chcemy, żeby tam pod górami myśleli sobie, że my tu na płaskim nie potrafimy sprawy rozwiązać.

– Zacznę od tego, że Piotr Wójcik ma już postawione zarzuty. Przyznał się do włamania i kradzieży.

Komendant się uśmiechnął.

– Bardzo dobrze, Jezierska, bardzo dobrze. Takich statystyk nam trzeba. Ale – lekko się nachylił w jej stronę – to już pchnięte, a teraz ta druga sprawa. Przechowaliśmy im człowieka pod deskami, a skoro już spod nich wychynął, to trzeba się za to energicznie wziąć.

– Oczywiście. – Niekomfortowo się czuła w obecności Króla. Zawsze trochę onieśmielona, zawsze trochę poirytowana. – Rzecz w tym, że Wójcik naprowadził nas na pewien trop. Nieoczywisty.

Miała to ułożone w głowie, jako tako się kleiło, gdy to sobie puszczała w myślach. Teraz, wypowiedane na głos, przed komendantem, brzmiało kulawo.

– No?... – Chrząknął.

– No... Nazwałabym to sprawą rozrachunkową.

Król kiwnął zachęcająco głową.

– Rozrachunek sprzed lat. Dawne krzywdy. Wyrównywanie ich po długim czasie. – Mówiła powoli i oględnie. Brzmiało niezłe. – Tropy zebrane podczas przesłuchania Wójcika i rozmowy z Dybkiem, właścicielem Balladyny, oraz rozpoznanie sytuacji rodzinnej Adama Świątkowskiego, poprzedniego właściciela domu oraz „pracodawcy” Grzegorza Chyca w kontakcie z Tomaszem Świątkowskim – „kurwa, ale bredzę” – pozwoliły na sformułowanie następującej hipotezy: syn Adama Świątkowskiego potwierdził przypuszczenia, że był on pochodzenia żydowskiego. Urodził się w Nowym Targu, nie w Krakowie. Wojnę spędził w Krakowie, w ukryciu, u obcej osoby. Jego matka zginęła w obozie, ojciec przeżył w klasztorze, znaczy w Czerwonym Klasztorze na Słowacji. Wrócił do Polski, do Nowego Targu, zaraz po wojnie. Nie zajął się jednak synem, bo zginął. Trzeba sprawdzić okoliczności, ale może być tak, że był on jedną z ofiar przeprowadzanych przez lokalną społeczność czystek żydowskich na Podhalu, a, przypominam, Chycowie mieszkają tam, znaczy w okolicy, od pokoleń. Do tego dochodzi wątek

mieszkania Chyca, dokładniej jego matki, w kamienicy w Rynku, która była własnością żydowską. I jeszcze obsesyjne zwichrowanie Adama Świątkowskiego, który, według syna, szukał korzeni, dokumentów. A być może także osób, które przyczyniły się do śmierci jego ojca. – Poczula, że ma mokre pachy. Sama już nie potrafiła ocenić, na ile to, co właśnie z siebie wyrzuciła, trzymało się kupy.

– Ty się dobrze czujesz, Jezierska? Nie naczytałaś się za dużo tych nowomodnych kryminałów, co to autorzy już nie wiedzą, co w nie włożyć, żeby było dziwniej i bardziej bulwersująco? – Król wstał, obszedł biurko i stanął przed Wierą. Twarz miała na wysokości jego brzucha. Zrobiło się jej lekko niedobrze. Też wstała.

– Istnieje teoria, słuszna, że prawdziwych historii literatura by nie uniosła... To, co panu komendantowi przedstawiłam, to jest oczywiście tylko przypuszczenie, ale z braku innych hipotez i niemożności odrzucenia tego wariantu od razu należy pójść tym tropem. Dodatkowo ta koncepcja zakłada, że to zabójstwo, mimo że u nas, to przez nikogo z mieszkańców niepopołnione. Obcy obcego zabił. – To ostatnie było dość żałosne, ale była przekonana, że ten argument nastawi komendanta przychylniej.

Król milczał. Chwilę postął, odwrócił się i podszedł do krzesła. Nie siadał.

– Jesteś pewna, Jezierska, że Wójcika można wykluczyć jako mordercę? Że te dwie sprawy się nie wiążą?

– W czasie, gdy najprawdopodobniej zginął Chyc, a obstawiamy, że to mniej więcej moment ostatniego logowania jego telefonu, Wójcik był właśnie w połowie odsiadki wyroku za paserstwo – od kwietnia do listopada dwa tysiące czternastego.

– A ten Świątkowski był notowany?

– Nie. Znaczy ojciec. Bo syn – tak. Ale to za bójki pod klubem, po alkoholu. Poza tym to bogaty facet, forsy jak lodu.

– A ten zamordowany, Chyc, miał tu z kimś jakieś kontakty?

– Według materiałów zebranych przez Sidorczyka – nie.

Zbigniew Król spojrział na nią tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał. Powinna wspomnieć o Kamili Kurek, która przewinęła się podczas rozmów, ale na razie jedynym potwierdzającym jej związek – i to krótki, ograniczający się do rozmowy w barze – był Dybek. Zajmie się tym, równolegle, ale póki co energia i intuicja niosły ją w innym kierunku.

– To co proponujesz? – Król w końcu się odezwał.

– Chciałabym przesłuchać Tadeusza Chyca, brata Grzegorza. Oraz sprawdzić losy ich ojca i dziadka.

– Mam ci tu chłopca ściągać z gór? – Król spojrział na nią tak, jakby go prosiła o podwyżkę.

– Nie, no oczywiście, że nie. Ja bym chciała go na miejscu przesłuchać. Przy okazji zapoznać się z materiałami zebranych w Nowym Targu. Spotkać z Antonim Gazdą, który współpracował z Sidorczukiem.

Król usiadł. Przełożył papiery z jednej kupki na drugą. Odłożył długopis do dużego fajansowego kubka na biurku z niewyraźną fotografią małego dziecka w pajacyku i z napisem „Najlepszemu dziadzi”.

– Zgoda, Jezierska, skontaktuj się z Nowym Targiem. Masz pamiętać o dwóch sprawach: to wszystko są na razie hipotezy, to raz. Dwa – pracuj nad innym wątkami. Przepięstwa nie są zwykle ciekawe, niech cię nie ponosi. I jeszcze – dodał głośniej, bo Wiera już wykonała półobrót, żeby wyjść – nie chcemy tu rozgłosu, rozumiesz? Czasem bywa tak, że jakiś trop wyda się śledczemu prawdziwy, ten trop rozbudzi w społeczeństwie niepotrzebne emocje, sensacyjne emocje, a na koniec fakty zostaną zweryfikowane i się okaże, że... że nic z tego.

Patrzyła komendantowi w oczy. Mimowolnie zacisnęła dłoń w pięść. Pierwszy raz od jesieni Zbigniew Król nawiązał – bez żadnych szczegółów, ale w oczywisty sposób – do sprawy Daniela Hryciuka.

Kiwnęła głową. Zęby też zacisnęła.

– A, no i jeszcze na sam koniec. Nie żebym to ja uważał, że to tak jest, ale trzeba to brać pod uwagę. Mam w domu taką ładną figurkę, na pomyślność. Stary Żyd z pieniążkiem. Skądś się takie przedstawianie tych ludzi wzięło, prawda. Więc zadbaj o dyskrecję, jeśli chodzi o pochodzenie Świątkowskiego. Stykowscy wyjadą i znowu będzie włamanie. Albo, nie daj Bóg, nie wyjadą i będzie włamanie, i... Po co ludzi kusić do złego?

ROZDZIAŁ 12

2014, Nowy Targ

Życie w ogóle na tym polega – żeby korzystać z okazji. Przeprowadzić swoje sprawy, wykorzystując wszystkie dostępne możliwości i asekurując się na wypadek, gdyby te możliwości nie były zgodne z prawem. W sumie to ostatnie było najważniejsze, bo tu, oczywiście po zminimalizowaniu ryzyka prawie do zera, zyski były największe.

To nie jest uczciwe, ale świat nie jest uczciwy wobec kobiet. Jedne się z tym godzą, inne próbują odwrócić porządek.

Ładne te góry; ładniejsze niż Mazury.

Billboard na billboardzie, jedne nowe, inne tak spłowiałe, że trudno było odczytać przekaz. Tematyka też zróżnicowana: eleganckie futra na atrakcyjnych blondynkach, swojskie kiełbasy, dające szczęście góralskim rodzinom, nowe piersi i szczupłe talie dzięki klinikom plastycznym i uroki gorących term. Zza wielkich konstrukcji z trudem przebijała się górzysto-zielona natura.

Morderstwo w Jeziorowskich przypominało krajobraz za oknem – trudno się było dokopać do prawdy. Wiera czuła, że w tej sprawie jest coś zagmatwanego, że nieistotne fakty i osoby, pchające się na pierwszy plan, zakłócają obraz – zupełnie jak te nachalne plakaty dokoła, które przesłaniały prawdę o tym miejscu.

Co miało znaczenie, a co było nieważne? Pochodzenie Świątkowskiego, tajemnicza śmierć jego ojca, niewiadoma przeszłość Chyca, możliwe, domagające się zemsty pobudki, jakiś prozaiczny motyw, włamanie, Wójcik, Kurek, rower?...

Od kilku dni i pięciuset pięćdziesięciu kilometrów się nad tym zastanawiała. I wciąż się czuła niepewnie, mimo przedstawionej Królowi wizji, którą on kupił. Co

do jednego miała pewność – zabójstwo Chyca nie było wynikiem najprostszych emocji, które każą działać natychmiast, bez myślenia, bez oglądania się na konsekwencje. „Z zimną krwią przeprowadzone”, takie było zdanie Józwicka. Częściowo je podzielała – bo czy finalne opanowanie wykluczało silne emocje? Może po prostu morderca potrafił trzymać je na wodzy?

Musiała odnaleźć prawdziwe dane Adama Świątkowskiego. Syn twierdził, że zna tylko oryginalne imię ojca. Nawet jednak jeśli za życia ojciec nie podał mu więcej szczegółów lub Tomasz Świątkowski nie chciał o nich wiedzieć, to przecież musiały zostać jakieś papiery, dokumenty. Zwykle jest tak, że spadkobiercy z trudem się przekopują przez szpargały, które leżą w opustoszałych mieszkaniach i domach. Rachunki sprzed dekady, stare bilety do kina, nieważna legitymacja zakładu pracy, listy zakupów, telegramy, pocztówki, świadectwo z piątej klasy – większość osób ma tendencję do obrastania w przeszłość – bo się przyda, bo to pamiątka, żeby coś po mnie pozostało. W przypadku Adama Świątkowskiego mogło jednak być inaczej, zwłaszcza jeśli to rzeczywiście on stał za morderstwem Chyca – wtedy zapewne usunąłby wszystko, co naprowadziłoby śledczych na jego trop.

Tomasz Świątkowski od dwóch dni nie odbierał od niej połączeń, nie zareagował też na wysłany przez nią SMS. Mógł, póki nie zostanie oficjalnie poproszony o złożenie zeznań. Nie posądzała go o mataczenie, raczej o nadużywanie alkoholu i hulaszczy tryb życia.

Kwerenda w archiwum lub parafii da jej tylko nowe, polskie dane. Zdążyła już na tyle zgłębić temat, że wiedziała, iż ukrywane żydowskie dzieci często dostawały metrykę po jakimś nieżyjącym polskim dziecku, przejmując jego życiorys. Czasem księża fałszowali metryki, wpisując w księgi fikcyjne dane; było to przeprowadzane w sposób jak najlepiej imitujący oryginał, żeby trudno było wykryć mistyfikację, więc dojście do prawdy po latach było cholernie trudne, o ile w ogóle możliwe.

Ustalenie oryginalnego nazwiska Świątkowskiego było ważnym elementem układanki, jeśli okazałoby się, że obstawiła dobry zestaw puzzli. Rok temu pewnie by w ogóle nie poszła tym tropem. Ciąg przestępca-ofiara-zbrodnia-kara jawił się jej czarno-biało, prosto, bez wątpliwości. Tymczasem to, co Kosoń nazwał kazuistyką, rzeczywiście istniało.

Ziewnęła. I znowu.

– Otrząśnij się, kurwa – powiedziała, przez chwilę patrząc na swoje odbicie w lusterku wstecznym.

Miała problem z ustaleniem proporcji między tępą bezrefleksyjnością a nudnym, pseudointelektualnym rozbieraniem rzeczywistości na części pierwsze.

„Nowy Targ 5”, zobaczyła tablicę.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz ciepłej myślała o Giżycku, na pewno dawno temu, jeśli w ogóle. Wjazd do Nowego Targu wywołał w niej jednak falę ciepła wobec miasta, w którym obecnie żyła i pracowała i z którego chciałaby się zwinąć. Zgadzało się wiele wspomnień z dawnego wyjazdu na Podhale – pagórki obok, góry w tle (skończył się sezon grzewczy, krajobraz się przetaił), ale płasko-betonowy widok, jaki ją przywitał, nijak nie przystawał do urokliwego obrazka, który miała w głowie. Dobrze, że choć nie padało. Ostatnie dwa tygodnie na Podhalu to była nieustająca ściana deszczu, dopiero nadchodzący weekend miał przynieść poprawę pogody.

Budynek komendy też ją zaskoczył. Może nie spodziewała się drewnianej góralskiej architektury, ale ściany szkła i metalu – też nie. Komenda Powiatowa Policji w Nowym Targu wyglądała jak minibiurowiec albo minidworzec. To miasto było absolutnie niespójne stylistycznie.

Antoni Gazda natomiast był bardzo spójny. Zawsze ją drażniło, gdy faceci oceniali kobietę na podstawie wyglądu, a teraz robiła dokładnie to samo. Bez względu na to, jaki ten facet naprawdę był, wzbudzał w niej dreszcz ekscytacji. Wysoki, szczupły, lekko śniady. Miał w sobie jakąś pewność – zawodową i prywatną.

– Śledztwo jest wasze, my pomożemy w możliwym zakresie, tylko wie pani... – zawahał się, ale to zawahanie nie zabrzmiało jak prawdziwa rozterka – ...a może lepiej by brzmiało: tylko wiesz?...

Zdecydowanie lepiej. Kiwnęła głową. „Weź się w garść”, przywołała się do porządku.

– No to świetnie. Antek. – Wyciągnął do niej rękę.

– Wiera.

Przyjemny był ten dotyk.

– Więc rozumiesz, Wiera, w każdej społeczności są tematy drażliwe. Wśród górali to te, które w niekorzystnym świetle stawiają ich charakter – niezależność, uczciwość, wiarę. W sumie to każdy da się pod to podciągnąć. – Roześmiał się.

Też się uśmiechnęła. Kręcił ją ten facet, ale nie na tyle, żeby uspić jej zawodową czujność.

– Na razie badamy ten wątek. Może w wymiarze indywidualnym, znaczy

Chyców, się nie potwierdzi, ale w wymiarze ogólnym – to fakt. Tak wyglądała powojenna rzeczywistość na tych terenach. Goralenvolk to też fakt – dodała po chwili. W sumie bez związku, tylko po to, żeby obnażyć prawdę. W niekorzystnym świetle postawić góralski charakter, jak to przed chwilą powiedział Gazda.

– Widzę, że to będzie śledztwo historyczne. – Wciąż się uśmiechał, ale już inaczej.

Zacisnęła zęby. Zrobiło się jej podwójnie źle – facet, na widok którego pocą się jej dłonie, kpi z niej i z jej zawodowych kompetencji.

– Jeśli chodzi o historię najnowszą, to znaczy sześć ostatnich lat, to także nie macie zbytnich sukcesów w poszukiwaniu Grzegorza Chyca.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

– Policjant najlepiej wie, jak dziwne i skomplikowane mogą być sprawy – odezwał się w końcu. – Ale nie trzeba być policjantem, żeby rozumieć, że niektóre tematy są trudne i nacisk szkodzi sprawie. Ty też na pewno to wiesz.

Mogła się tylko domyślać, czy przeszedł jej karierę zawodową i ostatnie ważne śledztwo. A może mówił z pozycji starszego od niej funkcjonariusza? A może po prostu był koniunkturalistą?

Nie wybuchła tylko dlatego, że się pilnowała i była skonsternowana. Miłym głosem mówił niemiłe rzeczy.

– Za pięć minut powinien się tu zjawić Tadeusz Chyc – odparła obojętnym tonem.

Podniósł słuchawkę telefonu.

– Chyc Tadek. – To było coś między pytaniem a twierdzeniem. – Dobra, dzięki. Już jest, zaprowadzę cię. – Spojrzył na nią. – Nie jestem twoim wrogiem. Chciałem ci tylko powiedzieć, że czasem bezkompromisowość szkodzi sprawie.

– Zaprzeczenie góralskości. – Z trudem hamowała złość. – Idziemy? – podniosła się.

Kiwnął głową.

*

„Rozkład męskiej urody w Polsce jest mocno nierównomierny. Północny wschód ma duże braki w tym asortymencie, za to południe jest doposażone”, pomyślała Wiera, siadając naprzeciwko Tadeusza Chyca. Brat zamordowanego również był przystojny. Brakowało mu pewności siebie Gazdy, a spojrzenie miał raczej podejrzliwe niż

przenikliwe, ale i tak wyglądał nieźle.

– Na początku chciałabym złożyć panu kondolencje. Przykro mi z powodu śmierci pańskiego brata.

– Dziękuję – odparł równie niezaangażowanym tonem.

Minęło sześć lat od zaginięcia i tydzień od potwierdzenia faktu śmierci, ale Tadeusz Chyc chyba nawet wcześniej nie łął łez nad bratem.

– Widać Pambocek tak chciał – mruknął.

– Pan?... – Dopiero po chwili zajarzyła. – Pan Bóg.

– No – mruknął znowu. – Jak co komu pisane, to go nie ominie. A jak się kto dodatkowo prosi...

Role się odwróciły. Tadeusz Chyc odpowiadał na pytania, których Wiera nie zdążyła jeszcze zadać.

Przesłuchiwany nie trzymał swoich emocji w sobie. I ewidentnie, mimo upływu czasu i śmierci brata, miał do niego z trudem skrywany żal.

– Pana brat się prosił? – zapytała.

Młodszy Chyc machnął ręką.

– Były między wami jakieś zatargi, konflikty?

– Pani mnie przyjechała podejrzewać? – Chyc uniósł się z krzesła. – Alibi mam, trzeba będzie, Kaśka i sto razy potwierdzi! Sam sobie biedy napytał, i tyle. – Usiadł.

Były dwie szkoły przesłuchania. Współodczuwająca, powolna, żeby nie zniechęcić przesłuchiwanego, wręcz przeciwnie – nawiązać nić porozumienia, lub ekspansywna, żeby go sprowokować. Zatrzymała się w pół kroku między jedną a drugą metodą, a i tak go zirytowała.

Tadeusz Chyc poprawił się na krzesle. Zaplótł dłonie – duże, spracowane.

– Konflikty może i były, ale nie ma rodzin, w których ich nie ma – zaczął spokojniejszym tonem. – Zresztą jak pani pyta, znaczy, że pani wie. Głupi nie jestem, umiem odróżnić pytania z niewiedzy i pytania z... – Zacukał się.

„Z intencją”, dopowiedziała w myślach.

– Pytania po to, żeby potwierdzić to, co już się wie. Różnie się działo, nie powiem, ale brat to zawsze brat. Nawet jak ojcowiznę sprzeda, choć jak kto tradycji nie szanuje... – Znowu się zawiesił.

– Dlaczego pana brat sprzedał dom po ojcu?

– Po dziadku nawet. – Ponownie się lekko uniósł. – Za nim trudno było dojść. –

Wzruszył ramionami. – Fakt, chałupa stała pusta, trzeba tam było jeździć, doglądać, bo on z matką do Nowego Targu poszli po śmierci ojca, a ja do Obidowej, na ziemię żony. Znaczący ja już wcześniej, bo Grzesiek się nie żenił, a ja tak. Bez gospodarza dom się rujnuje. Wiele to jednak nie kosztuje, a pamięć się wtedy zachowuje. Nie uszanował pamięci.

„Może chciał się odciąć?” To pytanie zadała tylko sobie.

– Ale ziemię zostawił – powiedziała zamiast tego.

– To by dopiero było! Ziemia to świętość. – Zacisnęła dłonie w pięści. – Krzyż z palmy wielkanocnej zakopywany przed pierwszą orką. Okadzanie ziołami w czas zbiorów. Ziemia to wszystko – tradycja i prestiż dla całej rodziny!

– To dlaczego nikt nie został na ojcowiznie?

I tu, wbrew oczekiwaniom, Tadeusz Chyc, zamiast wybuchnąć, przygasał.

– Powiedziałem już, że mimo że młodszy, pierwszy się ożeniłem i poszedłem z domu, do żony. Zresztą to starszy brat przejmuje gospodarstwo, tak jest. Potem ojcu się umarło, a matka przeniosła się do miasta, do mieszkania po ciotce. Wygodniej, to fakt, bo tam by trzeba było dużo zmodernizować, wszystko właściwie. Niedługo potem Grzesiek poszedł za nią.

– Ojciec dawno temu umarł?

– Dawno. Ponad dziesięć lat temu.

– To chyba młodo?...

– Młodo, niemłodo, mógł jeszcze pożyć, gdyby Pan Bóg dał, no ale nie dał. Ojcu ojca też młodo przyszło odejść z tego świata. A teraz Grześkowi... – Głos mu się w końcu załamał. – Brat to jednak brat, mimo wszystko. A tak to nawet nie było czasu zapomnieć tego, co złe. I takeśmy się ostatni raz pożegnali, w złości.

W pierwszym odruchu pomyślała o tym, żeby może zadzwonić do Anki, jak już skończy to przesłuchanie, ale szybko jej przeszło. „Skup się na robocie”.

– Pański brat nie umarł śmiercią naturalną – przypomniała. – A ojciec i dziadek?

– Zwyczajnie, z chorób. Zdrowe chłopcy byli, tu się nikt nad zdrowiem nie trzęsie zresztą. A potem lekarz mówi, że coś złe, kilka miesięcy i już, po człowieku.

– Ma pan jakieś przypuszczenia, kto mógłby chcieć śmierci pańskiego brata? Jakieś kłótnie, spory, może pieniądze?...

– Nie wiem o niczym takim.

– A Sylwia Buczek? Jak się im układało?

– Zwyczajnie. – Znowu wzruszył ramionami.

Wiera nie spuszczała z niego wzroku.

– Trochę dobrze, trochę nie – dodał, pewnie pod wpływem tego spojrzenia. – Baba i chłop to są różne natury. Teraz to się inaczej na to patrzy, że niby równouprawnienie, ale takie coś się da wprowadzić tylko tam, gdzie nie ma tradycji. A na Podhalu jest.

„No, jest”, pomyślała. Wczoraj czytała w internecie o małżeństwie z Poronina, w którym facet potrafił złać żonę, bo nie chciała iść z nim do jego matki. Albo zupełnie złą zrobiła. Albo krzywo spojrzała. Cała tutejsza rodzina wiedziała – i nic. Wiedziała też, że on ma kochankę. I też nic. Nawet go wspierali – „jak mu się kościelna nie udała, to co miał robić?”.

– A taka możliwość, że brat miał inny związek, na przykład tam, na Mazurach?

Tadeusz Chyc gwałtownie zaprzeczył.

– Skąd, Grzesiek chciał być z Sylwią.

„To miał problem”, pomyślała Wiera.

– Ale ona, zdaje się, nie podzielała tego pragnienia – powiedziała.

– Podobno nie. Więcej pani nie powiem, to były ich sprawy. Intymne, jak to się mówi.

Mogłaby skomentować, ale w sumie dobrze im szło, szkoda było marnować ten trend, zwłaszcza że zmierzała do finału rozmowy, który mógł zostać źle odebrany przez młodszego Chycy.

– Pana brat się zajmował ciesielką. To rodzinna tradycja?

– Ojciec w drewnie robił. Dziadek też. Tradycja.

– Pan produkuje kierpce.

– Tradycja w rodzinie żony. – Jakby się zawstydził.

– Jeszcze wracając do przeszłości – wie pan, co pana dziadek robił podczas wojny?

Tadeusz Chyc patrzył na nią, jakby była kosmitką.

– Co robił? – powtórzył. – No żył. Z trudem, bo bieda była straszna. Po wojnie również. Teraz to dobrobyt i jest zresztą coraz lepiej, te wszystkie programy z plusem, co nam nasz rząd daje... Nie ma już tak, że jedni biedują, inni się bogacą ich kosztem, a między nimi zieje dziura. Wreszcie ktoś się wziął za ten kraj – oznajmił z zadowoleniem.

Wiera nie miała ochoty na rozmowy o polityce, nie tylko dlatego, że służba jej tego zabraniała. „Wzięcie się za kraj” widziała zupełnie inaczej.

– A po wojnie, zaraz po wojnie... Coś więcej pan wie?

– Ale o czym? – Chyc z niechęcią zostawił ostatni wątek.

– O stosunkach międzyludzkich na przykład. Przed wojną było inaczej, po wojnie – inaczej. Ludzie ginęli, wyjeżdżali, potem wracali, to, co było ich, ktoś zajął... – Zawiesiła głos. Wreszcie dojrnęła do głównego tematu.

Przesłuchiwany nie zadał sobie trudu, żeby ukryć emocje. Nieprzychylnie.

– Pani się mnie pewnie pyta o kwestię żydowską.

„Kwestia żydowska” nie zabrzmiała dobrze.

– Ja wiem, ten temat wraca, nawet ostatnio, ale prawda nie jest taka prosta. Ja tam nic do nich nie mam, ale przed wojną była nierówność. Góral zapracowany, na przednówku i tak często głodny, a oni pieniądze mieli.

– Z uczciwej pracy chyba?...

– Poczucie niesprawiedliwości mogło być. – Widać było, że jej rozmówca się okopuje.

– Takie, żeby mordować? – Wytrzymała jego spojrzenie.

– A kto mordował? – Chyc się uniósł na krześle.

„Może twój dziadek”, pomyślała.

– Czytałam ostatnio artykuł o Kurasiu, czyli „Ogniu”. Na pewno zna pan to nazwisko.

– Pani da spokój, to partyzant był, z systemem walczył!

– „Każdy jeden żyd i żydziątko zginie ku czci jego świetlanej pamięci. Aby nasz kraj i jego synowie mogli swobodnie i spokojnie pracować”. – Wiera przeczytała z kartki zaznaczony markerem tekst i podsunęła ją Chycowi.

– Co to jest? – Spojrzał na nią nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Ulotka. Z czterdziestego szóstego roku. Napisana przez narzeczoną Kurasia, na jego polecenie.

– E, niemożliwe, grubymi nićmi szyte. Podpucha jakaś. – Z przekonaniem pchnął wydruk w jej stronę. – Zresztą po co my o tym rozmawiamy?

Już wiedziała, że źle to rozegrała. Mimo to zapytała:

– Czy to możliwe, że pana dziadek był jakoś związany z tym powojennym ruchem partyzanckim?

Tadeusz Chyc wstał z za stołu. Był wysoki, miał pewnie z metr osiemdziesiąt pięć. Barczysty, masywny. Oparł się mocnymi dłońmi o stół, nachylił w jej stronę i zapytał:

– Kiedy będę mógł odebrać ciało brata? Bo chciałbym go wreszcie pożegnać i pochować. – Głos mu lekko zadrżał. – I mam nadzieję, że policja, znaczy mazurska policja, złapie jego zabójcę. Sprawiedliwość musi być, nie? – To już dodał twardym tonem.

ROZDZIAŁ 13

2019, Nowy Targ

O trzeciej gęsta mgła zeszła na Nowy Targ. Połączyła się z przyduszonym dymem z kominów. Widoczność spadła do kilku metrów, powietrze oblepiało wilgocią pachnącą smogiem. Ludzie pochowali się w domach, ulice się wyludniły.

W takich warunkach łatwiej sprawić, żeby ktoś zniknął na zawsze.

Po piątej było już całkiem ciemno. Padało coraz mocniej. Drewno pachniało oleiście i butwiejąco. Ziemia pod deskami była jednak sucha. Żyzna, aromatyczna i sypka. Kopczyk sukcesywnie malał. Jeszcze kilka machnięć łopata, potem uklepanie i już. Deski wróciły na swoje miejsce. Lekko już zeszytwniałe witki starej miotły wepchnęły nieuprzątnięte resztki ziemi między szpary.

Wszystko wyglądało tak jak wcześniej, zresztą kto by miał to ocenić – budynek był od lat nieodwiedzany.

Latarka zgasła.

Na zewnątrz trzeba było uważać, żeby się nie poślizgnąć. Utrudnienie, bo teren był lekko nachylony, ale jeśli popada jeszcze trochę, a prognozy tak mówiły, to niedługo zmyje wszystkie ewentualne ślady.

Strumień szumiał coraz głośniejsze. Woda spływała z gór i zmieniała cichą strużkę w rwący potok. Wcześniej ledwo było go słyszeć, teraz dudnił.

„Strumienie wody żywej”. Te skojarzenia zawsze przychodziły nie w porę. Żywa woda tutaj, nieżywy mężczyzna – obok.

„Chyc+Kuraś+Żydzi”;

„Chyc+Podhale+morderstwa”,

„Chyc+partyzantka”,

Chciała jeszcze pogadać z Antonim Gazdą, ale wyjechał w teren. Na jutro rano miała zaplanowane spotkanie z Maciejem Nowakiem i Markiem Zychem, góralami, którzy razem z Chycem pracowali przy składaniu domu w Jeziorowskich. Niewiele sobie po nim obiecywała, bo nikomu wcześniej nie udało się z nich niczego wycisnąć, ale skoro już tu jest... Coraz mocniej natomiast odczuwała potrzebę rozmowy z Sylwią Buczek. Wszystkie fakty skutecznie ją usuwały poza grono osób, które mogły mieć związek ze śmiercią Chyca, ale jednocześnie wśród ludzi, którzy potrafiliby powiedzieć, dlaczego ktoś mógłby chcieć jego śmierci, ona się wysuwała na prowadzenie. Podobno wciąż pracuje w ciuchlandzie w centrum. Wiera postanowiła, że zajrzy tam jutro, po komendzie, zanim wyjedzie z Nowego Targu. Oficjalnego przesłuchania nie zaplanowała, ale w tym wypadku może lepiej będzie nieoficjalnie, poza komendą. Od piętnastej miała zaklepaną kwaterę w Zakopanem. Do Giżycka planowała wrócić w niedzielę wieczór. Rezerwacji dokonywała nieufnie, zastanawiając się, czy zawierzyć prognozom pogody. Skoro jednak ruszyła się taki kawał drogi od Giżycka, głupio by było nie zaryzykować. A prognozy, pomyślała to ostrożnie, sprawdzały się. W Nowym Targu jeszcze było pochmurnie, choć od czasu do czasu zza chmur prześwitywało słońce. W Zakopanem, jeśli ufać internetowi, chmury były już w zdecydowanym odwrocie. Na dodatek w Dolinie Chochołowskiej kwitły krokusy, co wyglądało obłądnie. Postanowiła, że w weekend wstanie wcześniej rano i pójdzie tam. Zresetuje się, odpocznie i pomyśli, co dalej. Wciąż się kręciła w kółko, niestety. W poniedziałek rano Król zapyta ją o postępy w sprawie. Nie będzie miała nic więcej niż to, z czym wyjeżdżała. Żołądek jej się ścisnął. Może jednak nie nadawała się do tej roboty?...

Była już spory kawałek od pokoju gościnnego tutejszej policji. Tak się zamyśliła, że straciła orientację, gdzie jest. Włączyła dane komórkowe i mapę. Według nawigacji szła osiedlem Robów, trasą na Turbacz. Póki co było całkiem miejsko – nie licząc braku chodnika. Droga była tak wąska, że auta z trudem się mijały.

Na telefonie wyskoczyła zielona słuchawka i aparat zawibrował.

– Wiera Jezierska, słucham. – Nie kojarzyła tego numeru komórkowego.

– Dzień dobry, Wanda Rytel z tej strony.

Nazwiska też nie kojarzyła.

– Dostałam pani numer od Tomka. Tomka Świątkowskiego. Jestem żoną, to znaczy byłą, bardzo byłą żoną Adama Świątkowskiego. I matką Tomka.

„Bardzo obecną matką”, pomyślała Wiera. Przyzwan miała rację –

ponadtrzydziestoletni facet mieszkający z matką to przypadek zwiastujący ciekawe historie – obustronne.

– Wiem, że pani próbowała się skontaktować z synem, ale...

– Ale nie odpowiedział i nie oddzwonił. To jeszcze nie podpada pod utrudnianie śledztwa, chociaż...

– No skąd, oczywiście, że nie! – Kobieta gwałtownie jej przerwała. – Widzi pani... czasem życie bywa bardziej skomplikowane, niż to się może wydawać.

„I komu ty to mówisz?”

– A pozory potrafią wywieść w pole. Czy my możemy teraz porozmawiać? Wiem, że to dziwne, że ja w imieniu dorosłego dziecka i w ogóle...

– Słucham. – Generalnie sprawa zahaczała o obciach, ale obronna interwencja rodzica w sprawie trzydziestoletniego potomka jakoś Wierę poruszała. Wkraczała w zupełnie jej obce rejony.

– Ja wiem, że policja bada sprawę tego młodego górala, który pracował przy stawianiu domu mojego byłego męża. Wiem też, że on został zamordowany i pochowany w tym domu, pod deskami. No i wreszcie, bo to mi się wydaje bardzo ważne, wiem też, że policja ma już informacje o pochodzeniu Adama.

– Adam Świątkowski był Żydem – powiedziała Wiera.

– Tak, no mówiąc wprost – tak.

– A po co nie mówić wprost?

Po chwili ciszy Wiera usłyszała:

– No widzi pani, jak to jest. Jak człowiek tym przesiąka. To znaczy tym lawirowaniem, ukrywaniem się, obsesją. Ja się od tego odcięłam, świadomie, właśnie po to, żeby się nie dać wciągnąć, nie sfiksować, a i tak to ze mnie wychodzi. Tak, Adam był Żydem. I chcę pani powiedzieć, że mnie go było bardzo żal, mimo wszystko.

– Że był Żydem? – Ta rozmowa robiła się coraz ciekawsza.

– Nie. Tak. To znaczy i nie, i tak. Zresztą jak można odpowiedzieć na takie pytanie? Pani jest młoda, słyszę, my, starsi, inaczej to widzimy. Pani nie знаła mojego byłego męża. Bo gdyby, toby pani wiedziała, że mimo zewnętrznych pozorów dostatku i pozycji społecznej to był człowiek wewnętrznie zrujnowany. Kiedy go poznałam, było zupełnie inaczej, a potem ta prawda go zniszczyła. Trudno, żeby to się nie odbiło na mnie i dziecku. Zwłaszcza na dziecku. Tomek swoje przeszedł. Rozbity

dom, dziwny ojciec, może nadopiekuńcza matka. Nie mówię, że jest ideałem, ale swoje mu los dołożył. Nie chcę, żeby teraz się musiał spowiadać ze spraw, z którymi nie ma nic wspólnego.

– Prosił panią o interwencję? – Wiera sama nie wiedziała, jak to miało zabrzmieć – neutralnie czy ironicznie.

– Nie. Nie wprost. Słyszysz pani, że ja z panią szczerze rozmawiam, prawda?

– Oceniam fakty. Ale nie zakładam złych intencji. Dziwi mnie tylko, że dorosły człowiek daje matce sprawę do załatwienia.

– To naprawdę nie tak. Niech pani spróbuje sobie to wyobrazić... Pani ma dzieci? Przepraszam, że tak pytam...

– To pytanie nie doprowadzi nas do... – zaczęła Wiera.

– Przepraszam, nie chcę być obcesowa ani wścibska. Chodziło mi tylko o to, że matka z matką zawsze znajdą nic porozumienia.

„Do niczego dobrego”, dokończyła Wiera w myślach.

– Tomek to dobry dzieciak, tyle chciałam pani powiedzieć. On na pewno nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Ma natomiast różne kłopoty ze sobą. Wahania nastroju, lęki, depresję.

– Rozmawiałam z pani synem i niczego takiego nie zauważyłam. Znam powiedzenie, że najwięcej chorych na depresję jest wśród komików, ale Tomasz Świątkowski nie zachowywał się jak osoba z depresją.

– Ja wiem, dlaczego pani chce się z nim skontaktować. – Wanda Rytel puściła to zdanie mimo uszu. – I ja mogę udzielić pani tych informacji. Tomek zna historię ojca, ale uparł się twierdzić, że nie. Może zresztą naprawdę już nie pamięta szczegółów. Ja pamiętam.

Wiera przystanąła. Rozejrzała się okolicy. Przed chwilą minęła wąski most nad rwącym potokiem. Droga łagodnym łukiem wygięła się w lewo i zaczynała piąć. Wiera zauważyła, że za chwilę skończy się asfalt i zacznie szutrówka. Na drzewie obok widziała już tylko zielony szlak; niebieski musiał odbić wcześniej i nawet nie zauważyła kiedy.

– Aronowicz. Tak brzmiało prawdziwe nazwisko mojego męża.

Wiera podniosła głowę. Niebo było teraz w połowie przetarte, żadnych ciemnych chmur w zasięgu wzroku. Dochodziła trzecia, miała jeszcze sporo czasu do zmroku. Postanowiła, że pójdzie dalej. Było tu tak cicho i ładnie.

– Od niego pani to wie? To znaczy od męża? – zapytała.

– Tak. Wszystko, co pani powiem, wiem od niego. Powiedział mi to, kiedy umierała jego matka, znaczy ciotka. Zresztą nawet nie ciotka. Kobieta, która go uratowała i wychowała. Była mniej niż matką i jednocześnie więcej niż matką. To jak ją nazwać?...

„Mniej niż matka i więcej niż matka”. Dobre określenie.

– Ja początkowo mu nie wierzyłam. Myślałam, że mi wciska kłamstwo, że ma kogoś i chce ode mnie, od nas odejść. Albo że zwariował, jakaś choroba psychiczna się w nim uaktywniła. W pokoleniu wojennym nie trzeba było być Żydem, żeby nieść potem traumę przez całe życie. Ja się urodziłam niedługo po wojnie, ale to dla mnie jasne.

– A teraz ma pani pewność, że powiedział pani prawdę?

– Mam. Bo... no widzi pani, ja poszłam do teściowej. Ona już była bardzo słaba, leżała w szpitalu, odpływała w jakimś morfinowym śnie... Nie chciałam, żeby tak wyszło, że ja do niej idę tylko interesownie, skoro ona już jedną nogą po drugiej stronie, ale ona sama mi to powiedziała. „Samuel Aronowicz z Nowego Targu. To ojciec twojego Abrahama”. Zapisałam sobie to nazwisko i te imiona na bilecie autobusowym, żeby nie zapomnieć. Bilet włożyłam do portfela. Ale nigdy potem nie szukałam informacji. To był mój sposób na odcięcie się, zapomnienie o tej sprawie. Powiem pani jeszcze to, co usłyszałam od męża: jego ojciec został zamordowany w Nowym Targu w maju 1945. Adaś, wtedy Abraham, był u sąsiadki.

– Ojciec go zabrał z Krakowa? – Wiera po raz pierwszy jej przerwała.

– Tak. Chyba na krótko, dwa, może trzy miesiące byli razem. A potem ojciec zginął od strzału w głowę. Sprawców nie wykryto. Morderstwo rabunkowe, było takich ponoć więcej. Tyle że akurat sami Żydzi zginęli. Początkowo wydawało mi się, że Adam zmyśla. To znaczy może nie zmyśla, ale dokłada, koloryzuje. Próbowałam dopytywać, ale się unosił, że jak ja mogę mu nie wierzyć, skoro oni tyle przeszli. „Oni”, rozumie, pani. Nie tylko on i ojciec, ale cały naród. Miał rację, oczywiście, ale takim tekstem zamyka się dyskusję. To było dawno, żadnego internetu, nic. On się na własną rękę szarpał, szukał, śledził. Cierpiał, ale to było nie do wytrzymania. Jak ja żałowałam, że jego matka, ta przyszywana, wyznała mu prawdę. Miałam jej to za złe. Swoje sumienie może uspokoiła, ale jego... Nie wiedziałyby, nie cierpiałby. Wie pani, co może psychika? Kiedy się dowiedział, że przez ponad dwa lata mieszkał w szafie, to nagle, z dnia na dzień, słabo mu się robiło, kiedy miał coś wyjąć albo schować do

szafy. Próbowałam mu jakoś pomóc, nam pomóc – bez efektu. Jemu tylko zależało na... – Wanda Rytel zawiesiła głos.

– Na czym? – zapytała Wiera. Szutrówka się skończyła. Teraz trasa prowadziła ostro pod górę, kamienistą ścieżką. – Na sprawiedliwości?

Stanęła. Niebo znów się zaciągnęło chmurami, których nie powinno być, bo przecież niedawno wyglądało zupełnie inaczej. Widać tu, w górach, warunki pogodowe są bardzo zmienne.

– Raczej na prawdzie. – Wanda Rytel się w końcu odezwała. – Ja się domyślam, o co pani chce zapytać. I dlaczego pani rozmawiała z Tomkiem. Przez te lata po rozstaniu miewałam czasem taką refleksję – czy Adam znalazł to, czego szukał? Tych, których szukał? Te myśli same przychodziły, nic więcej z nimi nie robiłam. Nie sprawdzałam, nie pytałam go o to. A teraz, po tylu latach, to już tylko historia, przecież to ponad siedemdziesiąt lat...

– A gdyby jednak... Gdyby osoby związane ze śmiercią pani byłego męża żyły, to czy, według pani, on by potrafił sam... – Wiera się zawahała – ...wymierzyć sprawiedliwość?

– Nie odpowiem pani na to pytanie, ale to był dobry człowiek.

Zaczęło padać. Początkowo lekko, jakby wilgotna mgła, nawet trudno było stwierdzić, czy to deszcz. Wiera cofnęła się ze szlaku i zaczęła wracać do miasta. Deszcz przybierał na sile. Kiedy mijała potok, miała wrażenie, że woda zmętniała. Gdy szlaki znowu się połączyły, czuła, że dżinsy przyklejają się jej do ud. Otwierając drzwi do pokoju, była całkiem mokra.

Zdjęła przemoczone ciuchy i weszła pod prysznic. Długo stała pod gorącym strumieniem. Spłukiwała z siebie zmęczenie, chłód i niepewność.

Wyszła z łazienki, na lekko wilgotne ciało włożyła piżamę. Siadła na twardej wersalce. Sięgnęła po telefon. „Aronowicz”, wpisała w wyszukiwarce. Wskoczyło kilkanaście stron wyników. „Za dużo”, pomyślała. Wchodziła w każdy zasugerowany link. Nic – żaden Aronowicz nie był jej poszukiwanym. Zawęziła poszukiwania, do nazwiska dodając „Żydzi+Nowy Targ+1945”. Teraz w wynikach pojawił się artykuł z „Tygodnika Podhalańskiego” sprzed kilkunastu lat. „33 Żydów zabitych bestialsko tuż po wojnie. Pierwszego morderstwa dokonano 11 maja 1945 roku koło Nowego Targu. Komendant powiatowy Milicji Obywatelskiej wysłał wtedy do swoich przełożonych notatkę o «N.N. zabójstwie rozbójniczym». Jedenastego maja czterdziestego piątego roku trzech nieznanymi osobnikami uzbrojonych w automaty

weszło do mieszkania Krzysztofa Kosteckiego, u którego znajdowali się Żydzi: Wilhelm Karaś i Samuel Aronowicz. Zastrzelili ich, a potem zbiegli w niewiadomym kierunku. Śledztwo w tej sprawie prowadził Referat Śledczy Powiatowej Komendy MO w Nowym Targu. Hipoteza zakładała, że mężczyźni zostali zamordowani najprawdopodobniej dlatego, że byli członkami PPR-u i zbierali wywiad o partyzantach. Kiedy okazało się, że obaj byli podhalańskimi Żydami, którzy niedawno wrócili do Nowego Targu z obozów, uznano ją za mało prawdopodobną. Sprawcy pozostali nieznani”.

„Chyba że ktoś ich odkrył”, pomyślała Wiera.

ROZDZIAŁ 14

2018, Rzeszów

Leżał na niej i dyszał. Wyglądał okropnie – z tej perspektywy jeszcze gorzej niż w pionie – twarz miał maskowatą, owłosiony brzuch mu się trząsał. Jego ruchy były mechaniczne, coraz szybsze. Dobrze, że nie chciał się z nią całować. Przygryzł dolną wargę, zmrużył oczy. „Jeszcze dwa razy i będzie po wszystkim”, pomyślała. Próbowwała zobojętnieć, wyłączyć się, przecież tyle razy to ćwiczyła, ale nie zawsze się udawało. Teraz – nie. Nienawidziła go. Musiał to wyczytać w jej twarzy, mimo tego swojego zapamiętania. Wysunął się z niej i, nic nie mówiąc, obrócił ją na brzuch. Może nie chciał na nią patrzeć, może chciał ją upokorzyć, pokazać, kto tu rządzi. Chodziło nie tylko o seks, ale – a może przede wszystkim – o pokazanie, kto ma władzę.

Napierał na nią, dysząc. Złapał ją za włosy – może w zapamiętaniu, a może za karę.

Jeszcze dwa razy i głośno westchnął, a potem zwałił się obok.

– Dobra jesteś. – Klepnął ją po pośladku.

„Dopiero się przekonasz”, pomyślała.

W jakimś piśmie dla kobiet przeczytała, że w spełnianiu marzeń pomagają sobie ich wizualizowanie.

Zacisnęła powieki i wyobraziła sobie góry. Drewniany dom.

I podłogę ze starych desek. A pod tą podłogą...

– „Chyc Jan, zmarł w dwa tysiące siódmym roku, przyczyna naturalna. Chyc

Stanisław, zmarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku, przyczyna naturalna”. – Antoni Gazda podniósł wzrok znad kartki i spojrzał na Wierę.

„Matko-ciotka Świątkowskiego vel Aronowicza zmarła w osiemdziesiątym ósmym i wtedy zaczął się koszmar jej przyszywanego syna”, pomyślała Wiera.

Była niewyspana. Wieczorem, po przeczytaniu tego krótkiego artykułu, jeszcze przez kilka godzin przekopywała internet. Nie znalazła nic więcej ponad to, że jeśli gdziekolwiek, cokolwiek więcej istnieje na temat Samuela Aronowicza, to tylko w krakowskim oddziale Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Wyśle do nich pismo w poniedziałek. Świątkowskiego musi jeszcze poszukać w Archiwum Diecezjalnym, choć to zapewne będzie ślepy zaułek.

– Niewyspana jesteś. – Usłyszała miękki głos Gazdy.

Ten facet robił na niej coraz lepsze wrażenie. Przygotował jej informacje na temat ojca i dziadka Grzegorza Chyca. Nie skomentował tego, że ponowna rozmowa z Nowakiem i Zychem nie wniosła nic nowego do sprawy (zgodnie zeznali, że robota była z inicjatywy Chyca, szef, czyli Świątkowski, nikogo miejscowego, znaczy z Mazur, nie chciał, „bo to trzeba umić”, Chyc został dłużej, bo oni musieli w pole, a on swoje pole dzierżawi. Nic podejrzanego, Świątkowski miły człowiek, płacił im w terminie). Nie zapytał nawet – jeszcze – co w takim razie dalej. Z tych wszystkich powodów Wiera postanowiła zagrać z nim w otwarte karty. To, co już mu zdążyła bardzo ogólnie zaanonsować i co on ironicznie nazwał „historycznym śledztwem”, teraz ubrała w nowe szczegóły.

Antoni Gazda słuchał, nie przerywając, a potem przez dłuższą chwilę milczał. W końcu nachylił się lekko w jej stronę przez blat stołu i powiedział:

– Tak teoretycznie, mocno teoretycznie, to jest do pomyślenia, ale w praktyce... Tyle lat, tak rozplanowane zabójstwo, toby trzeba kogoś zapiekłego, wytrwałego, nieustępliwego. Twardego i trochę szalonego. Mnie to nie bardzo pasuje, bo oni są inni. Znaczący Żydzi.

– Może ogólnie... Ale historia zna takie przykłady. Wiesz, ile lat tropili Adolfa Eichmanna?

Gazda lekko wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale on chyba został skazany przez jakiś trybunał międzynarodowy czy coś w tym stylu. Wykonano na nim wyrok śmierci, to na pewno.

– Piętnaście lat – powiedziała Wiera. – Piętnaście lat ciągłych podchodów. Szukania, węszenia, skradania się, tajnych kontaktów i konspiracji. – Wczoraj czytała

i o tym. – Eichmann się zmyślnie ukrywał, zresztą dzięki pomocy kleru katolickiego.

Gazda się skrzywił.

– Zmieniał miejsca pobytu, nazwiska, prace – ciągnęła. – W końcu osiadł w Argentynie. I tam go wytropili Żydzi. To była naprawdę solidna praca, detektywistyczna i benedyktyńska.

– I powiadomili o miejscu jego pobytu? – zapytał Gazda.

– Nie. Po prostu go porwali z Argentyny. Najpierw się upewnili, że to na pewno on, potem nafaszerowali narkotykami i wsadzili do samolotu z izraelskimi dyplomatami, żeby go wywieźć do Izraela. Tylko w ten sposób mogli mieć pewność, że zostanie osądzony, i to uczciwie. Pilnowali go dzień i noc, na strażników wybrali ludzi, których rodziny nie ucierpiały podczas wojny, żeby nikt go wcześniej nie sprzątnął. Po tym wszystkim, co on i inni naziści zrobili ich narodowi, tak podeszli do sprawy.

– Ale wyrok śmierci wykonano na miejscu.

– Podobno w taki sposób, że dwóch strażników nacisnęło jednocześnie guzik zapadni w szubienicy, żeby, zgodnie z Talmudem, żaden z nich w pojedynkę nie odpowiadał za jego śmierć.

– No dobra, rozumiem. To rzeczywiście imponujące, ale to wyjątkowy przykład, zupełnie inna skala – to morderca, który odpowiada za śmierć setek tysięcy, a nawet milionów. A tu – pojedyncza historia.

– Ale dotyczyła najbliższej osoby.

– Może. Powtórzę: hipotetycznie to do przyjęcia, ale jak często się takie sprawy zdarzają? Mnie – ani razu. A tobie?

Teraz ona milczała. Aż takiej zażyłości z Gazdą nie przewidywała.

– W drugą stronę tobym prędzej pomyślał, bo górale są pamiętliwi, tyle że w gorącej wodzie kąpani. Jak coś na sercu, to od razu powiedzą albo zrobią. Takich spraw to my tu mamy na pęczki. Nic, zupełnie nic innego w tym śledztwie nie rokuje na możliwy trop?...

– Nic. – Westchnęła i ziewnęła. – Żadnych śladów, żadnych świadków, żadnego motywu.

– A może jakaś kobieta wchodziła w grę? – zapytał Gazda, tak samo, jak pytał Kosoń, i tak samo, jak myślała Wiera. Tyle że Sylwia Buczek, choć z ewentualnym motywem, miała żelazne alibi.

– Kobieta została tutaj – odpowiedziała Wiera. – I z tą Buczek to ja bym chciała porozmawiać.

– To w porządku dziewczyna. Swoje w życiu przeszła, chorowita była, potem rodzice jej umarli, babka ją chowała. On, znaczy Grzesiek Chyc, też się przyłożył do jej słabowitości, nie ma co kryć, że czasem chyba przeholował... – Spojrzał na Wierę. Chyba sobie zapamiętał, że jest czuła na tym punkcie. – Ale ja o inne kobiety pytałem. Może jakiś konflikt, bo on na przykład zaszalał z mężatką i jej mąż go dopadł?

Wiera pokręciła głową. Z kobiet była tylko ta Kamila Kurek, ale, jak to ujęła jej matka, „robotników nie traktowała serio”.

– I jeszcze ten rower pochowany razem z Chycem – przypomniał Gazda. – To też dziwaczne. A co do tej Sylwii, to wciąż mieszka w Nowym Targu, tyle że w cukierni już nie pracuje, w ciuchach tak, ale teraz ma swój sklep. No i nie nazywa się Buczek, tylko Kier, bo za mąż wyszła. Córkę urodziła i zdaje się, że jest szczęśliwa.

*

„Ciuchex”. Umiłowanie do obcych nazw trzymało się niezłe w całej Polsce. Wiera na chwilę zatrzymała się przed wejściem. Sklep był duży, jak na lokalne warunki – nawet bardzo duży. Ewidentnie jednak stanowił odpowiedź na potrzeby rynku – w środku kręciło się kilka osób. Ciuchex mieścił się w budynku z lat siedemdziesiątych, w brzydkim, betonowym kłocu. Obok był spożywczy, na górze, po schodach, zegarmistrz i sklep papierniczy.

Wiera weszła do środka. Bez względu na lokalizację, wystrój, nazwę – w każdym lumpku unosił się ten sam zapach – słodkavo-chemiczno-niewietrzony, na granicy akceptacji. Jej nie przeszkadzał, nie takie rzeczy wachała, poza tym górę zawsze brała ciekawość, co uda się jej znaleźć. Teraz też zaczęła spacerować wśród wieszaków. „Dwadzieścia dziewięć złotych za kilogram, tanio”, pomyślała. Asortyment był niezły, a jeśli jeszcze dodało się do tego fakt, że miejscowe gusta polowały na inne okazje niż ona, to... Zobaczyła ją. Młoda kobieta stała za ladą w głębi pomieszczenia i ważyła ubrania podane przez dwie nastolatki. Pasowała do opisu Gazdy: szczupła, drobna, ciemnowłosa, ciemnooka, atrakcyjna, ale w spokojny, niewyzywający sposób. Wiera zaczęła iść w jej kierunku. Kiedy dziewczyny zabrały zapakowane w foliówkę ciuchy i odsłoniły wnętrze kontuaru, Wiera zauważyła, że przy oknie, pod parapetem, wstawiono stolik, przy którym siedzi nieduża, na oko czteroletnia dziewczynka. Kobieta wzięła ją za rękę i poszły do witryny, w której ustawiono nagie manekiny,

a obok, na podłodze, przygotowano kosz z ubraniami. Kobieta schyliła się, wybrała coś i zaczęła ubierać manekin. Dziewczynka bawiła się obok.

– Dzień dobry. – Wiera zbliżyła się do tej pary.

Dziewczynka podniosła na chwilę głowę, ale zaraz wróciła do oglądania palców manekina.

– Dzień dobry – odpowiedziała jej matka. – W czym mogę... – zaczęła.

– Wiera Jezierska, komenda policji w Giżycku. Pani Sylwia Kier?

Kobieta pokiwała głową. Zastygła z dłońmi obejmującymi manekin w talii. Biała sukienka już była na swoim miejscu, Kier teraz ją dopasowywała. Manekin miał rozmiar 32 albo mniejszy. Albo w ogóle niewystępujący w naturze.

– Chciałabym porozmawiać z panią o Grzegorz Chycu. To nie zajmie dużo czasu.

– O! – Kobieta cicho syknęła. Wiera zauważyła, że ukłuła się w palec szpilką. – Ja... nie rozumiem... No ale dobrze, oczywiście, już. Tylko dokończę. – Szybko zebrała materiał z tyłu i przytrzymała kilka powstałych w ten sposób fałd szpilkami. Na jednej z nich pojawiła się czerwona smuga. – Nie wiem wprawdzie, co jeszcze bym mogła powiedzieć, ale chodźmy. Tylko nie przy dziecku. – Głową wskazała na małą. – Zuziu, chodź na chwilę do cioci. Mamusia musi porozmawiać.

Dziewczynka bez słowa podała jej rękę. Matka odprowadziła ją do kasy i kiwnęła głową na kolorowo ubraną kobietę, układającą pościel w dużym koszu, która zostawiła dotychczasowe zajęcie i podeszła do szefowej. Sylwia Kier wróciła po Wierę.

– Zapraszam na zaplecze. – Chyba chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnowała.

Wiera poszła za nią.

Za drzwiami pomalowanymi farbą olejną na intensywny niebieski kolor był wąski pokój z wysokim oknem. „Pewnie dawne zaplecze jakiegoś sklepu”, pomyślała Wiera. Kwadratowy stół przykryto niebiesko-białą ceratą w kratę, z dwóch niebieskich doniczek na parapecie zwieszały się paprotki, oprócz tego były trzy krzesła, czajnik elektryczny i szafka z jedzeniem.

– Proszę. – Kobieta wskazała jej krzesło.

– Dziękuję, to naprawdę nie potrwa długo. Niech się pani nie denerwuje.

– Nie denerwuję się – zaprzeczyła gwałtownie. – Nie denerwuję się – powtórzyła

spokojniej. – Tylko nie wiem, po co...

– Wie pani, że policja znalazła zwłoki Grzegorza Chyca?

– Tu się nie da ziewnąć, żeby inni nie wiedzieli. Wiem. – Kiwnęła głową. – Nie wiem za to, dlaczego pani przychodzi z tym do mnie. Raz już zeznawałam, zresztą wtedy myśmy już nie byli parą z Grzeskiem. A teraz to jeszcze bardziej nieaktualne. Męża mam, dziecko.

– A tak po ludzku, zwyczajnie, nie jest pani ciekawa, co się stało?

– Zwyczajnie, po ludzku, to ja chcę żyć – odpowiedziała.

– Wtedy pani nie żyła... – Wiera spojrzała na nią. Kobieta poprawiła się na krześle, ale nie podjęła wątku. – Właśnie z powodu Grzegorza Chyca. Może jego charakter komuś jeszcze dał się we znaki, tak mocno, że go zamordował?

– Mogę powtórzyć to samo, co już zeznałam u nas na komendzie: niedopasowanie charakterów. Prócz tego Grzesiek był popędliwy i lubił pić. Picie to był jego pomysł na odpoczynek i stres. Na wszystko w sumie. Był też zaborczy i pozbawiony empatii.

– Chciał mieć ostatnie słowo w związku. – Wiera miała na myśli rozbieżności co do tego, czy ta relacja się zakończyła.

Kobieta kiwnęła głową.

– Na Podhalu patriarchat jest tak oczywisty jak to, że oscypki dla turystów robi się z krowiego mleka. Ale on... on był złym człowiekiem. A jak coś było nie po jego myśli, to tego nie akceptował. – Wygładziła ceratę.

– Zgłaszała to pani na policję?

Kobieta się uśmiechnęła.

– Niech pani przyjedzie na Podhale na dłużej, to pani zrozumie. Tu się patriarchat wysysa z mlekiem matki. O, właśnie tak – z mlekiem matki, co za paradoks... Zresztą ja wtedy byłam taka młoda, taka zagubiona... Sama, bo babcia umarła, a jak żyła, to ja się nią zajmowałam, nie ona mną. Z niczym sobie nie radziłam, wszystkiego się bałam. Trudno zrozumieć, jak się nie ma takich doświadczeń.

Wiera mogłaby coś na ten temat powiedzieć, ale nie przyjechała tu robić psychoterapii – ani tej dziewczynie, ani sobie.

– A gdyby miała pani podać najbardziej prawdopodobny motyw zabójstwa, to co by pani obstawiała? – zapytała po prostu.

Sylwia Kier wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Najczęściej to chyba z powodu pieniędzy ludzie giną. Albo

jakaś pijacka burda była i nieszczęśliwy wypadek.

– A kobieta? – zapytała Wiera.

– Ale co: kobieta? – Kier się poruszyła.

„Zazdrosna?“, zdziwiła się Wiera. To by przeczyło wszystkiemu, co mówiła o Grzegorzu Chycu, ale emocje rzadko kiedy podlegają rozsądkowi. Można nienawidzić faceta i być o niego zazdrosną, jak widać.

– No, czy mogła być inna kobieta, tam, na Mazurach, jakaś burzliwa damsko-męska relacja.

– Nie, raczej nie. On był... jakby to powiedzieć... w jakiś sposób wierny. Nie w taki ładny, tradycyjny sposób, tylko raczej, że żadna inna kobieta go nie interesowała. Jakby miał obsesję na moim punkcie. Źle powiedziałam – on miał obsesję na moim punkcie.

– Źle przyjął pani decyzję o zerwaniu?

– Źle? W ogóle nie przyjął, jakby nie rozumiał.

– Czyli można powiedzieć, że to, że nie wrócił, to była dla pani ulga.

Sylwia Kier przez moment się zawahała, ale kiwnęła głową. Wiera obstawiała, że zaraz powie o swoim alibi albo że mimo wszystko ona by nigdy nie była zdolna do żadnego rękoczynu, czy coś w tym stylu, ale kobieta milczała.

– Jeszcze chciałam panią zapytać o rower. – Wiera zostawiła już tamten wątek.

– O rower? – Kier się zdziwiła.

– Ten, który ze sobą zabrał.

– A co z nim? – Oderwała kilka zmechaconych kulek z rękawa swetra.

– Znalaziono go razem z nim.

– Razem z nim?... – Kobieta była zmieszana.

– Tak. Rower był zakopany razem z ciałem. Tego się nie mówi na mieście?

– A, no tak. – Uciekła wzrokiem. – Może to jakaś dewiacja? A może znak rozpoznający?

„Rozpoznawczy“, poprawiła ją w myślach Wiera.

– Może to ani nie o pieniądze chodziło, ani o bijatykę, tylko on padł ofiarą fiśniętego mordercy, co to zakopuje ciała razem z jakimś sprzętem? – Sylwia Kier się ożywiła.

„Ludzie jednak lubią sensację“, pomyślała Wiera.

– Dobrze, dziękuję, to chyba wszystko... – Podniosła się, jej rozmówczyni

również wstała. – Choć nie, jeszcze jedno pytanie mam. O dom Grzegorza Chyca, ten po ojcu. Była tam pani kiedyś?

– Dawno temu. Nic ciekawego, starość. Matka Grzeška wolała żyć w mieście, wygodniej tak samotnej kobiecie. I oddech tu miała.

– W mieście powietrze lepsze?

– Nie taki oddech. Wolna była.

– Ale przecież mieszkali razem, znaczy ona z synem?

– Po jakimś czasie on się sprowadził do niej, do Nowego Targu, z Dunajca. I wtedy ten oddech się skrócił, fakt. Jaki ojciec, taki syn. I tak to się toczy.

Wiera знаła takie spojrzenie. „Toczy się, chyba że ktoś to przerwie”, pomyślała.

Usłyszała pukanie do drzwi. Klamka się poruszyła i do środka zajrzał wysoki, lekko misiowaty mężczyzna.

– Dzień dobry, nie przeszkadzam? – zapytał niepewnie.

– Mój mąż – przedstawiła go Sylwia Kier. Wiera miała wrażenie, że jej ulżyło.

– Dzień dobry. Nie, już skończyłyśmy. Gdyby coś się pani przypomniało, cokolwiek, proszę dać znać. – Schyliła się, sięgnęła po leżący na szafce długopis. – Mogę? – Dotknęła nim kolorowej plotkarskiej gazety.

Kobieta kiwnęła głową. Wiera zapisała u dołu strony numer swojego telefonu.

– Do widzenia.

Odpowiedziały jej dwa kiwnięcia głową.

Wyszła, nie zamykając za sobą drzwi. Nie usłyszała żadnego głosu. Cokolwiek tych dwoje miało sobie do powiedzenia, czekało, aż ona znajdzie się na ulicy.

*

„Po co im tyle bruku?”, pomyślała, idąc przez Rynek. To była jakaś mania, żeby centralne miejsca w miastach zamieniać na lądowiska dla helikopterów. Gładka kostka, zero zieleni. Nieprzytulnie i jakoś tak...

– Hej!

Przystanąła. Tylko jedna znana jej osoba mówiła „hej!” w taki sposób.

Rozejrzała się. Stał za nią, chyba podbiegł albo szybko podszedł, żeby się z nią przywitać, bo oddech miał przyspieszony.

– I jak? Widziałaś się z Sylwią Kier?

– Tak.

– Z efektem?

Zamyśliła się – na tyle, na ile pozwoliło jej rozedrganie spowodowane jego towarzystwem. Podczas rozmowy z Sylwią Kier kilka razy miała wrażenie, sama nie wiedziała, jak to nazwać – chyba nieadekwatności reakcji. Tak, o to chodziło – tam, gdzie Wiera obstawiała emocje, panował spokój, tam, gdzie powinna być obojętność, pojawiała się napięcie. Nie potrafiła na razie wyciągnąć z tego wniosków.

– Zobaczymy – odparła wymijająco.

– A dałabyś się zaprosić na obiad? Późny obiad. Albo wczesną kolację? – Gazda spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta. – Jestem już po pracy, więc jeśli nie masz planów... – Zawiesił głos.

Tu też się trochę pogubiła. Czy to było zaopiekowanie się koleżanką po fachu, na służbie w obcym mieście, czy zaproszenie natury prywatnej?

Po drugim kieliszku wina miała pewność, że cel towarzyszący zaproszeniu był pozazawodowy. Siedzieli w knajpie niedaleko Rynku. Dziki Byk. Gdy Gazda podał jej nazwę, skojarzenia miała jednoznaczne – maczystowskie. Nie pomyliła się co do wystroju – jakby z Dzikiego Zachodu, choć w elegancko-nastrojowym klimacie. W karcie pozycje typu: „Aj Aj Aj Oj Uh Huh, czyli burger z szarpaną wołowiną”. Była też „szarpana kaczka” i „hot dogi francuskie «Szarik»”. I dania wegetariańskie, na przykład „Dzikię pnące” czy „Wrzosowy świt”. Mieszmasz kulinarny.

W głowie też miała mieszmasz. Słuchała Antka Gazdy, który po służbie częściej przechodził na gwarę. A może nie chodziło o to, że mniej się pilnował językowo, tylko chciał jej zaimponować? Bo po niej było widać, że góralszczyzna się jej podoba. Zauroczenie wzmagало się proporcjonalnie do wypitego alkoholu: honor, śleboda, robota, ziom – jak ładnie to brzmiało w jego ustach. Pociągająco.

– Góralicek bity, co jest wytrzymały, uzdolniony, pracowity. Taka prawda o nas. – Roześmiał się.

Zachichotała. Zdecydowanie za dużo wina.

– Deser chcesz? – Głowę miał mocniejszą, mimo sporej przewagi w opróżnionych kieliszkach.

Przytaknęła. Była już najedzona, ale nie chciała, żeby to spotkanie się skończyło.

Czuła dygot. Wino nie pomagało w porządkowaniu myśli. Zresztą nie miała na to specjalnie ochoty. „Ależ wypadłam z randkowego obiegu”, na tę konstatację starczało jej koncentracji, niestety. Antoni Gazda coraz bardziej się jej podobał. Ona jemu –

chyba też. Gdy na stół wjechała „Panierowana lodowa słodycz podawana na gorąco”, zapytał:

– Mogę spróbować? – I nie czekając, co Wiera odpowie, wziął łyżeczkę i nabrał nią deser. – Pyszne. – Teraz nabrał porcję dla Wiery. Przechylił się przez stół i zbliżył łyżkę do jej ust. Rzeczywiście, deser był dobry, choć Wiera była już nastawiona na inne doznania. Gazda nachylił się jeszcze bardziej i pocałował ją w usta. Dobrze, że siedzieli w ciemnym kącie, nie zauważył, że ma czerwone policzki. Czuła ich ciepło – od wina, od jedzenia, z podniecenia.

Gdy wyszli z knajpy, był już zmrok. Ponad dwie godziny minęły jak kwadrans.

– Odprowadzę cię – zaproponował.

Kiwnęła głową. Świat jej lekko uciekał, pion się przechylał.

– Chodź. – Podał jej ramię. Musiał mieć naprawdę mocną głowę albo solidną praktykę.

Po mniej więcej dziesięciu minutach podeszli pod budynek, w którym mieszkała.

– Zaprosisz mnie? – ubiegł ją. A może wcale by tego nie powiedziała? Nie dlatego, że składne łączenie słów kosztowało ją teraz więcej wysiłku niż zwykle – bez przesady, wystarczyło powiedzieć „chodź” lub zapytać: „wejdiesz?”. W sumie to nawet nic nie trzeba było mówić, mogła go po prostu wziąć za rękę i pociągnąć za sobą. W niektórych sytuacjach słowa są naprawdę zbyteczne. Po prostu wciąż była tą Wierą z małego miasteczka na wschodzie Polski, która chciała (i może nawet czasem się jej udawało) toczyć krucjatę przeciw patriarchatowi i która nadal dawała mu się pokonywać. „Nie wypada”, „głupio”, „kobieta nie...”.

– A chuj... – mruknęła do tych myśli. I zaraz się roześmiała, bo właściwie to było zabawne, zwłaszcza w tym kontekście.

– No co? – Gazda nie dosłyszał i chyba na moment stracił rezon.

– Chodź – powiedziała najwyraźniej, jak potrafiła, i pociągnęła go za sobą.

Jedną z ostatnich książek, jakie pożyczyła, i to z tej grupy „jedna trzecia”, czyli poważniejszych, była powieść jakiejś babki, nie pamiętała nazwiska, tyle że włoskie. Podobno światowej sławy i piszącej mądre książki. Nastawiła się na nudę, ale tytuł *Zakłamanie życie dorosłych* dawał jakąś nadzieję, że nie uśnie. I rzeczywiście, mimo że ambitne i zagraniczne, Wiera się w tym tekście odnalazła. Był tam taki fragment, gdzie podstarzała już ciotka opowiada swojej młodej bratanicy o największej, w sumie jedynej, miłości swojego życia – kochanku, z którym miała romans. I mówi o tym

wyzwalająco. Mówi „pieprzyć się”. Mówi, że oni się nawzajem pieścili, ssali, dotykali, całowali, lizali. Że on jej wkładał fiuta głęboko, trzymał za tyłek i posuwał tak, że krzyczała. I dobra, kupiła też te *365 dni*, bo wstydziła się pożyczyć, i tam więcej otworów i spermy, ale to był po prostu pornorzyg, plastik i kiła. Mechaniczne czynności w głupiej scenerii, nieprawdopodobne, durna ona, durny on. A w tej książce, kiedy ta ciotka powiedziała do siostrzenicy: „Jeśli przez całe życie nie zrobisz tego tak, jak ja robiłam, z taką namiętnością, taką miłością, i nie mówię, że jednaście razy, ale chociaż raz, to marne to twoje życie”³.

Zamknęła drzwi do pokoju i zaczęła całować Antka. Wciąż szumiało jej w głowie, wydawało się jej, że świat płynie gdzieś obok, ale to jedno odczuwała namacalnie i niezaprzeczalnie – chciała się kochać z tym facetem, jak z żadnym nigdy wcześniej. On, początkowo jakby onieśmielony tym, że przejęła inicjatywę, też dał się ponieść. Po kilku minutach leżeli nago na tym twardym i wąskim tapczanie, na którym przewracała się poprzedniej nocy, nie mogąc spać i myśląc o śledztwie, Giżycku, swoim życiu. Teraz nic nie myślała; była dygotem, namiętnością, lepką czułością. Miała wrażenie, jakby przybyło jej zakończeń nerwowych, jakby cała była naelektryzowana. Pulsowała i drżała, brała i dawała.

Pieprzyła się i miała wszystko.

ROZDZIAŁ 15

2014, Nowy Targ

„Zawsze będziemy razem”. Litery były koślawe, w jednych miejscach bardziej rdzawe, w innych – bladoczerwone.

– Podpisz się jeszcze – powiedziała. – I wrywaj te kartki starannie, chyba tyle potrafisz? – Spojrzał na postrzępiony brzeg papieru w kratkę.

Kiwnęła głową. Nie odzywała się, bo się bała, że się rozpłacze, a on tego nie znosił. Jeszcze dawniej wydawało się jej, że on ją kocha. Jeśli ktoś jest taki zazdrosny, to chyba musi kochać? Chciał ją mieć tylko dla siebie, najlepiej żeby nikt na nią nie spojrział. Nawet jej to imponowało, że wreszcie jest w centrum uwagi. Potem się wszystko popsuło. Nie była głupia czy naiwna, przecież wiedziała, że życie to nie jest bajka, ale to, co się między nimi działo, nie było normalne, tak jak oni to chyba nikt nie żył. Ale jak tylko próbowała coś komuś powiedzieć, to nikt się nie oburzał, gdy słyszał, co się w ich czterech ścianach dzieje, czyli to nie mogło być coś wyjątkowego. Zresztą tu się nieprzychylnie patrzyło na pranie swoich brudów na widoku.

Musiała wycisnąć jeszcze kilka kropli, ale krew już nie chciała lecieć. Podniosła zyletkę ze stołu i przejechała nią po opuszcze kolejnego palca. Nie za głęboko, akurat na sześć liter.

– Coście blada. Może chora? A może ino zmęczona? – Gospodyni miała pod siedemdziesiątkę, spódnicę w kwiaty i chustkę na głowie oraz bystre oko i znajomość życia.

– Trudny tydzień za mną – bąknęła Wiera.

Wciąż bolała ją głowa. Bolały ją też otarcia, nie tylko na brodzie, bo Antek miał twardy zarost.

Prognozy się nie myliły. Niebo zrobiło się błękitne, wyszło słońce. Wiera dojechała do Zakopanego wcześniej rano, miała pustą drogę. Nawigacja skierowała ją przez centrum, koło kolejki na Gubałówkę. Miała wrażenie, że jedzie przez deptak handlowy. Potem zrobiło się ładniej, minęła te drewniane domy zapamiętane z wycieczki klasowej, jeszcze kawałek i skręciła w lewo. Droga na Buńdówki – brzmiało nieźle. A sam dom to była bajka – na wzniesieniu, dokoła pusto, tylko łąki i drzewa. Stary budynek z ciemnobrązowego drewna, typowa góralska architektura. Spadzisty zielony dach.

Gospodyni zaprowadziła ją na piętro po skrzypiących schodach. Mały pokój, mieszczący się na przeszklonej werandzie, z widokiem na Giewont.

– A tędy, przez to pole, to kilka minut i jesteście pod regłami. – Gospodyni pokazała ręką przez okno. – Jeśli się chcecie wybrać.

– Tak – bąknęła Wiera. Najchętniej toby się zakopała w pościeli. Miękką poduszką i puchatą kołdra wyglądały zachęcająco.

– No to dobrze. Herbaty wam zrobię, chodźcie do kuchni.

Wiera poszła za gospodynią. Polubiła ją. Była mało wylewna i bezpośrednia, czyli w sumie bardzo okej.

– Zimno jeszcze, mimo słońca. – Gospodyni stała do niej tyłem. Wyciągnęła kubek z szafki i wrzuciła do niego okrągłą saszetkę z herbatą. Czajnik elektryczny pyknął. Wlała wrzątek do fajansu.

– Posłodzę sokiem z malin, mamy mojej. – Dolała trochę różowego płynu ze słoika. – Potrzebujecie się rozgrzać? – zapytała, nie odwracając się w stronę Wiery.

Wiera kiwnęła głową. Gospodyni, mimo że Wiera nie mogła tego zobaczyć, otworzyła teraz drugą szafkę i wyjęła z niej butelkę bez etykiety. Wlała trochę przezroczystego płynu do herbaty.

– No, to macie. Na dobry sen też wam mogę dać.

– Dziękuję. – Wiera zabrała kubek i ostrożnie, żeby się nie oblać gorącym napojem, wróciła na górę.

Herbata była słodka i lekko piekła wódką albo spirytusem. Wiera prawie od razu poczuła się lepiej.

Droga Pod Reglami była pusta. Kilka aut stało przy wejściu do doliny, której nazwy nie zapamiętała, poza tym szlak prowadzący skrajem lasu, z fantastycznym widokiem na miasto, był tylko do jej dyspozycji.

Pachniało mokrą wiosną; czasem ten zapach był przełamany wonią z kominów. Teraz było jasne, że to zapach smogu, malutkich cząstek, które atakują płuca, ale dla niej to był po prostu zapach dzieciństwa. Tak pachniała Ornetka, od jesieni do wiosny. Dymno-mglista, lekko kwaśna woń. Lubiła ją, bo była synonimem ciepła. W ogóle lubiła ogień.

Przed skocznią trasa nagle się kończyła. Płot, jakaś budowa. Trudno, zeszła do asfaltowej cywilizacji. Wzdłuż ulicy, na chodniku, stały drewniane budki z pamiątkami, to znaczy z chińskim badziewiem udającym pamiątki. Wzdrygnęła się. Po co to ludziom? No dobra, ona też sobie coś kupiła na tej wycieczce – wełniane skarpety od skurczonej babuleńki. Z owczej wełny, bo śmierdziały mimo kolejnych prań. I lokalnie wydziergane. A teraz?...

Zaburczało jej w brzuchu. W sumie nie dziwne, śniadania nie jadła, a było już po dwunastej. Na rondzie skręciła w lewo, a potem znowu w lewo, w kierunku centrum, w poszukiwaniu jakiejś knajpy. Kawalek dalej zobaczyła szyld „Bar Regionalny”. Wyglądał zachęcająco. Do tego był z dala od turystycznego ruchu i z lokalsami, jak oceniła, w środku. Wróżyło dobrze.

Zamówiła kwaśnicę. Dziewczyna w okienku – ze wschodnim akcentem – postawiła przed nią duży parujący talerz. Pachniało obiecująco.

Okazało się jeszcze lepsze. Kwas aż wykrzywił jej twarz, ziemniaki były żółte, kleiste, żeberka odchodziły od kości, po prostu rozpływały się w ustach. Czasem jednak miała ochotę na mięso, mimo deklarowanego wegetarianizmu. I niekiedy ulegała tej ochocie.

Skończyła jeść i wytarła usta chusteczką. Zrobiło się jej sennie.

Cieszyła się, że tu jest. Od tak dawna nie miała normalnych wakacji. Zawsze brakowało jej kasy. Towarzystwa i czasu też. Nie wyjeżdżała, nie regenerowała się, kiśla w tym Giżycku.

Więc teraz było okej, ale jednocześnie nie potrafiła tak do końca się cieszyć, bo wisiała nad nią ta cholerna sprawa. Gdyby to Kosoń ją prowadził, byłoby zupełnie inaczej. Pomocnik to pomocnik, może błysnąć, ale odpowiedzialność spoczywa na innych barkach. Jednak przecież właśnie tego chciała: samodzielności. Król dał jej Jeziorowskie, bo początkowo chodziło tylko o włamanie. Drobnica, może być i dla

sierżant Jezierskiej. A potem... Nie, nie dbał o jej rozwój, raczej chciał ją poddać próbie i udupić, pokazać jej miejsce w szeregu.

Żołądek się jej ścisnął. Zjadłaby coś jeszcze – stres zawsze wywoływał w niej głód. Teraz, dla odmiany, wybrałaby coś słodkiego. Po drugiej stronie ulicy, niżej, zauważyła szyld „Gabi”. Cukiernia, duża, ładna, żadna sieciówka. Wyszła z baru, przeszła przez ulicę.

W przeszklonych witrynach stały desery. Bite śmietany, bezy, galaretki. Koktajle. O, to było to, zwłaszcza jagodowy. Też taki lokalny, może z owoców zbieranych tutaj, w okolicy.

Napój był dobry – trochę kwaśny, trochę słodki, chyba na maślanec. Nie do końca rozdrobnione łupiny jagód przepływały jej między zębami. „Ryzykowne połączenie”, przyszło jej do głowy, gdy przypomniła sobie smak kwaśnicy, ale na razie było super.

Wczoraj też tak myślała. Liczyło się tylko to, co się wtedy działo między nią a Antkiem.

Nie pamiętała, kiedy wyszedł, chyba zasnęła. Rano chciała mu wysłać SMS, że tęskni, że może by się zobaczyli, kiedy będzie wracać, ale się powstrzymała. Tak to wcześniej robiła. Teraz nie będzie zapeszać, nie będzie w natarciu. To, co się między nimi rodziło, to znaczy to akurat nie, to by była ostatnia rzecz, jakiej by chciała – ciąża, a nie miała stuprocentowej pewności, czy za każdym razem Gazda „sięgał do portek” po nową prezerwatywę – to, co między nimi iskrzyło, mogło mieć przyszłość. Oboje policjanci, rozumieją swoje zawody, w łóżku super...

Otrząsnęła się.

Zeszła w dół Krupówek. „Podhalańskie Las Vegas”, pomyślała, z obrzydzeniem patrząc na stragany i słuchając góralskiego disco.

Skręciła w lewo, w drogę, którą jechała rano. Miała do przejścia jakieś dwa–trzy kilometry. W sam raz, żeby „rozchodzić” obiad. Kimnie się trochę, odpocznie i wyjdzie na jeszcze jeden spacer. A jutro – w Dolinę Chochołowską.

Zauważyła mały sklep spożywczy. Przez moment się wahała, ale kupiła piwo. Terapia alternatywna, lecz skuteczna.

Na podwórku nie spotkała gospodyni, więc poszła do siebie, na górę.

Położyła się na łóżku, ale sen nie przychodził.

Wstała, wyciągnęła swój notes.

Co za cholerna sprawa. Albo jest banalna i Wiera daje dupy, nie potrafiąc jej rozwiązać, albo jest splątana. I Wiera też nie potrafi jej rozwiązać.

Wójcik już czekał na proces, ale że był płótką, która przypadkiem odkryła grubszą sprawę, to było jasne.

Hipotetycznie, wyjątkowo hipotetycznie, mogło być tak, że ktoś zupełnie przypadkowo zabił Chyca. Jakaś kłótnia w barze, po drodze, ale to powinno wyjść podczas tamtego śledztwa. Nie wyszło, może nie tylko z powodu niedoróbek Sidorczuka.

Adam Świątkowski. To był jej trop. Wszystkie inne intencjonalnie uwalala. Świątkowski pasował. Pokrzywdzony, oszukany przez los, historię, państwo, przez wszystkich. Taki skumulowany wkurw z jednej strony rozkłada się na lata, więc pozwala planować z zimną krwią, z drugiej – domaga się zemsty. Problem polegał na tym, że to właściwie było niesprawdzalne. Żadnych dowodów nie było i chyba już nie będzie, bo niby skąd?

Więc raczej zostanie już na zawsze z tą cholerną niepewnością.

Otworzyła piwo. Nie lubiła pić z butelki, przelała sobie do szklanki.

Sprawa musi się jednak toczyć i dotoczyć do szczęśliwego końca, czyli do statystyk innych niż „nierozwiązane”.

Znowu sobie nalala. Odbiło się jej – kwaśnicą i koktajlem.

Mimo wszystko nie było tak, że nie miała nic w zamian.

Z tą Sylwią Kier było coś nie halo. Reagowała nie tak, jak powinna. Jak ktoś jest winny, to zaprzecza w każdym możliwym momencie. Sugestia, że to on – zaprzeczenie. Sugerowanie – ależ mam alibi. Kiedy jest niewinny, też się boi, uprzedza na zaś. A ta dziewczyna nic. Jakby była zobojętniała – ale przecież nie była, to widać, zresztą wszyscy potwierdzili, że to był zły związek. Ale ruszyło ją, kiedy Wiera zapytała o inne kobiety. To może jednak coś było na rzeczy, znaczy jakaś. Chyba nie ta Kamila, może ktoś jeszcze, kto pozostał w ukryciu?...

Pogadałaby z kimś, głośno posłuchała swoich myśli, może to by pomogło.

Do Kosonia nie zadzwoni, wie, że pojechał do Ruberta. Jej szef się naprawdę powoli oddalał na emeryturę.

Do Gazdy też nie, to by wyglądało jak próba szukania kontaktu, pretekst.

To może Przyzwan? Miała dla niej respekt, a jednocześnie czuła jej wsparcie. Zresztą sama prokuratorka powiedziała: „Dzwoń, jakby co”.

– Halo? – Maria Przyzwan odebrała po pierwszym sygnale, co znaczyło, że miała czas albo przeciwnie – Wiera w czymś jej przeszkodziła i prokuratorka chce jak najszybciej ją spławić.

– Dzień dobry. Wiera Jezierska z tej strony.

– Cześć. No co tam?

– W sumie... A nie przeszkadzam?

– Nie, mam luzy. No dawaj. Co nowego w sprawie?

– Jestem w Zakopanem.

– Tak się rozciągnęło?

– Nie, to już prywatny wyjazd. Dziś rano, do jutra. Połączyłam ze służbowym, do Nowego Targu.

– A w Nowym Targu jakieś nowości?

– Nie do końca. Jedna, choć to stara nowość. W czterdziestym piątym, w maju, zastrzelono dwóch Żydów. Jeden z nich to Samuel Aronowicz, ojciec Adama Świątkowskiego.

– Czyli się potwierdziło.

– Potwierdziło. Sprawa niby polityczna, że donosili, ale oni obaj wrócili z obozu i ukrywania się, nie było ich przecież, czyli nie ten motyw. Sprawców nie wykryto.

– Ciekawe. A te wiadomości skąd masz?

– To akurat stary artykuł z lokalnej gazety. Ale sprawdzę w archiwum IPN.

– Jak stary, to na pewno coś jeszcze wypłynęło, zresztą oni biorą do tekstu kilka zdań z obszernych dokumentów... Tyle że oskarżenia z tego nie ukręcisz. Masz pewność, że to to?

Wiera westchnęła, a potem się jej znowu odbiło.

– Na sto procent to nie. Tyle że te wątki to wciąż są żywe. Na miejscowych forach, kiedy pojawia się słowo „Żyd” czy „Ogień”, ludzie sobie skaczą do gardeł. To budzi duże emocje. Jedni stawiają Kurasiowi pomnik, inni go farbą oblewają. Jedni żałują Żydów, którzy teraz wracają do miasta, inni ich wysyłają do Izraela. To jest ciągły ferment.

– Jest, ale to taka cecha narodowa, żeby szukać wroga. A ten Gazda coś miał, był jakoś pomocny? Bo wiesz, Sidorczuk to spieprzył, a po kilku latach nie da się tych niedociągnięć łatwo naprawić.

Wiera czuła, że zaczyna ją mdlić.

– No... Starał się. On wtedy poszedł w inną stronę. Znaczący nie w przeszłość, stawał na coś doraźnego.

– Ale konkretnie?

– Nie. W Nowym Targu nikomu nie zależało na śmierci Chyca.

– Czyli teza Gazdy była taka, że Chyc wyjechał na Mazury, żeby się zgubić, a teraz uważa, że po to, żeby dać się zabić. Wygodnie dla nowotarskiej policji.

Do mdłości dołączył ból głowy. W pokoju było duszno i ciepło. Wiera otworzyła okno.

– Teraz... no w sumie nic. Nic takiego.

Przyzwan przez chwilę milczała.

– Coś ci poradzę, Wiera. Prywatnie, nie zawodowo. Jeśli masz do wyboru postawić na robotę albo na faceta, wybierz robotę. I pamiętaj, żeby nigdy nie mieszać wątków, bo to ci się odbije czkawką.

Wiera odłożyła telefon na stolik i poczuła, że dłużej już nie wytrzyma. Wybiegła z pokoju i zawisła z głową nad muszlą klozetową.

ROZDZIAŁ 16

2020, Nowy Targ

W górach można zapomnieć, że woda to także żywioł.

Wypiętrzone skały, wydawałoby się – nie do ruszenia. Stoją tu od zawsze – od pradziada i jeszcze dawniej. Twarde, odporne na zmiany. Taki krajobraz, tacy i jego mieszkańcy.

A jednak woda potrafi wprowadzić zamęt. Niby tylko okresowo wąskie strumyki zmieniają się w rwące potoki, przewalą po deszczu czy roztopach, a potem znowu się skulą, zmniejszą i będzie po staremu.

Teraz było inaczej. To się musiało dziać latami, przecież żadna duża zmiana nie wydarza się z dnia na dzień. Wcześniej woda pracowicie podmywała skały, wciskając się w szczeliny, nadwątłając bloki, osłabiając je. Z zewnątrz nic nie było widać – monolit się trzymał.

Aż pojawiła się ta kropla, która odmieniła krajobraz.

Nie padało od dwóch dni, nawet wyszło słońce. Woda się uspokoiła, świat wrócił do dawnego porządku.

Pozornie.

Najpierw dało się słyszeć głuchy dźwięk, dochodzący gdzieś z głębi. Potem podłoże się zatrzęsło, a chwilę później zaczęło osuwać. Sosny i buki, które stały na zboczu, przez chwilę jakby się wahały – wychylenie w prawo, potem powrót w lewo. I znowu. Aż za trzecim razem – trach! Później zsunęła się ziemia – gliniasta, rozmokła. Za nią poleciały fragmenty kruszonych skał. To wszystko wyglądało tak, jakby ktoś nieumiejętnie, tępym nożem, kroił tort. Warstwy się mieszały, zamiast zgrabnego kawałka odrywały się strzępy.

Chałupa, która wieczorem stała cztery metry od potoku, teraz zawisła nad jego brzegiem.

Wydawało się, że się utrzyma, że to, co miało się stać, już się dokonało.

Najpierw jednak między ścianą boczną a dachem pojawiła się szczelina, która powoli się powiększała, a potem budynek zaczął zjeżdżać do strumienia.

Najgorsze jednak było to, co odsłoniły oderwane od podłogi deski.

Piąta trzydzieści dwie. Za cztery minuty wszędzie słońce. I na pewno zrobi się cieplej. Teraz czuła, jak jej uda pokrywają się gęsią skórką.

Zawahała się. Na trasie na pewno nie spotka żadnego strażnika. Kilka złotych – kogo to zbawi? TPN nie zbiednieje, a może w ogóle ta Wspólnota Uprawniona Ośmiu Wsi w Witowie ma z tego kasę? Westchnęła i zdjęła plecak. Położyła go na wilgotnej ladzie zamkniętej kasy. Ściągnęła rękawiczki i wyciągnęła komórkę. Uruchomiła dane komórkowe; kilka minut klikania i miała już bilet wstępu do Doliny Chochołowskiej. „Jesteś nieuleczalnie uczciwa”, mruknęła do siebie, chowając telefon do kieszeni kurtki. Na pewno będzie robiła zdjęcia, nie ma co znowu wkładać do plecaka.

Po kwadransie stanęła. „Za darmo nie dostaniesz nic ładnego. Zachód słońca jest za darmo, a więc nie jest piękny”. Klasa maturalna, lekcja na temat poezji. Zwykle poezja ją nudziła, bo albo była zrymowana do porzygania, albo Wiera jej nie rozumiała. Ale Bursa się jej spodobał. „Poezja buntownicza”, tak to się chyba nazywało. Udało mu się być buntownikiem przez całe życie, bo młodo umarł.

Przed nią rozpościerało się fioletowe morze krokusów. „Morze”, tak pomyślała, więc jednak ta zwykła poezja też w niej została. Tak czy owak – łąka była fioletowa. Widziała to już na zeszłorocznych zdjęciach, ale na żywo to było coś zupełnie innego. „Więc jest na tym świecie absolutne piękno, momenty zachwyty zatrzymującego czas. I do tego – za darmo”, pomyślała. Bursa miał rację, bo przecież to o tym zachodzie słońca to było zaczepnie, nie na serio.

Wyjęła telefon i zaczęła pstrykać. Człowiek się jednak nie może opanować, żeby nie utrwałać tego, co chce zapamiętać.

Ruszyła dalej. Może te krokusy są tylko tutaj, a potem już zwykła zieleń, niezbyt jeszcze wybujała, ale skoro Wiera już tu jest, to dojdzie do celu, czyli do schroniska. Skończył się asfalt, zaczęła ubita droga. W teorii, bo teraz była jednak pokryta warstwą śliskiego błota.

Piękne miejsce. Ciche i majestatyczne. Szkoda tylko, że ona była taka sflaczała. Zatrzymała się, żeby wyciągnąć z plecaka butelkę wody. Wypiła prawie jedną trzecią, czyli pół litra. Strasznie ją suszyło, a głowa lekko ćmiła.

Po półgodzinie powtórzyła nawodnienie. A po kolejnym kwadransie poczuła, że przyszedł czas na pozbycie się tego, co w siebie wlała. Toaleta na pewno była w schronisku, ale, według znaków, to jeszcze godzina. Rozejrzała się; dokoła była sama natura i wciąż zero ludzi – wystarczy zejść w bok. W praktyce nie było to takie łatwe, bo albo strumień, albo krzaczory, albo zbocze. W końcu wypatrzyła odpowiednie miejsce.

Zeszła ze szlaku, przedarła się przez gęste choinki i zobaczyła niewielkie, naturalne obniżenie terenu. Mogłaby zostać już tu, w końcu nikogo na horyzoncie, ale wolała być jeszcze bardziej niewidoczna.

Igliwie pokryte zbutwiałymi liśćmi, naniesionymi z góry, miękko się zapadało pod jej stopami. Dołek był super, kiedy kucnie, nawet czapka nie będzie wystawać. Zrobiła jeszcze dwa kroki i gwałtownie zamachała rękami. Gdyby było się czego uchwycić, zrobiłaby to, ale do najbliższego pnia było za daleko. Poczuła, że osuwa się wraz z moką ziemią. Jej nogi wykonały kilka obronnych kroków, jakby się chciała piętami zaprzeć, ale bez efektu – straciła równowagę i upadła.

– Kurwa! – zakląła. Uderzenie było bolesne. Chwilę spędziła w pozycji leżącej, po czym próbowała się podnieść. Dłonią wyczuła twarde podłoże – na osuwisku została prawie sama goła skała. Odzyskała pion. Kolana jej drżały. Zdjęła plecak – był uwalony błotnistą mazią. Dół kurtki i dżinsy wyglądały tylko trochę lepiej. – Kurwa – powtórzyła, ale tym razem płaczącym tonem.

Odpięła zamek spodni i kucnęła. Nogi wciąż były jak nie jej, potłuczone kości bolały. Tylko pęcherz był w lepszym stanie niż przed upadkiem. Kilkoma chusteczkami higienicznymi wyczyściła ortalion kurtki i plecaka.

Wróciła na szlak. Dobry humor się ulotnił.

„Wszystko, kurwa, nie tak”.

Szybkim tempem doszła do schroniska. Właściwie to w pierwszym odruchu chciała zawrócić, ale wtedy zostałaby z uczuciem niespełnienia – nie znosiła nie doprowadzać spraw do końca.

W łazience wyczyściła trochę dżinsy ręcznikami papierowymi, a potem poszła do jadalni. Siedziały w niej cztery osoby, najwyraźniej nocujące w tym miejscu. Koszule flanelowe, własne metalowe kubki, rozłożona jakaś planszówka, pogodny śmiech.

Wszystko było takie ładne, jak z reklamy Lidla albo Tchibo. „Pewnie pracują w jakimś korpo”, pomyślała ze złością. „Nic nie wiedzą o prawdziwym życiu”.

Kupiła naleśniki i herbatę. Smaczne, ale nie poprawiły jej humoru.

W drodze powrotnej zrobiło się już tłoczno. Mimo że krokusowe łąki były blisko parkingu i wejścia do doliny, kursowała tu ciuchcia dowożąca turystów. „Ja pierdolę”, westchnęła w duchu, „co z tymi ludźmi?”.

Może dlatego, że spodnie wciąż miała wilgotne, a może dlatego, że była zdenerwowana, a może z powodu obiektywnego zimna poczuła, że się trzęsie.

Weszła do baru przy parkingu.

– Dzień dobry, poproszę herbatę.

– A może z prądem? – zapytała uśmiechnięta dziewczyna w podhalańskim stroju ludowym *made in China*.

– Nie – odburknęła Wiera.

Usiadła przy stoliku pod oknem. Miała stąd widok na tłum sunący w dolinę. Sprawa Chyca zapewne umrze śmiercią naturalną, mimo że on umarł nienaturalnie, a Wiera okaże się gorsza od Sidorczuka, bo on zwałił sprawę zaginionego, jej się trup wymyka. Gazda nie zadzwonił, jednak kawał skurwysyna. Wszystko było źle.

Telefon zawibrował. Anka. Więc może być gorzej. Normalnie by nie odebrała, a teraz, podminowana, szukała pretekstu, żeby wybuchnąć.

– Cześć – powiedziała, zaciskając zęby.

– O. Cześć. – Siostra ewidentnie się zdziwiła tym telefonicznym sukcesem. – Słuchaj, chciałam zapytać, czy ty dziś może jedziesz do mamy.

– Nie jadę – odparła Wiera konfrontacyjnym tonem.

– No bo cię nie było tydzień temu, więc...

– Więc dziś by wypadało. No ale mnie akurat wypadło coś innego. W górach jestem.

– W górach? A co ty robisz w górach? Sama?

– Nie sama. Z facetem.

– O. A. To... to chyba dobrze?... On jest... przyszłościowy?

– Przyszłościowy! – Wiera się zaśmiała. – Nie wiem, zobaczy się, ale on jest stąd, więc ślubu raczej z tego nie będzie. Dzieci też nie.

– Tobie to sprawia przyjemność, prawda?

– Co?

- Że wyśmiewasz wszystko, w co wierzę. W co wierzy twoja matka.
- Matka to już wierzy tylko w telenowełe, które jej siostry puszcza.
- Wiera, co się z tobą stało? Jesteśmy siostrami, mamy wspólną matkę...
- Ojca też miałyśmy wspólnego. Może on ma coś do tego, co się ze mną stało?
- Ojciec nie żyje, a pamięci zmarłych się nie szarga.
- Ja bym jego wyszargała, za to, co nam zrobił.
- Wiera, nie możesz tak, ojciec to...

– Chuj mnie obchodzi, że ojciec! – Niosąca jej herbatę dziewczyna w góralskim stroju niepewnie się zatrzymała. – Rozumiesz? – dodała już ciszej. – Ojciec, ojczyzna – jaki to, kurwa, patos nie do tknięcia. A dlaczego nie matczyzna? Ten świat chyba na matkach się opiera, co?

- Matki też nie szanujesz.
- Nie szanuję, a to dobre.
- Nie odwiedzasz, na święta nie chcesz...

– Nie chcę uczestniczyć w tym cyrku. Że nic się nie stało, że miałyśmy normalne życie, że tatuś powiększył grono aniołków. Nic z tego się nie zgadza. Zadręczył matkę i nas.

– To, że ty masz problemy, nie znaczy, że wszyscy je mają.

– Święta Anna! Ty uciekaś w dewocję, matka – w demencję. Ja przynajmniej próbuję żyć.

– Co to za życie? Bez świętości, bez rodziny...

– Prawdziwe. Mało udane, czasem bolesne, ale prawdziwe.

– Prawda... Oj, Wiera. My się nie spotykamy często, bo ty uciekasz, ale ja cię obserwuję, interesuję się tobą. W zeszłym roku też patrzyłam, no, kiedy była ta sprawa. Prawda... Wtedy także ci chodziło o prawdę? Przecież czasem, zwłaszcza wtedy, gdy już nic nie można zmienić, lepiej sprawy zostawić, nie ruszać, w imię jakiegokolwiek prawdy.

– Jakiegokolwiek? – Wiera tak energicznie zamieszała herbatę, że ciepły płyn zachlapał stolik. – Prawda jest jedna. I prawda to wolność.

- Wolność, och, Wiera.
- Wolność. A wiesz, kto to powiedział?
- Pewnie jakiś hipis czy ktoś taki.
- Nie, Anka, Jezus. Twój Jezus. Jezus Chrystus.

Rozłączyła się. Czuła, że się trzęsie. Już nie była wściekła, była znowu tą małą, zagubioną Wierą. Wytarła oczy i nos szorstką chusteczką z serwetnika.

Dopiła herbatę, zostawiła odliczone w drobnych osiem złotych na stole i poszła do auta. Zaparkowała na poboczu, bo rano parking był zamknięty. Teraz wszędzie już były samochody.

Otworzyła bagażnik i wyciągnęła z niego torbę. Wyjęła czarne spodnie. Rozejrzała się – nigdzie ustronnego miejsca. Usiadła na tylnych siedzeniach, z nogami na zewnątrz. Najpierw pozbyła się ubłoconych butów, potem – dżinsów. Chwilę trwało, nim w tej siedzącej, przykurzonej pozycji udało się jej zdjąć jedno i włożyć drugie portki. „Portki”, naprawdę tak pomyślała.

O wpół do dwunastej ruszyła do domu.

W Zakopanem było już ciasno, przez Krupówki przelewał się tłum. Dopiero w Dunajcu zrobiło się luźniej.

Po tej stronie też było szkaradnie – płasko – jedyne pionowe elementy to billboardy.

Na wysokości Nowego Targu Wiera odwróciła wzrok w lewo. Nie miała ochoty patrzeć na to miasto. Podjeżdżała pod górę, po jednej stronie mając Turbacz, po drugiej – stację benzynową, gdy usłyszała telefon.

Sięgnęła ręką na fotel obok. Spodziewała się, że to Anka, która będzie chciała dokończyć przerwana przez Wierę rozmowę. „Antoni Gazda”, zobaczyła jednak na wyświetlaczu.

Gwałtownie włączyła lewy kierunkowskaz i wjechała na stację.

– Hej, zaraz, tylko zaparkuję – rzuciła do telefonu i położyła go na kolanach. Dojechała do parkingu mieszczącego się z tyłu budynku. Rozciągał się stąd piękny widok na góry. I nie było żadnej reklamy. Wyłączyła silnik. Serce szybciej jej biło. „Więc jednak mu zależy”, pomyślała.

– Halo? Jestem już. – Nawet nie musiała się starać, żeby zabrzmieć rześko i zalotnie.

– A gdzie dokładnie jesteś? – Antoni Gazda nie bawił się we wprowadzające, kurtuazyjne gadki. Wiera poczuła znajome pulsowanie w podbrzuszu.

– Na stacji benzynowej, tej na górze.

– No to przyjeźdź – powiedział tonem nieprzyjmującym sprzeciwu.

– No to podaj jakiś adres... – Wygodniej się rozparła w fotelu. Jeśli Antek ma

fazę na zgrywanie macho, okej.

– Zielony szlak na Turbacz.

– Na Turbacz – powtórzyła po nim. – Jaja se... – zaczęła, ale jej przerwał.

– Mamy trupa. Z rowerem.

ROZDZIAŁ 17

2019, Nowy Targ

„Jakbym tu mieszkał, też bym się chciał stąd wyrwać”, pomyślał. Szkaradne miasto. Niby turystyczne, a jak dla masochistów. Za decyzją tej dziewczyny na pewno jednak nie stała estetyka. Za cienka w uszach była, żeby się samodzielnie ustawić, zresztą własne rewiry to kiepskie miejsce na takie biznesy. Na tym wygrywał. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – to przysłowie akurat tu się nie sprawdzało. Zawsze wolały pracować tam, gdzie będą obce.

Spojrzał na zegarek. Do umówionej godziny zostało jeszcze kilka minut. Lepiej by było, żeby się nie spóźniła, bo pogoda chujowa. Złota polska jesień – tylko jesień się z tego zestawu zgadzała.

Zaczynał żałować, że dał się na to namówić. Niby mu pasowało, bo był w trasie, zresztą po drodze mógłby ją rozpracować, ale potem się zaczęły jakieś schody, kolejne głupie ustalenia. Że nie tu, tylko tam, nie pod domem, bo ktoś zobaczy, że... Najpierw się wkurwił, ale potem uznał, że to w sumie lepiej. „Im bardziej cipcia, tym lepiej dla biznesu”, zaśmiał się z własnego żartu.

– Dzień dobry. – Usłyszał.

Odwrócił się. Tak, to musiała być ona. Ładna, młoda. I rzeczywiście, wyglądała jak ofiara losu.

Pod starą, drewnianą bramą działki, na której było osuwisko, zebrała się grupka gapiów.

– Tyle lat, aż w końcu woda wzięła. – Pięćdziesięciolatka w legginsach i krótkiej pikowanej kurtce westchnęła.

– Żal im nie będzie, prawie ich tu nie było – odpowiedziała jej trochę młodsza, ze starannym, natapirowanym kokiem. – Jakoś teraz łyso, nie? – dodała, patrząc na zbocze, które wyglądało, jakby przejechała po nim koparka – na dole, w potoku, leżały drzewa, na nich warstwa ziemi i skał, a na tym wszystkim opierała się boczna ściana drewnianego budynku. Frontowa jednym bokiem przylegała do niej, a drugim – uparcie tkwiła na brzegu osuwiska.

„Wygląda jak domek z kart”, pomyślała Wiera.

Wróciła do auta, które zaparkowała na wąskim poboczu, i wyciągnęła z bagażnika zabłocone trapersy.

Znała tę trasę, to tutaj się zabłąkała, gdy zadzwoniła do niej Wanda Rytel. I nawet pamiętała ten dom nad strumykiem. Do głowy by jej nie przyszło, że kilkadziesiąt godzin później wróci w to miejsce, i to po takim zgłoszeniu.

Przez chwilę myślała, że Gazda sobie z nią pogrywa, takie dziwne zabawy erotyczne. Potem, że sobie żartuje.

Nie żartował.

Minęła gęstniejący tłumek, w tym te dwie kobiety, wyciągnęła legitymację i przeszła obok młodych policjantów rozwijających taśmę.

Tu, na płaskim podwórku, ziemia była twarda. Gospodarstwo, faktycznie wyglądające na opustoszałe, znajdowało się jednak wyżej, na lekkim wzniesieniu. Po lewej stronie stał drewniany dom, po prawej chyba budynek gospodarczy – tylko na taką identyfikację pozwalał jego obecny kształt.

– Hej! – Antoni Gazda podszedł do niej. Jakby się zawahał, co zrobić, ale ostatecznie wyciągnął do niej rękę.

– Hej – odpowiedziała. Nie oczekiwała, że rzuci się jej na szyję, ale że jakoś – jakkolwiek – nawiąże do piątkowej nocy – tak.

– Chodź.

Podeszli wyżej, do osuwiska. Dopiero teraz się zorientowała, że deski leżące z lewej strony to była dawna ściana tego budynku. Całość musiała się przesunąć w prawo, przechylić, a ta ściana została w miejscu. Potem, do niczego nieprzymocowana, niepodtrzymywana, runęła w przeciwnym kierunku.

– No to mamy jakby remis. – Odchrząknął i spojrział w dół.

O ile te trzy zewnętrzne ściany i przekoszony dach jakoś się jeszcze trzymały, o tyle to, co było w środku budynku, się skotłowało. Deski, ziemia, jakieś przedmioty,

które musiały być tu przechowywane. Na środku dawnej podłogi zrobiła się spora wyrwa. To nad nią nachylało się dwóch facetów w kombinezonach. Gdy zobaczyli Wierę, jeden z nich się odsunął i odsłonił widok. Najpierw zobaczyła kierownicę od roweru. *Déjà vu*. No, prawie, bo tym razem kierownica była postawiona na sztorc, a w Jeziorowskich leżała. Obok, pośrodku wyrwy, spod ziemi wystawały nogi w spodniach, z czarnymi męskimi butami w szpic. Aż ją przeszedł dreszcz. Nie znosiła butów w szpic.

– Jezu – wyrwało się jej. Ten facet, ten rower, to miejsce – o co w tym wszystkim chodziło?

– No. Wy macie trupa z rowerem, my mamy trupa z rowerem. Niechby się jeszcze okazało, że to jakiś Mazur. – Gazda zaśmiał się nerwowo.

„Tego to by nawet literatura nie uniosła”, Wiera pomyślała o Przyzwan. Sytuacja była przedziwna – trup w sieni pod deskami, przywalony rowerem. To chyba wszystko zmieniało w sprawie Chyca. „Kwestia żydowska”, wojenna przeszłość Świątkowskiego, jakieś kamienice i ich niejasne pochodzenie, cała ta Buczek i Kurek – nagle te wątki przestały mieć znaczenie.

Nie spodziewała się takiej historii, no bo kto by się spodziewał. Gdzieś tam na początku, w Jeziorowskich, przeleciało jej przez głowę, że ten rower może mieć głębsze znaczenie, ale to było tak teoretyczne i nieprawdopodobne, że zostawiła ten trop i wybrała inny. Od czapy, jak się okazało. Dwa dni temu zaczynała wierzyć, że jednak ma rację, że po tej rwanej żydowskiej nitce dojdzie do kłębka i choć dowodów nie da się pewnie zebrać, to intuicja jej nie zawiodła. A teraz... Miała w głowie mętlik. Rower. „Ale sobie ktoś wybrał, kurwa”, zachnęła się w myślach.

– Zrobiliśmy wstępne rozpoznanie – powiedział Gazda.

„Znak rozpoznający”, przypomniała się jej ta Buczek, czy tam Kier. Dziewczyna z ciuchlandu miała lepszego nosa niż sierżant Jezierska.

– Na policję zadzwonili sąsiedzi, ci, co mieszkają wyżej. – Spojrzał nad strumień. – Mieli dzwonić po strażaków, żeby to jakoś zebrać do kupy i zabezpieczyć, ale gospodarz poszedł wcześniej przyjrzeć się z bliska i zobaczył właśnie to. – Teraz przeniósł wzrok na dziurę w ziemi. – No i zadzwonił do nas.

– Tu chyba nikt nie mieszka? – stwierdziła raczej, niż zapytała Wiera. Potwierdzało się to, o czym rozmawiały kobiety przy drodze – gospodarstwo wyglądało na porzucone.

– Nie mieszka. Od dawna, z dziesięć lat. Byli starzy gospodarze, najpierw umarła

ona, potem on, a córka to już od dawna jest w Krakowie i nie zamierza wracać. Czasem, kilka razy do roku, ta córka tu przyjeżdża, trawę skosić i okiem rzucić.

– Coś więcej o nich wiadomo? O tych starych gospodarzach i o tej córce?

Gazda wzruszył ramionami.

– To, co ci powiedziałem, wiem od tego sąsiada, który zgłosił sprawę. Kiedy tu stałem i czekałem na ekipę, podszedł i zagadał. Potem zadzwoniłem do chłopaków. Sprawdzili w bazie – nigdy za nic nienotowani. Żona tego sąsiada, ta z tym kokiem – spojrział w kierunku tłumku gapiów; mówił o jednej z dwóch kobiet, których rozmowę Wiera słyszała – też miała potrzebę podzielenia się wiedzą. Powiedziała, że to byli spokojni, zwyczajni ludzie, żyli jak wszyscy.

„Chyc też był jak wszyscy”, pomyślała Wiera.

– Z gospodarki żyli, córka pojechała się uczyć do Krakowa i już nie wróciła na ojcowiznę. Do rodziców przyjeżdżała, najpierw częściej, potem rzadziej, ale regularnie. Ponoć ojca chciała zabrać do Krakowa po śmierci matki, ale się zaparł, że tu się urodził i tu umrze.

– Ten w dole chyba nie chciał tutaj umrzeć. – Patrzyła, jak technicy delikatnie odsuwają ziemię. – A to się dalej nie osunie? – Przeniosła wzrok w dół potoku.

– Nie, raczej nie. Woda zeszła z góry, teraz się wyciszyła. Co miała podmyć, to podmyła. Ryzyko istnieje, ale chłopcy są ostrożni. O, prokurator przyjechał. – Gazda kiwnął głową w kierunku drogi.

Pod górę podchodził łysiejący czterdziestolatek z lekką nadwagą. Miał na sobie spodnie w kant, płaszcz do kolan i jasne zamszowe buty.

– Cześć – rzucił lekko zasapany do Gazdy i wyciągnął do niego rękę.

– Cześć. – Gazda odwzajemnił gest. – Marian Styr z naszej prokuratury – przedstawił go Wierze – a to jest sierżant Wiera Jeziarska z komendy w Giżycku.

– Dzień dobry. – Teraz Styr sapnął w jej stronę. Wciąż jeszcze był lekko różowy. – A co to za połączone siły? Wspólna sprawa?...

– To się okaże... Sprawę Grześka Chyca znasz.

Styr kiwnął głową.

– Wiesz też, że się odnalazł.

Drugie kiwnięcie.

– No to właśnie u pani sierżant się odnalazł. Z rowerem, co także wiesz. A tutaj, wyobraź sobie, również mamy faceta, jeszcze bez szczegółów, i rower.

– Ciekawe... Związek może być, ale tak w ciemno jechać, i to taki kawał drogi? W dodatku tak szybko? – Spojrzał na Wierę.

– Sierżant Jezierska była tu w piątek, właśnie w związku z prowadzonym w sprawie Chyca śledztwem, a potem pojechała na weekend do Zakopanego. Złapałem ją, gdy wracała do domu – wyjaśnił gładko Gazda.

– Aha. – Styr kiwnął głową, jakby nieprzekonany.

Wiera miała wrażenie, że Gazda się tłumaczy, a Styr jest wobec tych tłumaczeń sceptyczny.

– Mamy go. – Dobiegło z wnętrza chałupy. Podeszli bliżej. Marian Styr, ostrożnie stawiając stopy w grząskiej ziemi, zbliżył się do krawędzi dołu. Wiera i Gazda stanęli za nim. W dole, na wznak, leżał mężczyzna. W materiałowych spodniach i marynarce. I w tych okropnych butach w szpic.

– Całkiem świeży – stwierdził Styr.

– Mniej więcej półrocznik. – Pokiwał głową jeden z techników. – Tak na oko. Koszula pewnie z bawełny, bo już w zaawansowanym rozkładzie, reszta się zachowała, znaczy sztuczniaki. Tyle widać po bardzo delikatnym usunięciu ziemi. Obfotografowaliśmy gościa, obejrzyjcie go sobie w naturalnym środowisku i go wyciągniemy.

– Jak umarł? – zapytał Gazda.

– Sekcja – odparł krótko technik. – Ale, jak widzisz, jest w jednym kawałku. Bez wyraźnych obrażeń. Może uduszenie.

– A rower? – zapytała Wiera. – Jak był zakopany? Pod ciałem czy nad ciałem?

Technik spojrzał na nią.

– Wydaje się, że nad. Z tych pierwszych oględzin wygląda to tak, że facet się przesunął razem z otaczającą ciało ziemią, więc nic go nie nadważyło. Rower musiał być wyżej, chyba go trochę skotłowało, ale to na razie hipoteza.

– A jaki to rower? – zapytała Wiera.

Technik znowu na nią spojrzał.

– Zwyczajny. Kierownica, dwa koła, dwa pedały. Reszta potem. Zwykle to ciało wzbudza większe zainteresowanie, więc od niego zaczęliśmy – dodał, chyba trochę złośliwie. – Zresztą... – Zawahał się. – Temu rowerowi to trzeba się będzie dokładniej przyjrzeć, bo jest w niezłym stanie.

Marian Styr okrążył dziurę, z każdym krokiem zapadając się po cholewki swoich

jasnych zamszowych butów.

Kucnął i pochylił się nad ciałem.

– A co to jest? – Wyciągnął z kieszeni rękawiczkę, wsunął ją na dłoń i delikatnie odsunął ziemię.

Technik, ten drugi, podszedł do niego.

– Jakaś biżuteria. – Też kucnął. – Zjechała z palca naszego denata, chyba tego najmniejszego. Zjechał znaczy, bo to sygnet. Zrobimy zdjęcie.

– Powód rabunkowy zaczniemy chyba powoli wykluczać. – Styr się podniósł. – Można go przenieść.

Kwadrans później mogli się lepiej przyjrzeć zmarłemu mężczyźnie.

Facet był wysoki, miał pewnie około metra osiemdziesięciu. Szatyn. Masywny. Ubrany wyjściowo.

– Co on tu robił? – zapytał Gazda, który chyba czytał Wierze w myślach.

– Rozpoznajesz, czy to ktoś stąd? – odpowiedziała pytaniem.

Pokręcił głową.

– Raczej obcy.

„Obcy”, pomyślała. Jak w Jeziorowskich.

– Zobaczmy, czy ma przy sobie coś, co by go zidentyfikowało – powiedział Styr.

Jeden z techników zaczął delikatnie obmacywać ciało.

– Kieszenie spodni puste, z tyłu też. W marynarce to samo. Górna – nic. Wewnątrz... – powoli odsunął materiał i dotknął wewnętrznej kieszeni na wysokości piersi – ...też nic. – Pokręcił głową. – Może jeszcze w ziemi, trzeba będzie drobiazgowo przeszukać osuwisko.

– Zaraz, a co to było? – Wiera się ożywiła.

– Co? – zdziwił się Gazda.

– Tam, na dole, w rogu marynarki, coś się chyba przyczepiło.

Technik raz jeszcze podniósł materiał. Rzeczywiście, na podszewce coś było, jakiś nieduży prostokątny pasek.

– To chyba metka... Nie, jakiś tekst.

– Tekst? – zdziwiła się Wiera.

– Dziwne... – Technik delikatnie przejechał palcem po tym pasku i lekko się nad nim nachylił. – Martyniuk – przeczytał.

– Martyniuk? – powtórzył po nim Gazda. – Ewidentnie obcy. U nas to się innej

muzyki słucha.

– Słyszałam na Krupówkach – mruknęła Wiera. – To bez sensu, musi chodzić o coś innego. – Kucnęła przy techniku. Pasek materiału wyglądał jak metka, ale był wszyty w dziwnym miejscu.

– Martyniuk, rzeczywiście – przeczytała. – Ale tam dalej jest jeszcze inny tekst. I z przodu, przed nazwiskiem też coś jest. – Nachyliła się jeszcze bardziej. – Z... Zbig... Chyba Zbigniew Martyniuk.

– Koleś wszywał sobie metki ze swoim nazwiskiem? Jak dziecko w przedszkolu? – zdumiał się Gazda. – I może jeszcze adres na dokładkę podał, jakby mu się marynarka zgubiła?

– I Syn. Przez duże „s” – tak tam jest napisane – odezwał się technik. – „Zakład krawiecki, Węgorzewo”. I na końcu coś jeszcze, chyba dwie litery.

– Może inicjał? – zapytał Antoni Gazda.

– Elegancik – stwierdził prokurator.

– Z Mazur – powiedziała Wiera.

Gazda i technik spojrzeli w jej stronę.

– Pod deskami na Podhalu leży facet z Mazur – powtórzyła.

ROZDZIAŁ 18

2014, Jeziorowskie

Nie wiedział, co czuć. Najpierw był zdziwiony, potem zaniepokojony, jeszcze później zły, by przejść do obaw: a jeśli się jakoś zdradził? Coś nieopatrznie powiedział, czegoś nie dopilnował, coś gdzieś zostawił? Jeśli się wydało? Jeżeli on go rozgryzł, i dlatego zwiął, a teraz nie odbiera od niego telefonów? Początkowo wydawało mu się to mało prawdopodobne, był przecież taki ostrożny, zawsze był taki ostrożny!

Nie wiedział, co teraz robić. Szukać? Ale jak? A może to on się powinien bać o swoje bezpieczeństwo? A może naprawdę coś się wydarzyło, jakiś wypadek, nieszczęście, coś przypadkowego. W końcu to podobno przypadki rządzą życiem.

Chodził wte i wewte, a deski na podłodze skrzypiały. „Muszą się uleżeć w nowym miejscu”, pomyślał.

– Nie życzyłaś sobie przypadkiem jakiegoś interesującego śledztwa? – zapytał Janusz Kosoń. Dobrze wyglądał, chyba najlepiej od momentu, kiedy Wiera go poznała. Lekko opalony, zrelaksowany. Widać weekend spędzony z Rubertem na jego działce się udał.

– Życzyłam sobie – odpowiedziała. – Ale nie takiego, w którym wciąż zaczynam od zera i wciąż nic nie mam.

– Nie tak od zera, coś miałaś. Ale chyba lepiej, że poprzedni wątek upadł, co? – Teraz przyglądała się jej Maria Przyzwan.

– Ja nie wiem, czy on upadł... – Jezierska chrząknęła. – Samuela Aronowicza pochowali siedemdziesiąt lat temu. Bez roweru. Sprawa zamknięta i zapomniana...

– ...nieosądzona i nierozstrzygnięta. – Prokuratorka wciąż na nią patrzyła.

Janusz Kosoń otwierał pudełko zapalek z jednej strony i zamykał je – z drugiej. Milczał.

– Pani prokurator myśli, że... – Nie dokończyła, bo nie wiedziała, jak rozumieć te słowa – jako stwierdzenie czy jako zachętę. W końcu prokuratorka sama jej podsunęła ten wątek, w każdym razie nie odciągała Wiery od tego tropu.

– Zostaw. – Przyzwan westchnęła.

Kosoń podniósł głowę.

– Nie ty, ty sobie przytkaj tymi zapalkami. Do pani sierżant mówię. Zostaw, Wiera, tamte dociekania. W nich może być dużo prawdy, ale historycznej. Takiej, za którą nikt cię medalami nie obwiesi. Teraz czas na – nomen omen – podniosła palec – przyziemne przestępstwa. A co ci powiedział stary?

Jezierska wzruszyła ramionami.

– Że w sumie dobrze się stało, bo nie tylko my się będziemy pieprzyć z trupem spod desek.

– Zakładał seksualny podtekst obu spraw? – Przyzwan się uśmiechnęła.

– Nie, on... A, no tak. – Wiera dopiero po chwili zrozumiała żart. – Powiedział jeszcze, że Sidorczuk miał nosa, że to wcale nie jest prosta sprawa. – Skrzywiła się.

– Sidorczuka też zostaw – poradziła jej prokuratorka. – W ogóle wszystko, co nie jest samą sprawą, zostaw.

Wiera poczuła ciepłą kulę w brzuchu. Antek Gazda, początkowo skupiony wyłącznie na denacie, przed samym odjazdem przeszedł z trybu zawodowego na prywatny. I to w takim tempie, że nie zdążyli dojechać do niego do domu, tylko gdzieś na bocznej, leśnej drodze...

– A ten wspólny mianownik to w końcu jest czy go nie ma?

– Rower? – Kolejne pytanie prokuratorki przywróciło ją do rzeczywistości. – Nie wiadomo. Na początku, zaraz po zgłoszeniu, wyglądało to tak, jakby ten facet był zakopany z rowerem – facet niżej, ewidentnie w ziemi leżał, zresztą w miejscu, gdzie stała ta chałupa, znaczy szopa, na wysokości sieni, był wykopany dół. Głęboki, głębszy niż u nas. Rower też przysypany, ale stopień skorodowania może świadczyć o tym, że rdzewiał z dostępem tlenu, tak powiedział ten technik, tyle że to była luźna uwaga. Wiążący wynik, kiedy będzie ekspertyza. Jest jednak ciekawy detal – góral zginął na Mazurach, Mazur – w górach. Może to tylko przypadek...

– Przypadek to człowiek i jego plany. – Przyzwan westchnęła sentencjonalnie.

– To pewne, że on stąd? – Kosoń schował zapałki do szuflady i wyciągnął z niej kanapkę zawiniętą w folię aluminiową.

– Prawdopodobnie. – Wiera patrzyła, jak komisarz kroi dwie duże kromki chleba małym nożykiem. Chyba naprawdę już był jedną nogą na emeryturze. – Nie jest oczywiście zidentyfikowany oficjalnie, ale mamy potwierdzenie z Węgorzewa, od tego krawca. Rozpoznał inicjał ZJ jako Zenon Jaskóła. On, znaczy krawiec, robi takie wszywki swoim klientom.

– Każdego trupa można ubrać w ręcznie szyty garnitur... Kiedy ten Jaskóła zaginął? – zapytała Przyzwan.

– To też jest ciekawe. – Wiera poczuła, że burczy jej w brzuchu. A może tak działa na nią zapach kanapki Kosonia – kiełbasa, dobrze podsuszona. Co się z nią ostatnio działo? Ta ochota na mięso wydawała się jej dużym nietaktem wobec podjętej ponad rok temu decyzji o przejściu na wegetarianizm. Z potrzeby ducha, jak się jej wydawało. Tymczasem ciało zlewało ducha. – Bo nikt oficjalnie nie zgłosił jego zaginięcia.

– No to może jednak nie on?... – Przyzwan sięgnęła po kawałek kanapki. – Niezła. Zwłaszcza kiełbasa.

– Rubert robi.

– Poluje?

Kosoń pokręcił głową.

– Nie, ale kupuje od polujących.

– Czyli cnoty nie traci, a przyjemność ma. Sorry, Wiera, to co z tym gościem? Ciało leżało pod tamtymi deskami ładnych parę miesięcy i nikt się nie zorientował, że mu chłop, syna, brata, ojca, szefa czy tam kogo zabrakło?

– Na to wygląda. – Wiera wzruszyła ramionami. W tej sprawie, właściwie w tych dwóch sprawach, wszystko było dziwne. – O Jaskóle wiadomo, że urodził się w Radziejach, to jest niedaleko Węgorzewa, gdzie jest oficjalnie zameldowany. Ma czterdzieści dwa lata. I tyle. – Wiera patrzyła w swój notes. – Nie, przepraszam, jeszcze jedno – ma zaległości podatkowe. Prowadził biznes wpisany jako pośrednictwo pracy, ale kulawo mu szło, bo nieduże pieniądze z tego miał. Nie płacił od kilkunastu miesięcy, więc odsetki lecą. Były słane wezwania, nie odbierał.

– Bo zaległ – skwitowała Przyzwan. – A gdzie ten biznes ulokowany? – zapytała.

– W Węgorzewie właśnie.

– No to trzeba się rozejrzeć na miejscu... Swoją drogą to naprawdę fascynujące, że nikt nie zgłosił zaginięcia. „Żyj tak, żeby jak najwięcej osób płakało po twojej śmierci”. Ci dwaj litościwie odwrócili zasady. – Pokiwała głową.

– Płkanie po śmierci kogoś bliskiego nie uszlachetnia. – Kosoń nie podniósł głowy znad kanapki.

Przyzwan wstała i podeszła do niego. Poklepała go po plecach. Wiera zauważyła, że prokuratorka znowu ma pomalowane paznokcie u stóp. Wcześniej na czerwono, teraz – na mocny różowy kolor.

– Zachowam odpowiedni umiar nad twoją trumną. – Na bosaka wróciła na swoje krzesło. – No to jaki teraz plan?

– Węgorzewo. Gazda zbiera informacje o Jaskóle z różnych źródeł, ja rozpytam się na miejscu.

– Wiesz, co jeszcze mnie zastanawia? – Kosoń w końcu odsunął od siebie folię aluminiową. Zawinał niezjedzone, pokrojone kwadraciki i włożył do szuflady. – Że w obu przypadkach przyczyna śmierci nie jest od razu ewidentna, inaczej mówiąc, że oba morderstwa nie były brutalne.

– Kulturalni mordercy. Albo kulturalny morderca ci się trafił. – Przyzwan wsunęła stopy w szpilki.

*

– Biznesy na granicy prawa, a raczej na granicy luk w prawie. – Dzielnicowy Maciej Suchar był jak odlany z wyobrażeń o dzielnicowych i w kontrze do swojego nazwiska – pięćdziesięciolatek z lekko zaokrąglonym brzuchem, znający życie i swój rewir.

– Pośrednictwo pracy – powiedziała Wiera.

– No na pewno. – Suchar się zaśmiał. – Bardzo zabawne. W sumie to by pasowało do niego, bo on miał poczucie humoru. A ma pani to zdjęcie?...

Wiera wyciągnęła białą tekturową teczkę. Plasnęła gumka; wyjęła wydruk fotografii, którą przysłał jej Antek.

– Takie.

Maciej Suchar się skrzywił.

– Trudno powiedzieć.

– No – przytaknęła. Zdjęcie było nawet dobrej jakości, czego nie można było

powiedzieć o twarzy Jaskóły.

– Tak z reszty, znaczy z tej marynarki i postury, to by mógł być on. Chociaż od kilku lat jego tu prawie nie było, sporadycznie go widywano. Wyjechał. Podobno do Rzeszowa.

„Do Rzeszowa”. Z tym miastem kojarzyło się jej tylko jedno – Kamila Kurek. Kamila Kurek, która do tej pory w jakiś – nikły, bo nikły, ale jednak – sposób była powiązana z Grzegorzem Chycem i Adamem Świątkowskim.

– A co on robił w tym Rzeszowie?

– No właśnie. – Maciej Suchar wygodniej się oparł na krześle. – Pośrednictwo pracy... wie pani sierżant jakie? Damsko-męskie.

– Alfons?

– Podobno. On zawsze wyglądał na takiego. I w twarzy miał coś takiego, taką śliskość, i w nastawieniu do życia też. Węgorzewo dla niego za małe, porządna, solidna praca również nie dla niego. On chciał żyć jak panisko, jak ci kolesie z tych filmów sensacyjnych, co mają broń, dobre auta, garnitury i kobiety. Auto miał, wypasioną beemkę. Czerwoną, taki banał. Z tego lipnego pośrednictwa na pewno nie. Kobiety także były, pewnie dużo, skoro w takim biznesie robił. No i ten garnitur od Martyniuka, zresztą to szanowana firma, w Rynku mają zakład od przedwojnia... Wcześniej to Martyniukowie szyli profesorom, doktorom, nauczycielom, a teraz... Na psy to wszystko schodzi.

– Rodzinę miał?

– Tego akurat nie. Znaczą jakąś to musiał mieć, każdy ma jakąś, ale nie taką oczywistą. Żony nie miał, dzieci nie miał, rodziców nie miał. Po nich zresztą to mieszkanie.

– A rodzeństwo? Jakoś go musimy zidentyfikować.

– Miał, brata, starszego. Chodziłem z nim do klasy. Kiedy był nastolatkiem, zginął w wypadku, na motorynce. Rodzice mu kupili, bo oni byli w niego wpatrzeni. On im zawsze bardziej odpowiadał, bo z nim nie było problemów. Z tym młodszym od małego zawsze coś. Wtedy go dobrze nie znałem, bo myśmy kończyli szkołę, a on zaczynał, ale Jurek, ten jego brat, czasem coś opowiadał. No i parę razy byliśmy u niego w domu, tam, gdzie teraz Zenek zameldowany, i zawsze jakaś afera z tym młodszym, a przecież on był wtedy taki drobiazg, odrostek. Koniec końców jedynie on się z tej rodziny ostał, więc teraz żeby identyfikację robić, to na cmentarz chyba tylko.

*

– Ostatni raz logował się w Nowym Targu dwudziestego trzeciego września zeszłego roku. – W telefonie zasłuchał głosu Antoniego Gazdy.

Wiera wracała na komendę w Giżycku. Z komisarzem rozmawiała, jadąc. Pogoda była paskudna – front, który przewalił się przez południową Polskę, wydobywając na świat ciało Zenona Jaskóły, teraz zawędrował na północ. Lało tak, że wycieraczki nie zdążyły zbierać wody.

– Czyli nie żyje pół roku, technicy mieli rację. A z kim się łączył?

– Tego dnia? Z nikim.

– Ciekawe.

– Ciekawe. Przyjechał do Nowego Targu pewnie po to, żeby się z kimś spotkać, ludzie wtedy się domawiają z drogi, wysyłają SMS-y, że dojeżdżają lub już są, a tu – nic. Wcześniej tego dnia był w Krakowie, kilka ostatnich dni zresztą. I tam wykonywał jakieś połączenia, sprawdzamy je. Trzy numery nie odpowiadają, znamy już nazwiska. Jeden natomiast, też się z nim łączył z Krakowa, to numer z Węgorzewa. Dentystki. Rozmawiałem z nią, potwierdziła, znała Jaskółę, był jej pacjentem. Dzwonił, żeby się umówić, a potem nie przyjechał.

– Poczekaj chwilę.

Na wysokości cmentarza Żołnierzy Radzieckich skręciła w lewo. Zaparkowała przy schodach, które prowadziły do pomnika. W dzieciństwie myślała, że to jakiś korkociąg albo układ taneczny ze wstęgą.

– Masz nazwisko i telefon tej kobiety? – Wyciągnęła notes i ołówek.

– Mam. Krystyna Olesiejuk. Pięćset trzy, sto dziewięć, sto.

– Dopiero co wyjechałam z miasta. Zawrócę i z nią pogadam, może powie coś więcej. Jeśli on do niej jeździł aż z Rzeszowa, to albo była superdentystką, albo łączyły ich też inne sprawy. I może na podstawie karty leczenia da się go zidentyfikować, bo najbliższa rodzina nie żyje.

– Z tego, co już wiadomo, wynika, że koleś był zaangażowany w jakieś brudne interesy. Może zrobił się niewygodny i ktoś go sprzątnął? Tylko dlaczego w Nowym Targu? Na razie nie dopasowaliśmy nikogo, z kim mógłby być tutaj powiązany.

– A ten rower? Coś więcej wiesz? Czy my łączymy te dwie sprawy?

– Bez dokładnych badań nie wiadomo. Bo on jednak jest w złym stanie, ale jeśli długo stał w tej nieogrzewanej szopie, to również mógł się tak zepsuć. Pochówek

w sieni, pod deskami, prawdopodobnie uduszenie obu ofiar...

– Tu też?

– Prawdopodobnie, pełne wyniki dopiero będą. Więc brak przemocy, taki sam pochówek, może rower, ale chuj wie, o co z tymi rowerami chodzi. Daje się połączyć i na razie rozpatrujemy to wspólnie. W takim razie pytanie: co łączyło Chyca z Jaskółą? I co łączyło ich obydwu z mordercą? Bo przecież jakiś związek musi być.

– Na razie mam jeden ostrożny trop. Jest taka dziewczyna, Kamila Kurek, która się przewinęła w rozpytywaniu. Mieszka, to znaczy mieszkała, w Pieczonkach, niedaleko Jeziorowskich, ale wyjechała. Do Rzeszowa.

– To jeszcze nic nie musi znaczyć.

– Nie musi, ale punktów zaczepu jest więcej. Byłam u jej matki – bieda i marazm. Chciała się wyrwać – Wiera dziwnie się czuła w tej narracji – i się wyrwała, do Rzeszowa właśnie. Pracuje podobno jako kosmetyczka, a tu się brała za różne prace dorywcze. Między innymi u Świątkowskiego.

– Ale on się tam wprowadził dopiero po śmierci Chyca – zauważył Gazda.

– Tak, ale wcześniej tam bywał, doglądał, nocował. Sprzątał podczas końcowych prac, znaczy nie on, a ta dziewczyna właśnie. Co więcej, w lokalnym barze właściciel widział ją przy stoliku z Chycem, jak rozmawiali.

– No... – Gazda się zawahał. – A jaki byłby motyw? Bo gdyby to ona, to seryjność raczej odpada... Kobiety bardzo rzadko są seryjnymi zabójczyniami.

– Najczęściej zabijają w odpowiedzi na przemoc, ale to tutaj nie pasuje, chyba. Jaskółę mogła znać długo, ale Chyca poznała najprawdopodobniej tu, w Jeziorowskich. Odwiedzę jej matkę jeszcze raz i z nią pogadam. No i tę Kamilę też trzeba będzie przesłuchać.

– A kiedy odwiedzisz Nowy Targ? – Głos Antoniego Gazdy zaksamitniał.

Znowu to ciepło w podbrzuszu.

– Chyba nieprędko. Teraz sprawa się toczy równolegle, a ja mam trochę roboty. I obowiązków. – Pomyślała i o śledztwie, i o Zielonej Dolinie. Do świąt zostały niecałe dwa tygodnie. Matkę powinna odwiedzić, żeby utrzymać statystyki dwóch widzeń w miesiącu. W ostatni weekend to zawaliła, a każde odstępstwo groziło telefonem od siostry. Zresztą sama sobie ustaliła taki licznik przyzwoitego pamiętania o tej, która ją „wydała na świat”. Słowa Anki, która wszystko, nawet najzwyczajniejsze i najbardziej biologiczne sprawy, musiała owijać w metafory. –

A może ty byś chciał odwiedzić Mazury? – Próbowała zabrzmieć erotycznie, ale bez przesady i bez napinki.

– Niestety, obowiązki mnie tu trzymają. – Znowu ten gładki ton, jak podczas rozmowy z prokuratorem. – Ale będziemy w kontakcie – dodał miękko. – A te pomysły, z którymi przyjechałaś do nas, no wiesz, te żydowskie i wojenne...

– Powojenne. – Nie spodobał się jej ani ton, ani wyraz „pomysły”.

– Powojenne – zgodził się Gazda. – No to już chyba nieaktualne, nie?

Wiera patrzyła na napis przyczepiony do kamiennego murku otaczającego wzgórze, na którym znajdował się cmentarz. „Cmentarz żołnierzy radzieckich poległych w roku 1945 w walce o wyzwolenie Węgorzewa”. Nad nim i pod nim, niesymetrycznie, były przyczepione cztery gwiazdy. Pięcioramienne, jakie pamiętała z dawnych symboli radzieckich i komunistycznych. Te tutaj były jakieś nierówne, ramiona miały różnej długości. Może to zamysł artystyczny, choć chyba nie w tym przypadku. Przyszła jej do głowy inna gwiazda – Dawida. Heksagram, sześćcioramienna gwiazda utworzona z dwóch trójkątów równoramiennych. Kojarzył się jej przede wszystkim z opaskami, jakie nosili Żydzi podczas wojny, z macewami i z flagą Izraela. Potem się dowiedziała, że to stary znak magiczny, używany od bardzo dawna. Równowaga sił i przeciwieństw: męskiego i żeńskiego, ognia i wody. Magia i porządek. Nie miała pojęcia, kiedy trafił do judaizmu.

– Jadę do tej dentystki, odezwę się. Cześć.

Odłożyła telefon, wyjęła notes. „Archiwum”, napisała ołówkiem. I podkreśliła to dwa razy.

ROZDZIAŁ 19

2019, Kruklanki

– „Radź się sumnienia i sądz” – to były słowa kanclerza.

Nauczycielka podniosła głowę znad książki.

– A co odpowiedziała Balladyna? – Teraz wpatrywała się w grupę młodzieży, która już się rozsiała przy stolikach i była bardziej zainteresowana menu niż testem z lektury.

– Że jest niewinna – odezwał się w końcu jeden z chłopców, chudzielec w koszuli w kratę.

– A czytałeś lekturę? – Westchnęła znacząco.

– Bryka czytał! – Ktoś się zaśmiał.

– To i tak lepiej niż ty – odgryzł się chudzielec.

– Winna śmierci! – Z emfazą przeczytała nauczycielka. – I jakbyście to spuentowali?

– Ona chciała być sprytna, bo przecież powiedziała tak nie o sobie, tylko o zabójcach. Nie sądziła, że się wyda, że to ona – stwierdziła dziewczyna w różowej bluzce.

– Zgadza się, – Nauczycielka pokiwała głową. – Ale się wydało. A kto ją zabił?

Uczniowie milczeli.

Nauczycielka westchnęła. Im dłużej pracowała w szkole, tym była smutniejsza. Młodzież niedługo będzie potrafiła zrozumieć tylko krótkie teksty z Twittera.

– Sprawiedliwość. Wygrało przekonanie, że zbrodnia musi zostać ukarana – powiedziała.

– Już mogę przyjąć zamówienie? – Młoda, ładna blondynka z aparatem na zębach

podeszła do niej z kartką i długopisem. – A na deser polecam specjalność zakładu, ciasto z malinami.

– O, to brzmi dobrze. A co do dania głównego, to zaraz zbiorę od nich zamówienia.

– A ja bym poprosiła ten deser – odezwała się kobieta siedząca przy stoliku obok. Kelnerka kiwnęła głową.

„W sumie głupia nazwa dla knajpy”, pomyślała. Ona wybrała lepszą.

– Czułam, że muzyki klasycznej byśmy razem nie słuchali, ale to pacjent, nie kolega. – Krystyna Olesiejuk była bardzo zadbaną pięćdziesięciolatką. Starannie ufarbowane na blond włosy, makijaż, chyba permanentny, pomalowane paznokcie, obcisła spódnica i obcisły sweterek. Wyglądała naprawdę super, jak na swój wiek, ale gdyby Wiera miała postawić jakieś pieniądze, to połączyłaby Jaskółę z Kamilą Kurek lub inną młódką. Kobiety z takim peselem jak dentystka stawiały się dla facetów niewidzialne i wszystkie te zabiegi oraz kolory niewiele zmieniały.

Siedziały w poczekalni prywatnego gabinetu stomatologicznego mieszczącego się na parterze zadbanego domu rodzinnego w centrum Węgorzewa.

– Przychodził od kilku lat, sprawdziłam nawet po telefonie od tego miłego policjanta z Nowego Targu – od dwa tysiące jedenastego.

– Długo.

– Długo. Do mnie klienci wracają. – Uśmiechnęła się dentystka.

„Zęby chyba też ma permanentne”, pomyślała Wiera.

– Ostatnio miał dłuższą przerwę – ciągnęła Olesiejuk. – To znaczy nie tę najostatniejszą, kiedy... kiedy już nie... kiedy zaginał, tylko trochę wcześniej. Wynotowałam sobie z karty – w dwa tysiące czternastym i piętnastym, półtora roku. Jakieś biznesy, gdzieś poza Węgorzewem.

– A dokładniej? Mówił coś?

– Nie. Zresztą nie wypytywałam. Jestem dyskretna. Czasem zagaduję pacjentów, tych, którzy się boją, ale to nie był ten przypadek. Mówił tyle, ile chciał. Więc była ta przerwa, a potem już regularnie odwiedzał mój gabinet. Zwykle było co robić, bo jak do mnie trafił, to zęby miał w nie najlepszym stanie, lata zaniedbań, ale wyszliśmy na prostą. Moja praca, kolegi chirurga, co przychodzi tu robić implanty, i protetyka od

mostów...

– Charakterystyczne miał zęby? Znaczący da się na podstawie karty go zidentyfikować?

– O, na pewno. Dużo miał robione, wszystko skrupulatnie wpisane. Oczywiście udostępnię, choć żał, że w takim celu...

„Może ona go lubiła nie tylko jako pacjenta?...”

– Jaskóła podobno się przeniósł na stałe do Rzeszowa.

Twarz dentystki pojaśniała pod warstwą bronzera.

– Moi pacjenci są bardzo zadowoleni z wizyt w moim gabinecie. Gdyby pani sierżant nie miała swojego ulubionego dentysty...

„Ulubiony dentysta. Oksymoron”. To pierwsze było z życia, drugie – z zeszytu z koniczyną.

– Cztery lata temu przyjechał ze złamanym zębem. Paskudnie pęknięty, ale udało się go odbudować. Półtorej godziny przy nim stałam, pacjenci musieli czekać, ale efekt był świetny. I potem, to był ostatni raz, kiedy był w tym gabinecie, zadzwonił, że ma coś pilnego, właśnie ten ząb, bo znowu mu się ukruszył. Specjalnie przyszedłam dla niego godzinę wcześniej, bo on akurat był na miejscu, w Węgorzewie. I tutaj mu się ten odprysk zrobił. Przez żeberka. Ogryzał, niechcący zacisnął zęby na kości i trach! Zdrowy ząb by tego nie wytrzymał. – Dentystka najwyraźniej chciała dać Wierze do zrozumienia, że z jej pracą wszystko było okej.

– Dobrze... – zaczęła Jezierska, ale widać niezbyt energicznie, bo Krystyna Olesiejuk postanowiła dokończyć tę kwestię.

– Pamiętam, bo nawet go pytałam, czy przynajmniej te żeberka były dobre i gdzie je jadł.

– Jasne... – Znów za mało energicznie.

– Odpowiedział, że w... zaraz, zaraz... w barze z taką nazwą literacką...

– W Węgorzewie? – Wiera nagle zbystrzała.

– Nie, gdzieś na trasie, nie pamiętam gdzie. Zachwalał, mówił, że nawet kobiecie smakowały.

„Kobiecie”.

– Może Balladyna?

– O, tak, to było to, pamiętałam, że literacka. – Dentystka znowu błysnęła zębami. – Balladyna. Wie pani, człowiekowi zostają w głowie same hasła, nazwy,

pojęcia ze szkoły, a szczegóły się gubią. Ale to może wcale nie dziwne, bo duża część z tych tekstów to wcale się nie nadaje dla dzieci. Na przykład ta Balladyna – to żadna romantyczna historia, tylko krwawa jatka, prawda?

*

Mariusz Dybek stał przy aucie. O ile Balladyna – z zewnątrz i w środku, nie opuściła poprzedniej epoki, o tyle jego samochód – wypucowany SUV – był z pewnością nowy.

Zaparkowała obok, a właściwie tak, że go zastawiła. Zamknęła drzwi, ale coś nieprzyjemnie chrupnęło. No tak, pas się znowu nie wciągnął i metalowa klamra zawisała na wysokości zamka. „Co w moim życiu poszło nie tak?...” Wiedziała co.

– Dzień dobry. – Spojrzał na nią, chyba trochę ironicznie. Wcześniej, gdy mu podtykała legitymację lub dzwoniła, wyglądała poważniej niż przy tym gruchocie. – Na obiad? Dziś leczo, również w wersji wegetariańskiej, polecam.

Tak, potraktował ją lekko z buta.

– Słyszałam, że macie dobre żeberka.

– Zmiana gustów? Czy tam ideologii, bo nie wiem, jak nazwać wegetarianizm.

– Dobrym smakiem.

Uśmiechnął się głupawo.

– Dobre żeberka w Balladynie chwalił Zenon Jaskóła. Zna go pan? – Przejechała palcem po ekranie telefonu i pokazała mu fotografię z dowodu Jaskóły.

Pokręcił głową.

– Nie kojarzę... Ja mam słabą pamięć do twarzy. Po wyglądzie to kobiety zapamiętuję – zresztą nie tylko twarze, he, he.

„Oblech”, ta ksywka ewidentnie pasowała do Dybka. Nie znosiła takich gości. Dwudziesty pierwszy wiek, a oni wciąż przy tym samym peronie z napisem „patriarchat”. Tyle że tu, u nich, innych peronów nie było. Tylko ten, mocny beton.

– To może po samochodzie pan zapamiętał, bo to, zdaje się, pański patent na kojarzenie ludzi. Czerwona beemka.

– Czerwona beemka?... – Teraz wyglądał poważnie. – Kurde, zaraz, zaraz, to ja chyba jednak widziałem... Nowe auto, nie żaden gruchot z Niemiec?

– Nowe.

– To chyba tak. Ale to było dawno, na pewno w zeszłym roku. A może jeszcze rok

wcześniej?...

– Na pewno?

– Na pewno to mało co na tym świecie, ale to było naprawdę ładne auto. Sportowe, męskie, cudzińko.

– Męskie... A on podobno był u pana na żeberkach. Nie sam – z kobietą.

– Jezu, pani się chyba uwzięła! Naprawdę wszystkie ślady prowadzą do Balladyny? Jak kto podejrzany, szukany, zabity czy zwyczajnie nieżywy, to od razu trzeba to z moim lokalem wiązać? Ja bym nie chciał, żeby poszła fama, że...

– Sam pan mówił, że dobre jedzenie, to ludzie lgną. – Uśmiechnęła się krzywo. – Żadnej famy nie ma. I póki będzie pan odpowiadał na pytania... – Zawiesiła głos. Facet był burakowaty i prostacki, ale chyba nie miał żadnego – czynnego – związku ze sprawą.

– No ale jak bum cyk cyk – nie kojarzę gościa, tylko samochód. Nie mógłbym potwierdzić, że on u mnie jadł, bo go nie pamiętam – ani w lokalu, ani na zewnątrz. Zresztą auto stało dalej, jak wtedy tamto, tego syna.

– Jakiego syna?

– No tego syna od faceta, co miał ten dom góralski nad jeziorem. Pytała pani o niego.

– Świątkowski.

– No.

– Ci, co mają lepsze auta, to chyba wolą parkować przy ulicy, bo tam jest kostka, a tu... – Spojrzała pod nogi.

– Naturalny drenaż po deszczu, ekologia, można powiedzieć... Tak, teraz jestem prawie pewien – było to auto, czerwona beemka. I to musiało być jakoś wiosną, bo ona była w sukience i jakiejś takiej kusej kurteczce.

– Kobieta? Przecież powiedział pan, że go pan nie kojarzy i nie widział, tylko auto – zdziwiła się Wiera.

– No bo nie kojarzę kolesia ani tym bardziej babki z nim, skoro jego samego nie widziałem. Mówię o Kamili, tej, co właśnie sprzątała u Świątkowskiego. Teraz sobie przypomniałem, że ją widziałem na chodniku, o tam – pokazał dłonią w kierunku jezdni – a auto stało kawałek dalej, o, tam – teraz przesunął dłoń w lewo. – Bardzo się ładnie komponowała z tym autem... I myślę, że to było rok temu, na wiosnę, bo ona pewnie na Wielkanoc do matki przyjechała. W sumie to ona tu bywa tylko od

wielkiego dzwonu, jak coś się dzieje.

ROZDZIAŁ 20

2014, Nowy Targ

„Kto by pomyślał, że na takim zadupiu mogą tak dobrze karmić”, pomyślała.

W sumie była zadowolona, że tu przyjechała, czasem warto posłuchać rekomendacji. No i było co świętować – naprawdę świetnie to przygotowała. Żeby tylko niczego po drodze nie spieprzyć. Żadnego śladu nie zostawić.

Wyrzuciła do kosza na śmieci lepki papierek. Mogliby tylko zadbać o lepsze chusteczki, bo ta cienizna szybko przemięka i człowiek się lepi.

Sięgnęła do torebki – zawsze miała przy sobie opakowanie mokrych chusteczek.

Nie mogła się do nich dogrzebać, tak zawałiła torebkę podczas wyjazdu.

Wyciągnęła coś.

„Kurde”, spojrzała na swoją dłoń. „A o tym bym zapomniała”. Zaczęła się rozglądać za skrzynką pocztową.

Przy takiej pogodzie to miejsce było smutkiem smutków. W słoneczny dzień można się tu było dopatrzeć sielanki, niewymuszonego uroku wiejskiego klimatu, takiego z założenia lekko zaniedbanego, bo zgodnego z naturą – że farba ciut starta, płot nierówny, mech na dachu osiadł – jak w katalogach wnętrzarskich dla tych, co chcą uciec z miasta na wieś. Dziś jednak była wyłącznie szaro-musztardowa żałość.

Wiera pchnęła furtkę, która, podobnie jak poprzednim razem, szurała o kępę traw.

Podeszła do brązowych drzwi i zapukała.

– Dzień dobry. – Maria Kurek spojrzała na nią niepewnie.

– Dzień dobry. Mogę wejść na chwilę? – Wiera poczuła, że za kołnierz wpadło jej

kilka kropel z dachu. Podniosła głowę – eternitowe płyty nie były orynnowane.

– A przepraszam, bo ja chyba... – Kobieta się zawahała.

– Wiera Jezierska, komenda policji w Giżycku.

Twarz kobiety jakby się na chwilę rozprostowała ze zmarszczek.

– No tak, przepraszam, otworzyłam drzwi bez okularów, bo właśnie gotuję i by mi zaparowały. A stało się coś? – Momentalnie spoważniała.

– Nie, nic, mam jeszcze kilka pytań, to nie zajmie dużo czasu.

– Tak, tak, no to proszę. – Kobieta szerzej otworzyła drzwi.

W ciemnej i wilgotnej sieni Wierę owionął zapach flaków. Żołądek jej się ścisnął. Nienawidziła tej woni. Ojciec uwielbiał flaki, więc matka mu je robiła. Wierze robiło się niedobrze na widok bebeczów w dużym garnku. I od smrodu. A potem... Potem ojciec był zadowolony, bo dostał to, co lubił, popił wódką i wtedy chciał jeszcze czegoś, co też lubił, więc zalegał przepocono-alkoholowo-flaczany na matce, która...

– Nie lubi pani? – zapytała Kurek, gdy stanęły w progu kuchni.

Wiera czuła, że zbladła.

– Nieszczególnie. – Przełknęła ślinę.

– No to do pokoju zapraszam. – Gospodyni przeszła przez korytarz i uchyliła drzwi po jego drugiej stronie. – O, tu. Proszę sięść, ja tylko zamieszam i przyjdę. A może coś do picia dać?

Wiera pokręciła głową. Zapach był okropny.

– A miętę może? Bo mam swoją, suszoną, z ogrodu. Dobra na wszystko.

Sierzant Jezierska się zawahała. Mięta miała mocny smak, lubiła ją. Kiwnęła głową.

Weszła do niedużego pomieszczenia. Po prawej kredens z nadstawką, na środku okrągły stół, przykryty kołkową serwetą, i cztery krzesła, po lewej – tapczan zasłany gęsto tkaną kapą, a obok stare duże lustro w owalnej ramie. Poczuła się jak u siebie w domu rodzinnym, czyli źle. Obejrzała się – gospodyni, pewnie z litości, przymknęła drzwi do kuchni. A może z powodu kredowej twarzy Wierę? Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. To w tę taflę musiała się wpatrywać Kamila, marząc o lepszym życiu. Żeby widzieć coś innego niż te bieżniki, dziergane serwety, pachnące proszkiem na mole narzuty i kredens sprzed półwiecza. Na górnej półce nadstawki wypatrzyła jakieś fotografie czy małe obrazki – zaśniedziałe lustro nie pozwalało na bardziej szczegółową ocenę. Obróciła się i podeszła do drzwi. Lekko je uchyliła –

z kuchni dobiegały odgłosy krzątania. Na płycie paleniska zobaczyła metalowy czajnik z gwizdkiem. Cofnęła się do pokoju i podeszła do kredensu. Półkę obstawioną pamiątkami miała na wysokości wzroku. Fotografia w metalowej ramce – dziewczynka siedząca na tapczanie, chyba w tym pokoju, około trzyletnia. Duże oczy, duża kokarda na czubku głowy. Obok też fotografia, większa, a ramka drewniana – dziewczynka ma około dziesięciu lat. Ładna i jakby pewna swojej urody – patrzyła wprost w obiektyw. Biała koszula, w nią wpięta tarcza szkolna. I wreszcie dorosła już Kamila Kurek: gęste jasne włosy, tlenione, bo na poprzednich zdjęciach była ciemną szatynką, staranny makijaż, ładny uśmiech. W jakimś uniformie, można by pomyśleć, że pielęgniarским, znaczy takim z prywatnej kliniki, ale to pewnie był strój kosmetyczki. Obok zdjęć stało tekturowe pudełko oklejone wyblakłym już niebieskim papierem w kwiatowy rzucik. Wiera obejrzała się na drzwi, ale nie wychwyciła żadnego ruchu. Podniosła wieczko – w środku były jakieś dziecięce bazgroły. Wydawało się jej, że teraz coś usłyszała. Opuściła wieczko i zrobiła krok do tyłu.

W drzwiach stanęła gospodyni.

– Zapomniałam zapytać. Posłodzić pani tę miętę? Miodem? Od sąsiadów mam, z ich pasieki.

– Tak, poproszę.

Kurkowa wciąż stała w progu, jakby niezdecydowana.

– To zdjęcia Kamilki – powiedziała w końcu. – Taka jej półteczka. Obok, w tym pudełku, mam karteczki od niej, laurki jeszcze ze szkoły, kartki z życzeniami na imieniny i urodziny... – Podeszła do Wieri. – O, proszę zobaczyć. – Wzięła pudełko do rąk, pokrywkę odłożyła na blat kredensu. Wyciągnęła pierwszy papier, trochę już pożółkły. – To z pierwszej klasy, na Dzień Mamy. Taki ładny bukiet mi narysowała. – Oczy się jej zaszklily. – A tu kolejna, rok później, i tak co roku. A potem to już pocztówki – nawet jak tu była, w domu, to mi potrafiła karteczkę zostawić na stole w imieniny czy urodziny. Zawsze pamięta. – W rękach kobiety pojawiały się kolejne obrazki: bukiet, kotek, prezent, brokat, czerwień, złocenie.

– A ta to z jakiej okazji? – Wiera zobaczyła niepasujące zdjęcie – gór.

– A, to. Z Rabki. O, tutaj nawet napisane.

Rzeczywiście, w prawym górnym rogu był nieduży, z zawijasami zrobiony napis „Rabka”.

– W kuchni też kartka z Rabki. – Przypomniała sobie Wiera.

– O, od razu widać, że pani policjantka, bo ma bystre oko. – Kobieta się

uśmiechnęła. – Tamta to trochę takie smutne wspomnienie, bo Kamilka była w sanatorium, mówiłam, że miała problemy z kośćmi. Kupiłam sobie wtedy na dworcu tę pocztówkę, żeby mi o Kamilce przypominała, bo jej trzy tygodnie nie było w domu. Taka pusta, niewypisana stanęła w kuchni i tak już została. W sumie trzy takie turnusy zaliczyła. A ta to już prawdziwa pocztówka, przez córkę przysłana. Kamilka pojechała kilka lat temu do Rabki na takie krótkie wakacje.

– Sama?

– Tak, pojechała sama. No nie ma szczęścia coś do mężczyzn – taka ładna i tak jakoś... – Kurkowa się zamyśliła. – Ale dobrze spędziła czas.

Wiera usłyszała lekki pisk.

– Woda chyba się gotuje – powiedziała.

– Tak? No, pani to ma lepszy słuch, ja to już i gorzej słyszę, i gorzej widzę. Zaraz wrócę. – Odłożyła trzymane w ręku kartki na bok i poszła do kuchni.

Wiera sięgnęła po pudełko. Wyciągnęła z niego kartkę. Zwykła pocztówka, kolaż zdjęć, nawet okej. Odwróciła ją. „Kochana Mamo, wszystko w porządku, odpoczywam, spaceruję, całuję, Twoja Kamilka”. Wierę coś zakłuło. Nigdy nie wysłała matce takiej kartki, a na laurkach pisała to, co pani kazała. Spojrzała na stempel – kwiecień 2014 roku. Odłożyła pocztówkę, na nią położyła resztę kartek i przykryła pudełko wieczkiem. Gospodyni coś chyba nie szło ze ściąganiem gwizdka, bo czajnik się rozszyczał. Nieprzyjemny świdrujący dźwięk, dobrze, że zapach flaków przestał tak dręczyć. Średnio się dziś czuła. „Rany”, pomyślała nagle. Zrzuciła wieczko, wygrzebała laurki i znowu trzymała w ręku tę kartę. Raz jeszcze spojrzała na stempel. Siedemnasty kwietnia dwa tysiące czternastego. Nowy Targ. Kurek wysłała ją z Nowego Targu.

*

– Badania potwierdzają, że Jaskóła umarł mniej więcej pół roku temu. To by się zgadzało z ostatnim logowaniem telefonu.

Wiera stała przy oknie swojego pokoju w komendzie. W sumie niezły był stąd widok – zadbane budynki mieszkalne po drugiej stronie ulicy, w lecie przysłonięte drzewami. Gazda miał gorsze perspektywy.

– Przesłuchaliśmy właścicielkę tej działki, gdzie się Jaskóła odnalazł. Była w szoku. Rzeczywiście, przyjeżdża tam kilka razy w roku, żeby to jakoś ogarnąć, z obowiązku, bez sentymentów. Pracuje w agencji marketingowej w Krakowie, ma

mieszkanie na Kazimierzu i mówi, że dopiero teraz czuje, że żyje – wśród ludzi, kultury, w ruchu i gwarze. Z domem i działką nic nie robi, bo trochę jej żal, ze względu na pamięć o rodzicach, a trochę liczy na to, że ziemia pójdzie w górę.

– Na razie to poszła w dół – zauważyła Wiera.

– No tak. – Gazda się zaśmiał. – O tym też mówiła, że zabezpieczenie tego brzegu to kilka tysięcy. Już raz to robiła, jeszcze kiedy ojciec żył, ale woda akurat w tym miejscu zakręca, więc sukcesywnie podmywa brzeg. A, bo to ważne – rower był jej, znaczy ojca.

– Ten zakopany z Jaskółą.

– Raczej jednak stojący w rogu. Zawsze tam stał, od lat. Od lat na nim nikt nie jeździł, od lat rdzewiał. Więc to nie ten trop. Rowery są przypadkiem. A reszta...

– No tak. Słuchaj, czy w Nowym Targu na poczcie można kupić kartki z Rabki?

– Co? – Gazda zdumiał się tym nagłym przeskokiem tematycznym.

– Pytam, czy u was na poczcie można kupić kartki z Rabki. Urząd pocztowy zero zero jeden.

– Nie mam pojęcia, nie wysyłam kartek. A skąd to pytanie?

– Bo Kurek w dwa tysiące czternastym roku była w Nowym Targu. Matce powiedziała, że w Rabce, na krótkim odpoczynku. Na pocztówce Rabka, na stemplu Nowy Targ.

– Zero zero jeden. To w centrum, na Kościuszki. Poproszę kogoś, żeby sprawdził. A o czym by to świadczyło?

– Nie wiem. – Wiera westchnęła. – Może jednak o wcześniejszej znajomości z Chycem?

– Trzeba ją zaprosić na przesłuchanie.

– Przyjeżdża do matki. Będzie od piątku wieczorem przez cały kolejny tydzień aż do końca świąt.

– Właśnie, skoro o świątach mowa. Za trzy dni pogrzeb Grzegorza Chyca. Brat chciał zdążyć przed świątami, znaczy przed Wielkim Tygodniem. Może to jest powód, żebyś przyjechała? – Znowu ten ton. Antoni Gazda potrafił się płynnie przełączyć między gwarą a aksamitem. – Pogrzeby dużo mówią o zmarłym i o relacjach, jakie z nim mieli ci, co go żegnają. Można by się jeszcze rozpytać o tę Kurek, może jednak ktoś ją kojarzy. No i byłyby też okazja do naszego spotkania...

W sumie wkład Antoniego Gazdy w ich związek był do tej pory minimalny. Raz

w pokoju gościnnym, raz w aucie. Za każdym z tych razów to Wiera się zjawiała tam, gdzie potrzeba. „Gdzie potrzeba”, pomyślała. No, to była potrzeba. I chyba nawet zaczęła się w tym facecie zakochiwać.

– Nie wiem, porozmawiam z komendantem. To nie jest oczywista konieczność, znaczy moja obecność na tym pogrzebie, ale bym chciała.

– Też bym chciał. – Najmniejszy aksamit, z jedwabnym włosiem.

Wsunęła telefon w kieszeń dzinsów i postanowiła, że od razu się tym zajmie.

*

Zbigniew Król był u siebie.

– Pogrzeb? – powtórzył po niej. – A po co ci to? Znaczy wiem, trzeba być, obserwować, morderca lubi patrzeć, jak jego ofiarę przysypuje ziemia... No, ale tu się wcześniej napatrzył... Może nawet dwa razy. To ich, znaczy Nowego Targu robota.

– Wiem, panie komendancie, ale to zawsze inne spojrzenie. Obcego, z boku.

– Właśnie. Obcego. No to jak ostatecznie z tym wątkiem, wiesz, pejsatych?

W tym facecie nie było za grosz delikatności. Wyczucia. Kultury osobistej.

– Na razie odsuwam go na bok. Dzisiaj rano przygotowałam list dotyczący śmierci Samuela Aronowicza – czy jest więcej danych niż w tym starym artykule prasowym. Remek wysłał te zapytania do krakowskiego oddziału IPN-u. To znaczy na pewno jest więcej, tylko nie wiadomo jakie. I do archidiecezji krakowskiej, o metrykę Adama Świątkowskiego.

– Tak... – Król pokiwał głową, choć wyraz jego twarzy zdradzał, że jest zupełnie nieprzekonany. – A ta kamienica w Nowym Targu to była jego?

Pokręciła głową. To już sprawdziła w Archiwum Państwowym w Nowym Targu. Okazało się, jak zawsze zresztą, że ludzkie gadanie i ploty rozsiewane w internecie to jedno, ale prawda – obok. Stosunki własnościowe większości kamienic w centrum Nowego Targu są uporządkowane, bo po wojnie te budynki zostały sprzedane przez potomków nowotarskich Żydów, którzy zginęli podczas Zagłady. Jedynie dwa domy – w tym ten, w którym mieszkał Chyc z matką – są w zarządzie miasta. Do żadnego z nich Adam Świątkowski nie rościł sobie praw.

– Czyli to jednak była historia bardziej na książkę... Pytanie „swój czy obcy?” wciąż jednak aktualne. No i czy ten sam w obu przypadkach. Choć jak u nas obcy, to może u nich ich?... Jakie jest zdanie komisarza Gazdy?

– Opierając się na nowych poszlakach, które zebrałam w ostatnich dniach – znowu czuła to napięcie w szczęce. „Zdanie komisarza Gazdy” – trzeba wyjaśnić związek Kamili Kurek z tą sprawą. Znała obie ofiary, z obiema była widywana. Przesłucham ją za kilka dni.

– Wezwałeś ją na przesłuchanie?

– Nie. Byłam u jej matki, widziałam dowód, że odwiedziła Nowy Targ w dwa tysiące czternastym. Matce powiedziałam, że nasze zainteresowanie dotyczy Adama Świątkowskiego. Nie chcę jej przestraszyć. Ona tu będzie w weekend. Pojadę i z nią pogadam, i wtedy jej wręczę wezwanie na przesłuchanie.

– A ona jaki by miała motyw? I to podwójny?

– Jaskółka zajmował się stręczycielstwem. Mogła być jego ofiarą.

Co prawda, na fotografii u matki nie wyglądała jak ofiara, ale takie myślenie prowadzi wprost do pytania zgwałconej dziewczyny, w co była ubrana.

– A Chyca dlaczego?

– To właśnie próbuję ustalić. Próbujemy, razem z komisarzem Gazdą. Stąd prośba o zgodę na wyjazd do Nowego Targu. – Rozmowa zatoczyła zgrabne kółko.

Król przez chwilę milczał. Potem się podniósł, ze skrzypnięciem odsunął fotel od biurka, sapnął, odwrócił się i powoli podszedł do okna. Splótł ręce za plecami. Z trudem.

„Mistrz taniej scenografii”, pomyślała Wiera.

– No dobrze. – W końcu się odwrócił. – Jedź. Ale oczekuję efektów. Ta sprawa budzi zainteresowanie. Pisali o niej i w ogólnopolskich dziennikach, i w naszych. Jest inna, jest dziwna. Nie przyschnie. Musi zostać wyjaśniona.

*

Lubiła tu przychodzić. Zieleń i cisza. Spokojniej niż w parku, bo tam były place zabaw, a tutaj – zdecydowanie emeryckie klimaty. Ogródki działkowe Kormoran, oaza zieleni w mieście. Fakt, nie było gdzie przysiąść, ale i tak wolała spacerować.

Telefon zawibrował jej w kieszeni.

Wyszarpnęła aparat z tylnej kieszeni dzinsów. Przez chwilę nie mogła go ruszyć, tak się niefortunnie ułożył, że zahaczyła paznokciem o metalowy nit.

– Auć! – syknęła. Płytką się przedarła, zadziór do połowy odsłonił czułą tkankę pod paznokciem.

„Karolina Stykowska”.

– Jezierska, słucham.

– Karolina Stykowska, dzień dobry, nie przeszkadzam? – Zabrzmiała wyjątkowo niepewnie jak na nią, co znaczyło, że Wiera burknęła bardziej, niż przypuszczała. Ale ten cholerny palec tak bolał.

– Nie. Słucham.

– Chciałam zapytać, jak postępy w śledztwie. Znaczy wiem, że nie można, bo to informacje, których się nie udostępnia, ale to miał być taki zamiennik „co sływać?”, który by padł w prywatnej rozmowie. Więc od razu przejdę do rzeczy. Widzi pani, pani sierżant, jest taka dziwna sprawa. Mamy na działce kamienie, głązy narzutowe dokładniej. Adam przygotowywał grunt – pod fundamenty, pod trawę. No i natrafił na te kamienie. Trzy. I tam, gdzie były, to zostały, tyle że już na ziemi, nie pod. Dwa są blisko domu, mniej okazałe, a trzeci, naprawdę duży, w okolicy zagajnika.

Rzeczywiście, były takie kamienie, przypomniała sobie Wiera.

– I pod tym dużym jest podkop.

– Podkop?

– Tak. On stoi w rogu, za drzewami, pod górkę. Nie chodzimy tam często. Wczoraj, kiedy pokazywaliśmy działkę potencjalnym kupcom, to zauważyliśmy.

– Może to jakieś zwierzę? Bo po co... – Wiera przerwała. „Jezu, no nie”.

– Właśnie. – Stykowska słusznie odczytała tę przerwę. – Pamięta pani moje obawy, że teraz to pewnie nikt nie będzie chciał kupić tego domu? No to jest odwrotnie. Duże zainteresowanie. I te pytania, że to podobno dom „z historią”. Nikt wprost nie powie, ale to się przewija. Tak z połowa oglądających takie teksty waliła. I nawet jeśli tylko pozornie są zainteresowani, bo tak naprawdę chcą sobie obejrzeć to miejsce, to ruch i tak jest. A jedni, z tej grupy pytających właśnie, to chyba na serio. Może nawet ten kamień ich zachęcił... Ale pani chyba nie myśli, żeby tam coś mogło być zakopane? Bo ja sobie trochę żartuję, a trochę nie.

Nie myślała. Ale czasem myślenie nie miało znaczenia.

– Długo będziecie państwo w Jeziorowskich?

– Do końca tygodnia.

Mijała właśnie działkę, której właściciel stawiał ogrodzenie. Metraż tych poletek był nieduży, pewnie z dwieście, może trzysta metrów kwadratowych, a płot i furka – pokaźne. Podmurówka z otoczków, betonowe słupki i między nimi drewniane

sztachety malowane błyszczącą farbą. To by było dobre przy pełnowymiarowym domu, jeśli komuś nie żal wydawać tyle pieniędzy na ogrodzenie, ale nie przy altance. Zupełnie to do siebie nie pasowało. Obrazki się nie zgadzały.

Nagle pomyślała, że coś takiego może być i z tymi dwiema sprawami. Dorabianie tła. Od momentu, kiedy Jaskóła się odnalazł, myślała o tych sprawach razem, jakby były połączone. I może były, na przykład tą Kurek, a może tylko miały sprawiać takie wrażenie? Na przykład z tym rowerem? Może tylko jedno z tych morderstw ma znaczenie, a drugie jest właśnie „dorabianiem tła”? A jeśli tak, to które jest „prawdziwe”, a które ma być zmyłką?

ROZDZIAŁ 21

1985, Nowy Targ

To tu. Trochę się naszukał. Mógłby zapytać w kancelarii, ale nie chciał. Jeszcze by ktoś się zaczął zastanawiać, po co mu to.

Postawił znicz, wyciągnął z kieszeni zapalniczki, drżącą ręką przejechał po drasce. Knot się zajął.

Przez chwilę stał, popatrzył. Próbował się modlić, przecież sama świeczka nie wystarczy. Trudno mu było dobrać słowa.

„Bóg wsyndy, to i w cłeku siedzi” – szepnął do siebie.

Wtedy myślał, że tylko w swoich, a w obcych – nie.

Teraz już tak nie myślał. I żałował tego, co się stało.

Coś go zakłuło w boku. Może od serca, może od choroby. A może to sumienie mu coś ugniatało, jak kamień, taki, co leżał na tej szarej płycie, przy nazwisku.

– Przybyliśmy tu, żeby pożegnać naszego brata Grzegorza. – Ksiądz miał odpowiednio zaangażowany ton. Niezbyt zbolący, ale też nie zwyczajny. Wystarczająco pogrzebowy.

„Może jemu również trudno ocenić, jak bardzo Chyc się przyczynił do tego, że umarł?”, pomyślała Wiera. Stała w bocznej nawie. Miała nadzieję na swobodną obserwację, ale kościół Świętej Anny był mały – drewniany, stary, ładny, z czasów, gdy przychodziło do niego dużo mniej ludzi, bo dużo mniej w okolicy mieszkało. Teraz się kłębiło. I na pewno nie wszyscy zjawili się tu z potrzeby ducha i religijnego zaangażowania. I zapewne nie wszyscy znali Grzegorza Chyca. Bo faktycznie –

Grzegorz Chyc był już tylko bratem, no i szwagrem, w żadną inną rolę nie wszedł, a ci, z którymi był związany krwią, nie żyli. „Związany krwią”, jakoś głupio się jej pomyślało. „Więzy krwi” powinno być, ale była zmęczona po długiej podróży. Przez chwilę widziała się z Antkiem, zdawkowo, bo on stał z kimś, chyba z kolegą z komendy.

W pierwszej ławce siedział Tadeusz Chyc z żoną i dwójką dzieci w wieku szkolnym.

Ewidentnie odstawali od reszty żałobników – byli w eleganckiej czerni, odpowiednio skupieni i odpowiednio zadumani.

Dalej siedzieli ludzie z wieńcami, może rodzina żony Tadeusza Chyca? No a jeszcze głębiej i z boku to już naprawdę przeróżnie – jedni wyglądali, jakby z pracy wyskoczyli, inni byli bardziej odstawieni, z kwiatami i bez.

Rozglądała się po twarzach, machinalnie wykonując kolejne gesty i wypowiadając formułki. Od ładnych kilku lat, dokładnie od Szczytna, nie chodziła do kościoła. A mimo to wciąż wszystko pamiętała. Była jak zautomatyzowana. Ciekawe, że niczego się tak nie zapamiętuje i niczego się tak nie da wyrzucić z pamięci, jak tych religijnych formuł. Nawet kiedy człowiek się wypisze z instytucji, to gdy dopadnie go jakaś fraza, idzie za nią, jak za czarodziejskim fletem.

„Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina”. Pięć trzeci raz wylądowała na jej mostku. Pamiętała, z jakim smutkiem i strachem powtarzała ten tekst, kiedy się przygotowywała do pierwszej komunii świętej. Wina – jaka może być wina w przypadku ośmiolatki? Waliła się małą piąstką w klatkę piersiową, obok to samo robiły matka i Anka. Ojciec mniej ekspresyjnie powtarzał ten gest – odrabiał to w domu, lejąc matkę.

Obok kościoła był równie kameralny i ładny cmentarz, ale Grzegorz Chyc został pochowany na innym – dalej położonym, dużo większym i współczesnym. Wiera z oddalenia obserwowała, jak ksiądz kropi trumnę, a potem rzuca na nią grudy ziemi. Ten sam gest powtórzył brat Chyca, Tadeusz. A potem podchodzili inni, czasem tylko ściskali ręce małżonków, czasem następowały krótkie objęcia. Tu, na świeżym powietrzu, w rozproszeniu, gdzie o obserwację było łatwiej, też nie wypatrzyła nikogo podejrzanego. Nie widziała również Sylwii Kier.

Ustawiła się na końcu kondolencyjnej kolejki.

– Proszę raz jeszcze przyjąć moje wyrazy współczucia. – Czuła, jak kołkowato brzmiały te słowa.

– Dziękuję – odpowiedział Tadeusz Chyc. Było widać, że jest spięty. W sumie nic dziwnego, pogrzeb to nie jest pogodna okoliczność.

Wiera spojrzała na tablicę nagrobną. Marianna Chyc 1958–2017.

– Po śmierci z matką... – zaczęła.

Tadeusz Chyc pokiwał głową.

– ...ale bez ojca.

Patrzył na nią i nic nie mówił.

– Świekra tak chciała. Tu leżeć – odezwała się żona Chyca.

– Z synem? – zapytała Wiera.

– Na nowym. Bez męża.

Tadeusz Chyc się poruszył.

– Mówię, jak było. Jak na spowiedzi – dodała, nie patrząc na męża.

– Trzeba się jeszcze pożegnać. – Tadeusz Chyc głową wskazał busa, przy którym zebrali się żałobnicy. – Pójdziemy już. – Wreszcie spojrział na Wierę. Nic nie potrafiła wyczytać z jego wzroku.

– Oczywiście. Do jutra rano jestem w Nowym Targu, gdybyście chcieli państwo porozmawiać. – Ostatnie słowa skierowała do Katarzyny Chyc. Miała wrażenie, że kobieta chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie poszła za mężem.

W różnej odległości od grobu stały jeszcze grupki rozmawiających ze sobą osób. Raczej nie rodzina, tylko znajomi, i to pewnie dość luźni. „W końcu pogrzeb to też impreza towarzyska dla tych, co mniej przeżywają śmierć chowanego”, pomyślała Wiera.

Skierowała się w stronę wyjścia z cmentarza.

Po drodze minęła młodą kobietę, którą gdzieś już kiedyś widziała. Gdzie to było?... Zwolniła i obejrzała się przez ramię. Tamta również sprawiała wrażenie, jakby Wierę rozpoznała i chciała nawiązać kontakt – szła samotnie, niespiesznie. W czarnej sukience i czarnym płaszczu, dość oryginalnym. I wtedy Wiera sobie przypomniała, skąd ją pamięta – z ciuchlandu, którego właścicielką była Sylwia Kier, tyle że wtedy była cała kolorowa. Zatrzymała się i zawróciła.

– Dzień dobry. – Podeszła do niej.

– Dzień dobry – odpowiedziała tamta. Z ulgą, jak się Wierze wydało.

– Pani szefowej nie było – stwierdziła Wiera.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Źle się czuje.

– Naprawdę? A może po prostu nie chciała tu być?... – W tej dziewczynie było coś takiego, co prowokowało do szczerości.

– Naprawdę. Od kilku dni jej nie ma w pracy, jakaś infekcja ją dopadła. Sylwia już w zeszłym tygodniu była jakaś niewyraźna, zresztą ona jest słabego zdrowia.

Wiera minimalnie kiwnęła głową. Była skłonna jej uwierzyć. Zresztą bardziej od tego, czy mówi prawdę na temat nieobecności byłej dziewczyny Grzegorza Chyca na jego pogrzebie, interesowało ją to, co tak naprawdę chce jej przekazać – bo coś chciała, czaiła się, wyczekiwała na odpowiedni moment.

– Sylwia od małego była chorowita. Oskrzela i płuca to jej słaby punkt. Jeszcze jak jej mama żyła, to ją leczyła, wozila po lekarzach, nawet do sanatorium wysłała. Teraz to się nie dziwię, że nie pomagało. Bo ona tam zimą jeździła, w czasie ferii, a tu wszędzie taki smog, że musieliby ją na Stare Wierchy albo chociaż na Maciejową wywieźć, żeby pomogło, a nie w mieście trzymać, w Rabce.

– Oboje rodzice Sylwii nie żyją?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Oboje, od lat. Zginęli w wypadku samochodowym. Sylwia została z babcią, która zdziwaczała po śmierci córki. A może to było coś zdrowotnego z tą głową? Jakaś neurologia? – Dziewczyna rozłożyła ręce w geście niepewności. – Wszystko jedno zresztą, efekt był taki, że Sylwia była w sumie sama.

– A skąd właściwie się znacie?

– Tu się ludzie znają. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Ja mieszkam przy tej samej ulicy, co Sylwia. Poznałam ją, jak się do babci przeniosła. Ona nie była taka jak inne nastolatki, zawsze jakby starsza, bardziej smutna, bardziej ponura. Pewnie w żałobie. A potem, jak minęło trochę czasu i wydawało się, że się wreszcie otworzy na świat, to on zaczął przychodzić. – Dziewczyna wykonała ruch brodą w kierunku grobu, do którego przed niecałą godziną złożono szczątki Grzegorza Chyca. – On był przystojny, taki męski. Do tego starszy, zaradny. Ale był zaborczy. I nie tylko. Wie pani, jak to jest.

Wiedziała, aż za dobrze, ale zapytała:

– To znaczy jak?

Dziewczyna się rozejrzała.

– Nie tutaj. – Nagle ściszyła głos, choć w promieniu kilkunastu metrów od nich

nikogo nie było. – Po południu. O wpół do szóstej, jak sklep zamknę. Przy wyciągu na Zadziale, pod lasem. Znajdzie pani?

Wiera kiwnęła głową.

Dziewczyna się odwróciła i szybkim krokiem poszła w stronę wyjścia z cmentarza.

*

Auto zostawiła w centrum, niedaleko Rynku. Miała godzinę do spotkania z dziewczyną z cmentarza i kilka do wieczoru z Gazdą. Spojrzała w komórkę. Powinna iść tak jak na Turbacz. I tak jak do tego domu, gdzie w osuwisku znaleziono ciało Jaskóły. Znowu spojrzała na mapę – nie, musi skręcić kawałek wcześniej, w lewo, w Osiedle Zadział.

Chodnik robił się coraz węższy, aż w końcu zniknął. Teraz szła asfaltówką, też wąską, i właściwie pozbawioną pobocza. W okolicy wyciągu zrobiło się trochę wygodniej; to zresztą było typowe – wszędzie tam, gdzie mogli się zjawić turyści, pojawiały się oznaki cywilizacji; gdzie z infrastruktury korzystali tylko miejscowi – warunki były zdecydowanie gorsze.

Spojrzała w kierunku lasu. Dostrzegła ciemną sylwetkę.

– Nie chciałam tak na widoku, żeby potem ludzie gadali.

Dziewczyna była teraz ubrana w dżinsy i duży kolorowy polar, jakiś przedpotopowy model, pewnie także z ciuchlandu. Do tego miała śmieszna czapkę na głowie i duże kolczyki. W sumie wyglądała fajnie.

– A co by gadali? – zapytała Wiera.

– Wszystko. Tu się obcym nie zwierza. – Dziewczyna wruszyła ramionami. – Pani już na pewno dużo wie, bo przecież pani z nią rozmawiała, wtedy, na zapleczu. I na komendę pani przyjeżdżała. I śledztwo prowadzi. Ale Sylwia nie jest rozmowna, jeśli chodzi o Grzeška Chyca.

– A pani go znała?

– Tak jakby. Z widzenia, z ulicy. Głową mi kiwał i tyle. Po tym, co Sylwia mówiła, mimo że to nie było dużo, jak już powiedziałam, i po tym, jak na nią patrzyłam, tobym zresztą chyba nie chciała go lepiej znać. Widzi pani, on ją doprowadził do złego, naprawdę złego stanu.

– Bił ją?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Bił. Ale siniaki to nie wszystko, bo on się czasem naprawdę nie potrafił opanować. I to nie tylko o ręce do bitki chodziło, ale o to, co on miał w głowie, co jej mówił, jak ją oplątał. Myśmy też wtedy razem pracowały, ale w innym szmateksie, obie równe, sprzedawczynie. Sylwia miała jakieś niepokojące stany psychiczne, jakby depresja. Nawet myślała, żeby do lekarza iść, ale nie poszła w końcu.

– Poprawiło się jej? – zapytała Wiera.

– Nie. Tylko że ksiądz jej powiedział, że te wszystkie problemy, złe humory, smutki, które ludzie nazywają depresją, to dlatego, że od Boga odchodzą. A tabletki i lekarze to nowe bożki. Jedynym ratunkiem jest wiara. – Dziewczyna prychnęła. – A Sylwia jest wierząca, więc nie poszła do specjalisty. Ja bym poszła – dodała hardo. – Nie wiem, jak to gdzie indziej w Polsce jest, ale w mojej wsi rodzinnej, pod Nowym Sączem, w zeszłym roku pięć osób się powiesiło. W sumie co roku tyle się zabija, a ludzi tam mniej niż dwa tysiące mieszka. Może za mało do kościoła chodzą – dodała kpiąco. – A może lekarza zabrakło – dorzuciła już spokojniej.

– Pani myśli, że ta depresja, problemy – to wszystko przez Chyca? Naprawdę nie mogła go zostawić, odejść, zerwać kontaktu? Przecież miała gdzie mieszkać, pracę też miała – zapytała Wiera, jakby się dziwiła. Chociaż się nie dziwiła.

– Gdyby ludzie potrafili wyjąć z głowy sam rozsądek, który by im z boku, tak patrząc obiektywnie, podpowiadał, co robić, toby się dało. Ale to tak nie działa, nie? Ona od małego była taka delikatna, wycofana... Może gdyby matka żyła... Sylwia jest skryta, nie ma właściwie znajomych, o przyjaciółkach nie mówiąc. My się znamy tyle lat, a to też nie jest przyjaźń. Lubimy się, ale w niej jest jakaś bariera, żeby się tak do końca otworzyć, zwierzać.

– A gdyby jej ojciec żył?

Wzruszyła ramionami.

– W życiu to raczej na kobiety trzeba liczyć. Więc może gdyby matka żyła... Chociaż w sumie nie tylko na kobiety, bo przecież Sylwia wyszła za męża, i to bardzo dobrze. Krzysiek jest bardzo spoko, a za Sylwią by w ogień skoczył. Ale on to nietypowy facet, bo księdzem miał zostać. Już prawie był, w końcówce seminarium zrezygnował. A może później? Bo nie mieli ślubu kościelnego, zdaje się, że nie mogli. Rodzina też się na niego wypięła za to, że na klechę się nie wykształcił. Tak tu jest, widzi pani. Tylko brat starszy mu pomaga, dzięki niemu Sylwia ma ten sklep. No, więc teraz ma wszystko – męża, córeczkę, śliczna ta Zuzulka, i swój biznes. Wreszcie

się jej ułożyło. Nie dziwne, że nie chce do tamtego czasu wracać.

Wiera schodziła asfaltówką w kierunku centrum. Zastanawiała się, czy coś z tego, co ta dziewczyna jej w takiej konspiracji powiedziała, może rzucić nowe światło na sprawę. Przeszłość Sylwii, toksyczny związek z Grzegorzem Chycem, przemoc fizyczna i psychiczna – to było potwierdzenie, żadna rewolucja. Nowością była wiadomość, że Krzysztof Kier jest niedoszłym księdzem. A może byłym księdzem?... Tylko co z tego?

Doszła do krzyżówki. W dół się szło do Rynku, w górę – na Turbacz. I koło tego domu, gdzie był pochowany Jaskóła. Przez chwilę się zawahała. Do spotkania z Antkiem miała jeszcze prawie dwie godziny. Tym razem nie umówili się w knajpie, tylko od razu w pokoju. Coś tam miał na komendzie. Szkoda, choć przecież nie o kolację przy świecach im chodziło. W sumie to zaczynała się coraz mocniej zastanawiać, o co im chodziło. W końcu jakoś to się będzie musiało potoczyć. Chyba.

Powoli szła pod górę. Zrobiło się szarawo. Jeszcze nie zmrok, ale już jego przedsmak.

Stała na zakręcie, na wysokości działki, gdzie odnaleziono ciało Zenona Jaskóły. Taśma wciąż powiewała na ogrodzeniu, choć w dwóch miejscach była przerwana. Po tej drewnianej kanciapie nie było już śladu – w miejscu, gdzie stała, widniał teraz czarny prostokąt zaoranej ziemi. Deski z rozbiórki złożono opodal płotu. Ze strumienia wyciągnięto drzewa, które się obsunęły, i pocięto je piłą na mniejsze kawałki.

Próbowała sobie wyobrazić moment, kiedy zjawił się tu Zenon Jaskóła. Jak? Jeszcze żywy? Oceniała drogę od bramy do czarnego placka ziemi. Kawalek, i to pod górę. Jaskóła był ciężki, jedna osoba by go nie wciągnęła, bez szans. No, może, ale w jakim czasie? I żeby nikt nie zauważył? Niby dom był osłonięty z dwóch stron drzewami i w pobliżu, znaczy bezpośrednio przy płocie, żadnego budynku, ale w takich miejscach sąsiedzi są czujni. Gdzieś szczeknie pies, ktoś wyjdzie na podwórko, ktoś wraca ze sklepu... Sam by wszedł? Po co? Z kim? I jaki w ogóle był cel jego przyjazdu tutaj? W Rzeszowie nagle się okazało, że prawie nikt go nie znał albo ewentualnie słabo. Kolesie z branży nabrali wody w usta. Jeśli nie oni go sprzątnęli, to i tak było im na rękę, że zniknął.

– O tym zabitym tak myślicie?

Aż podskoczyła. Serce nagle przyspieszyło. Odwróciła się. Po drugiej stronie wąskiego asfaltu stała babuleńka w kwiecistej chuście na głowie, długiej ciemnej

spódnicy i szerokim wełnianym swetrze.

– Bo tak się przyglądacie.

– A ktoś się jeszcze tak przyglądał? – zapytała, uspokajając oddech.

– No, wtedy, co policja była, to tak. I wyście też wtedy była, nie?

Wiera kiwnęła głową. Może i babuleńka, ale ze sprawną głową.

– Wtedy to wszyscy, ludzka rzecz. Też sobie spozierałam.

Wiera jej nie pamiętała.

– Ino wyżej, tak spomiędzy drzew. Bo ja tam mieszkam. – Ręką wskazała w górę drogi, w prawą stronę.

Widać było wydeptaną ścieżkę w trawie, odchodzącą od asfaltu do tych drzew.

– Tam mam chałupkę.

Wiera wyteżyła wzrok. Wcześniej nie zauważyła tam żadnego budynku. Teraz tak, choć z trudem.

„Żle”, pomyślała. Uważność to w tym fachu podstawa.

– Rzadko wychodzę, ale na świat popatrzeć sobie lubię.

– I widziała pani coś interesującego ostatnio?

– Może... Nie wiem, czy to interesujące, to sobie sama ocenicie. Była tu kiedyś taka młoda kobieta. I też sobie tak przystanęła, jak wy. I patrzyła. Nie za długo, ale na pewno stanęła. A potem poszła, wsiadła do auta i zawróciła w dół, do miasta. Myślałam, że może Kulesianka, no, teraz to ona inaczej, bo za mąż poszła, córka Kulesiów, starych gospodarzy, chce sprzedać i to kupująca jakaś, ale jak by to było? Taka młoda, do tego sama i po co jej tu leżać by było?

– Kiedy to było?

– No, już jakiś czas temu.

– A dokładniej?

Babuleńka przekrzywiła głowę.

– To było zaraz po tym, jak premier miał wypadek. Znaczy on miał, kiedy jeszcze był śnieg, a to było, jak już śnieg zeszedł, ale w tym samym roku na wiosnę.

– Premier? Nasz? – Nie mogła sobie przypomnieć żadnego wypadku. Znaczy kraks rządowych aut to było już tyle, że spowszedniały, ale jakiś bardziej spektakularny, z premierem?...

– No nasz. Ten z broszką, znaczy kobita, bo tedy kobite tam dali.

„Szydło. To było w Oświęcimiu. Tylko kiedy?” Sprawdzi sobie potem.

– A jak ona wyglądała? Znaczy ta kobieta, która się przyglądała tej działce? Bo może to na przykład była turystka i w góry szła?

– E tam! – Staruszka machnęła ręką. – Żadne w góry. Ona nie z tych. Taka raczej delikatna. Nie nasza. Z takich, co rąk ziemią nie brudzą. Nie widziałam dobrze, bo ona tyłem i w płaszczu, z kapturem, kaptur zresztą miała na głowie, bo właśnie na halny szło. I nawet wtedy pomyślałam, że może wiatr ją odstraszył, bo jak kto nie przywykł, to mu ciężko. A nawet jak przywykł, to czasem się chłopcy zabijają, tak im do głów idzie ta dychawica. Więc może i na dacie chciała mieć to gospodarstwo, ale nie kupiła. A teraz to już strach. Bo wiecie, człowieka chować tam, gdzie się rupiecie trzyma, i to jeszcze pod podłogą, to całkiem odwrotny porządek jest.

ROZDZIAŁ 22

2014, Nowy Targ

– Co tam masz? – zapytał.

– Eee... listę zakupów – bąknęła, zginając kartkę na pół i wpychając do kieszeni spodni.

– Przecież wczoraj byłaś. – Spojrzał na nią podejrzliwie.

– A ty co? Zazdrosny? O co? O dutki czy może o... – Nie dokończyła.

– No, tylko bez takich. – Twarz mu stężała.

Przeholowała.

– Żartowałam. Babskie sprawy do obkupienia mam.

– A. – Nie chciał już dalej rozmawiać. Machnął ręką i wyszedł z kuchni.

Młodszym dziewczynom to faceci podobno nawet podpaski w sklepie kupują, ale on był z tych starszych, nie tyle metryką, ile w głowie.

Wyciągnęła kartę, rozłożyła, wygładziła i raz jeszcze przeczytała tekst. Biła się z myślami. Może gdyby to był kto obcy, toby coś zrobiła. Właśnie tak – poinformowała, kogo trzeba, anonimowo, a potem niech się dzieje, co trzeba. Ale to nie był obcy, tylko swój. Poinformowanie kogo trzeba to jak donosicielstwo. Złożyła kartkę na pół i chwilę pomyślała, gdzie ją schować. Poszła do łazienki i wsunęła ją do tekturowego opakowania wkładek. Nawet gdyby jej nie uwierzył i w zazdrości chciał przejrzeć jej rzeczy, tu szukać nigdy nie będzie. To go brzydziło, mimo że przecież czyste, białe, nawet pachnące.

Nie takie, jak ta kartka – zakrwawiona.

Szósta rano. Nastawiła budzik na wczesną porę, bo rano, zanim wróci do Giżycka, miała jeszcze pójść na komendę. Nie myślała, że z nim, razem, pod rączkę, w końcu to robota – przypomniał się jej tekst Przyzwan o mieszaniu wątków. Wstała energicznie z łóżka, zrobiła kilka skłonów i wymachów ramionami. Nie spała długo, a i tak się czuła jak młoda bogini. Nie pamiętała, o której wyszedł, tak jak poprzednim razem. Zasnęli chyba wspólnie, ona kamiennym snem. Już dawno tak twardo nie spała. Może stres, może inne powietrze, a może po prostu seks. Czuła się tak, jakby ktoś z niej zdjął całe napięcie, jakby miała rozćwiczony każdy mięsień i rozpracowane każdy staw i każdą kosteczkę. I ten nieustanny, bąbelkowy szum w głowie. Coś fantastycznego.

Postanowiła pójść po pieczywo i coś na śniadanie. Głodna też była ponadnormatywnie.

Rozglądała się za żabką albo czymś w tym stylu, ale gdy tylko przeszła kawałek, poczuła zapach świeżego pieczywa. Na końcu uliczki zobaczyła szyld „piekarnia”. Mały sklep, z tyłu pewnie zakład. Wzięła pół bochenka i ta połówka była wielkości chleba u nich w sklepie. Nie potrafiła się powstrzymać i od razu na ulicy urwała kawałek. Mięksiz był kleisto-kwaśno-ciepły, skórka aromatyczna i chrupiąca. Już dawno nie jadła tak dobrego pieczywa. W małym spożywcza kupiła masło, dżem truskawkowy i baleron. Było jej głupio przed samą sobą, ale po prostu poczuła ochotę na mięso, znowu. Wracała powoli, żując kolejny oderwany kawałek chleba. Gdy była na wysokości budynku, w którym znajdowały się pokoje gościnne policji, zobaczyła jakąś kartkę na szybie swojego samochodu.

Biała koperta. Postawiła siatkę na ziemi. Wyciągnęła kopertę zza wycieraczki. Nie była zaadresowana ani podpisana. Nie była nawet zaklejona. Rozejrzała się. Ulica była pusta. Próbowała sobie przypomnieć, czy gdy szła po zakupy, spojrzała na auto. Chyba nie, bo przecież zauważyłaby białą plamę na szybie. A może wtedy jeszcze nie było tej koperty?...

Uniosła trójkątne zamknięcie. W środku zobaczyła papier w kratkę, trochę pogięty i na pewno nie nowy. Widać było, że po drugiej stronie jest zapisany. Wyciągnęła kartkę i odwróciła ją. Koślawe litery, nierówny czerwony kolor. „Zawsze będziemy razem. Ty nie odejdziesz, ja nie odejdę. Zawsze razem. G.H”.

Siedziała przy stoliku z ciemnym paździerzowym blatem. Siatka leżała obok, nietknięta. „G.H”. Tak się podpisał morderca Chyca w SMS-ie, który wysłał Świątkowskiemu. To znaczy zakładała, że to był morderca, no bo kto inny by walnął

taki błąd? Ludzie zwykle wiedzą, jak się pisze ich własne nazwisko. Ale teraz – o co tu chodziło? Ktoś znowu – błędnie – się podszywał pod Grzegorza Chycy czy ta zbieżność inicjałów była przypadkowa? Kto był adresatem, a może adresatką tego listu? I równie ważne – kto i dlaczego wsunął jej tę kartę za wycieraczkę? Kto wiedział, że tu jest, że mieszka w tym budynku i przyjechała tym samochodem? I co jej chciał w ten sposób powiedzieć?

Nie potrafiła uchwycić żadnego tropu. I jednak była cholernie głodna. Sięgnęła do siatki, wyjęła chleb i nie idąc do mikroskopijnej kuchni, urwała kawałek, na który położyła dwa grubo krojone plastry baleronu.

Smakowało znakomicie. Znowu urwała kawałek chleba i znowu przykryła go baleronem. Dopiero teraz poszła nastawić wodę w czajniku. W puszcze była jakaś granulowana kawa, sypnęła dwie kopiate łyżki i zalała je wrzątkiem. Wróciła do pokoju. Kawa smakowała mocno średnio i miała gorzki posmak. Otworzyła dżem i nabrała łyżkę. Tu z kolei słodycz była zbyt intensywna, ale tak na zmianę – dżem-kawa-dżem-kawa – jakoś szło.

Spojrzała na zegarek – było niecałe dziesięć minut po siódmej. Nie wysiedzi tu, musi się przejść, rozruszać, pomyśleć o tej kartce.

Miasto zaczynało intensywniej żyć. Na ulicy było już więcej przechodniów, ruch samochodowy się zwiększył. Nie znajdowała się w centrum Nowego Targu, ale do Rynku miała mniej więcej kwadrans. Wybrała jednak przeciwny kierunek, w stronę przyjemnej dla oka i spokojnej zabudowy domków jednorodzinnych.

Zapowiadał się ładny dzień. W Giżycku wciąż ten front deszczowy i ponury, a tu – od czasu jej wyprawy w Dolinę Chochołowską – słońce i coraz cieplej.

„Zawsze razem”. To by mogło brzmieć jak wyznanie miłości albo obietnica, ale pierwsze zdanie „Ty nie odejdziesz, ja nie odejdę” było raczej groźbą. Gdyby to naprawdę pisał Chyc, to adresatką byłaby Sylwia, dziewczyna, na punkcie której miał obsesję. Ale to nie mógł być Chyc, no jak – z tym „H”? Chyba że ktoś się podszył i z jakiegoś powodu słał jej te kartki. Ale, znowu, jeśli ta trafiła do Wiery, to tylko Sylwia mogłaby ją podrzucić. Kumpela mogła skłamać, że Sylwia źle się czuje, mogła ją nawet chronić. Zresztą mogło być i tak, że ona naprawdę się źle czuła, ale kartkę podrzuciła. A może to ta dziewczyna z lumpka, bo były w zмовie? Ale po co? Teraz, kiedy Chyc już od kilku lat nie żyje, ma go z głowy – jest nowe życie, mąż, córeczka. Nie, to się nie klei, zupełnie.

Podniosła głowę. Uliczka się kończyła, teraz trzeba albo w prawo, albo w lewo.

Przez chwilę się zastanawiała. Nie chciała sięgać po telefon, próbowała odtworzyć topografię miasta w głowie. W prawo, tak, teraz w prawo. Przeszła przez jezdnię i skręciła. I zaraz stanęła jak wryta.

Po drugiej stronie ulicy, trzy numery dalej, zobaczyła Antka. Dochodził do furtki, czegoś szukał po kieszeniach, głowę miał opuszczoną, ale to był on.

Ładnie mieszkał. Połówka odnowionego bliźniaka błyszczała bielą fasady, niski płot też nowy, dwa strzeliste świerki i jakieś krzewy. Sądziła, że Gazda ma mieszkanie w bloku, ewentualnie w kamienicy, bo po co mu taki metraż?

Zawahała się – podejść czy zawrócić? Jeszcze sobie pomyśli, że ona go śledzi. Ale przecież wczoraj spędzili taki wieczór i kawałek nocy, tak blisko, tak namiętnie, coś ich w końcu łączy.

Zaczęła iść w kierunku tego domu, na razie swoją stroną ulicy. Zrobi mu niespodziankę – kiedy on już znajdzie się na chodniku, ona go zawoła, on się rozejrzy, uśmiechnie, pomacha do niej, przetruchta przez ulicę i...

Antek jednak tuż przed furtką się obrócił. Była już prawie na wysokości jego domu. Zobaczyła, że drzwi wejściowe się uchylają. Antek szedł w ich stronę. A po chwili, gdy otworzyły się szerzej, Wiera zobaczyła, że pojawiła się w nich młoda kobieta w szlafroku. I w zaawansowanej ciąży.

Jeszcze przez moment miała nadzieję. Że siostra, szwagierka, kuzynka, wszystko jedno kto, ważne, żeby on nie miał udziału w tym jej brzuchu.

Niestety. Kobieta wyciągnęła w jego stronę rękę z telefonem komórkowym, on go wziął, a potem ją pocałował. W usta. I pogładził ten jej brzuch.

Wiera się odwróciła i puściła pędem w kierunku rogu, zza którego przed chwilą wyszła. Dopiero tam się rozryczała.

*

Piętnaście po ósmej, już po odprawie. Wysłała mu SMS: „Czekam na dole”. Nie chciała wchodzić.

Pojawił się po kilku minutach.

– Hej!

Miał świetny humor. Uśmiechnął się do niej szeroko, a ona się zastanawiała, czy zdążył już coś wypić i zmyć z ust dotyk tamtej kobiety.

Było jej niedobrze, z trudem się powstrzymywała, żeby mu od razu nie wygarnąć.

– Chyba się nie wyspałaś? – Popatrzył na nią ciepło.

„Chuj”, pomyślała.

– Niezbyt. Ty za to wyglądasz na zrelaksowanego – Głos jej nawet nie zadrżał, potrafiła się jednak opanować.

– Wiesz, faceci są twardsi.

– Wiem.

„Chuj”.

– Zbieram się zaraz, ale chciałam ci coś pokazać.

– Nie wejdiesz?

– Nie, spieszę się.

Chyba się zdziwił, ale nie oponował.

Sięgnęła do kieszeni. Podała mu kopertę.

Teraz na pewno był zdziwiony.

– No otwórz, nie bój się, to nie test ciężowy.

Roześmiał się. Ciut nerwowo.

„Chuj”.

– Rany... – powiedział, gdy przebiegł wzrokiem przez kartkę. – Skąd to masz?

– Ktoś mi podrzucił.

– Tobie?

– Mnie. Pod wycieraczkę. Z jakiegoś powodu zaufali obcej, nie wam. – Złość jednak zaczynała z niej wychodzić.

– Ciekawe... – mruknął.

– No. Tak samo jak w tym SMS-ie, co to niby Chyc wysłał do Świątkowskiego przed wyjazdem.

– Nie, tam to ktoś inny musiał, przecież Chyc się nigdzie nie wybierał. Ale tu...

– No tutaj ten sam błąd. „H”, nie „ch”.

– Nie wiadomo. To mógł pisać Chyc, znaczy Grzesiek.

– No jak? Może był damski bokser, ale nie idiota. To jednak nie to samo, choć wydawałoby się, że tak.

– Co taka podminowana jesteś? – Przyjrzał się jej.

„Wytrzymaj jeszcze chwilę”, pomyślała. Miała przygotowany tekst na zakończenie tej rozmowy.

– Po twoim pierwszym przyjeździe, kiedy przesłuchiwałaś Tadka Chyca, ja z nim potem jeszcze rozmawiałem. Nie na komendzie, kiedyś go spotkałem, jak był w Rynku, porządkę w mieszkaniu po matce i bracie robił. Przechodziłem obok kamienicy, on akurat wychodził. Zaczęło się od niczego w sumie, że obok remontują, a u nich nie, bo ich w zarządzie miasta... Przy okazji – wiesz, że ten trop z ewentualną własnością Świątkowskiego kamienicy to ślepy, bo tu nikt się nie zgłosił, prawa wciąż nieuregulowane.

Wiedziała.

– No. I jeszcze o sprawie, on był rozżalony, że w sumie żadnych wyników w śledztwie, co też rozumiem... I było o tym SMS-ie, a on mi wtedy, że brat się tak czasem podpisywał w skrócie. Bo samo „C” wydawało mu się dziwne, niepasujące, a „Ch” było jak...

– Jak chuj. Zwyczajny chuj – dokończyła Wiera. – Żonę pozdrów.

Wyjęła mu tę kartkę z rąk, nawet się nie poruszył.

Odwróciła się i poszła w kierunku auta.

ROZDZIAŁ 23

2014, Podhale

Patrzył i nie wiedział, co czuje.

Nie wiedział, po co tu przyjechał.

Nie wiedział, co zrobi.

Mówi się, że wiek przynosi człowiekowi wiedzę, która wynika z doświadczenia.

Jego doświadczenia były takie, że mu tę wiedzę odbierały, przekreślały ją, stawiały na niej krzyżyk.

Rozejrzał się. Było naprawdę pięknie: łąka, niby zwyczajna, a z takim oddechem, tam dalej wyniosłe świerki, a nad nimi – góry.

Dotknął ręką drewnianych bali; ciemnobrązowe, ciepłe, mocno osadzone w tym miejscu. Trzy pokolenia albo i lepiej. Spokojnie, płynne życie. Ciągłe. I trwa – w nich, w tym chłopaku i w tym miejscu.

Jego zostało przerwane. Wszystko mu zabrali – przeszłość, przyszłość, ojca, miejsce.

Nie sądził, że ten fragment układanki będzie taki prosty – oferta sprzedaży w agencji nieruchomości w Nowym Targu.

„Mówiłem, żeby działkę wystawił, a dom to w gratisie, no bo kto by chciał sam dom, ale się uparł, że najpierw tak, że czasem są chętni, bo on pracuje w ciesielce i już to widział – że ludzie przenoszą takie chałupy. No i proszę – miał rację. I szczęście”.

„Miał szczęście”, powtórzył sobie w myślach te słowa.

Postanowił, że kupi ten dom.

– Nie skreślaj jeszcze tej sprawy – Maria Przyzwan nachyliła się nad Wierą, która stawiała kolejny znak „X” w swoim notesie. Jej zapiski wyglądały jak hieroglify – dużo pojedynczych wyrazów, znaki zapytania, strzałki. I właśnie „X”, pojawiające się w miejscach, które uważała za istotne dla sprawy.

Nie usłyszała, jak prokuratorka pukała do drzwi. A może nie pukała?...

– Nie, ja tylko... Porządkuję materiał.

Zamknęła notes. Sięgnęła po teczkę, z której wydobyła nowotarską kartkę w kratkę.

Prokuratorka przebiegła wzrokiem tekst.

– Wygląda na krew. Fiu, fiu. – Gwizdnęła.

Wiera pomyślała o krwi dopiero wtedy, gdy była już kawałek za Nowym Targiem i gdy usilnie starała się zająć myśli czym innym niż poranny sielankowy obrazek sprzed domu kochanka. Dopiero wtedy przyszło jej do głowy, że ten nierówny i mało apetyczny kolor tuszu to krew. To by tłumaczyło pewną koślawość liter. W końcu nikt naboju do pióra z krwią nie robi. Trzeba maczać i...

– Dam do laboratorium, żeby potwierdzić, czy to materiał biologiczny. Sprawdzimy też pochodzenie. Możliwe, że to jednak Chyc napisał, bo on miał jakiś uraz na punkcie tego „ch” w nazwisku. Że się źle kojarzyło.

– Może miał. Im prostszy umysł, tym prostsze konotacje. A w przypadku faceta... Ciekawe jest to, że on się różnie podpisywał. Może kiedy mu bardziej zależało, to był „H”? Ale ten SMS do Świątkowskiego to raczej nie on. I tu kolejna zagwozdzka – czy wysłał go ktoś, kto tak dobrze znał Chycy, czy wręcz przeciwnie – znał go słabo, tylko słyszał, jak się nazywa, i nigdy nie widział zapisu nazwiska?...

– Nie wiem. – Wiera westchnęła bezradnie. – Teoretycznie to mogło jeszcze być tak, że to naprawdę on i się zwinął, bo się spieszył do dziewczyny, ale nie dojechał, bo ktoś go sprzątnął.

– Teoretycznie – zgodziła się uprzejmie Przyzwan, dając znać, że zupełnie nie wierzy w taki scenariusz.

– Cholerna sprawa. Kiedy mi się wydaje, że coś mam, to trop się rozmywa. Pojawia się nowy, ale taki jakby... – Nie potrafiła znaleźć określenia.

– Na opak. Pamiętasz nasze pierwsze odczucia, kiedy pojechałaś do włamania do Jeziorowskich? Że to właśnie jest na opak. A teraz robi się coraz ciekawiej. Krew. „Ze wszystkiego, co czytam, lubię tylko, co krwią było pisane”.

Wiera spoglądała na prokuratorkę. Zrozumiała, że to cytat, ale to nie rozjaśniało sytuacji.

– To nie o mnie, to Nietzsche. O tym, co krwią pisze: „Nie chce, by go czytano, żąda, by się go na pamięć uczono”. Osoba, która wybiera taką formę zapisu, jest oczywiście przesunięta w rzeczywistości, oględnie mówiąc. Pisanie krwią to akt magiczny, wiążący, niepodważalny. Z charakterystyki Chyca, jaką już mamy, to by pasowało do niego.

– I byłoby o nim i o tej Sylwii. Komisarz Gazda przesłucha ją na tę okoliczność.

Przyzwan przyjrzała się jej uważnie.

– Podzieliłaś się zadaniami z komisarzem... żeby się wątki nie mieszały, co?

Wiera poczuła, że tętno jej przyspiesza.

– Nie mieszają się – odparła oschle.

– Super. Oby się tylko komisarz pospieszył, bo niedługo pewnie na ojcowski pójdzie.

Tętno jeszcze podskoczyło.

– Pani prokurator wiedziała?... – zapytała. Głupio i bezradnie.

Przyzwan kiwnęła głową.

– Mój ojciec mówił, że można się uczyć tylko na swoich błędach, a ja się z nim zgadzam. Takie podejście oznacza jednak, że te błędy należy popełnić. Dobrze ci idzie. No, a wracając do sprawy – jeśli to Chyc, to pisał do tej Kier, czy tam wcześniej Buczek. I ze wszystkich osób na świecie, to ona by miała najlepszy powód i najsilniejszą motywację, żeby go zabić.

– Świątkowski też miał – mruknęła Wiera.

– Hipotetycznie. I prawdopodobnie niesprawdzalnie. Poza tym tamte emocje były inne, jednak rozrzedzone przez czas, przez pośrednictwo, bo mowa o kolejnych pokoleniach. No i to uduszenie... Kobieta, postawiona pod ścianą, przerażona, mająca dość – to by się kleiło. Pech tylko taki, że ta Kier ma niepodważalne alibi.

Wiera kiwnęła głową.

– Ale ktoś chce ją zrobić tą kartką – powiedziała. – Co jednak jest bez sensu wobec tego alibi. Chyba że ten ktoś nie wie o alibi. Nie, też bez sensu, przecież by była podejrzana po zaginięciu.

– No to może jednak nie zrobić, tylko wręcz przeciwnie? Bronić, pokazując, w jakim gównie tkwiła.

Wiera pomyślała o tej dziewczynie ze sklepu. Nie, skoro już ją wywołała na to wygwizdowo, to dałaby jej i tę kartkę, nie bawiłaby się w podrzucanie. „Na opak, kurwa, na opak”.

– A ta panna z baru, od salonu i obu truposzów?... – zapytała prokuratorka.

– Właśnie! – Wiera się ożywiła. – Po południu do niej jadę. Jej matka powiedziała, że dziś się zjawi, nie ma na co czekać, zwłaszcza że ona była w Nowym Targu.

Przyzwan się wyprostowała.

– Nowy Targ to nie na przykład Jeziorowskie. Punkt przesiadkowy podczas wyjazdów na południe i tak dalej. Nic oryginalnego. A kiedy była?

– Na wiosnę dwa tysiące cztertnastego.

– Kiedy jeszcze wszyscy żyli.

– Kiedy jeszcze wszyscy żyli – powtórzyła Wiera. – Bo ona wtedy była w Rabce, na krótkich wakacjach. Matce wysłała kartkę z Rabki, to znaczy Rabka była na zdjęciach, ale stempel z Nowego Targu. A, i jeszcze jedno. Starowinka, która mieszka obok tego domu, gdzie był pochowany Jaskóła, powiedziała, że widziała młodą kobietę, niemiastową, nie ich, która się tam kręciła na wiosnę tego roku, kiedy Szydło miała wypadek w Oświęcimiu. Czyli w dwa tysiące siedemnastym. Z opisu to też Kurek, choć co ona by tam robiła?...

– No dobra, to jedź pogadać. Sprawdź przy okazji, czy ona ma alibi na czas śmierci Jaskóły. Przypominam ci, że te sprawy funkcjonują razem, tandem. A, news z rana – karta leczenia stomatologicznego potwierdza, że to Zenon Jaskóła spłynął z wiosennymi roztopami. Jakies wieści z Rzeszowa?...

– Jedna: znalazło się auto Jaskóły. W jednym z apartamentowców w Rzeszowie. Stoi tam chyba od czasu jego zaginięcia. Wszystko wskazuje na to, że on miał kierowcę czy tam goryla, który wołał uniknąć kontaktów z policją, więc kiedy szef się rozmył, to wrócił jak gdyby nigdy nic do miasta, odstawił auto i tyle. Na razie tyle, reszta to komisarz...

– Gazda. No to się dowiedz. Będziemy w kontakcie. – Maria Przyzwan podniosła swoją aktówkę. Przy drzwiach odwróciła się jeszcze w stronę Wiery. – Trzymaj się.

Wiera kiwnęła głową. Gdy za prokuratorką zamknęły się drzwi, wróciła do swojego notesu. Luźne zapiski: kwestia żydowska, dwa razy uduszenie, Mazury–góry, góral–Mazur, elegancka zbrodnia bez krwi, Hyc, choć Chyc, ale nie chuj, ikсы, kartka

(krew?), na opak, na krzyż.

„Tandem”, dopisała. Przewertowała notes. „Tandem” pojawił się na początku. Tak ją zawołał Mariusz Motyka, kiedy się dokopał do Chyca i roweru.

Więc teraz miała dwa tandemy.

Postawiła kolejny „X”.

*

Rozdźwięk między matką i córką był duży. Matka wyglądała tak jak matka Wiery, a Kamila – jak Wiera, gdyby się malowała, farbowała włosy, miała kasę i ochotę na ciuchy z butików.

Kamila Kurek zupełnie nie pasowała do makatki na ścianie i kołkowej serwety na starym stole. Jej mała nowa honda wyglądała od czapy zaparkowana pod wiejską drewnianą chałupą. Zero punktów styčných.

– Zaczęłam razem z koleżanką, która mnie tam ściągnęła. – Dziewczyna siedziała wyprostowana i spokojna. Wypielęgowaną dłonią co jakiś czas przejeżdżała po frędzlach serwety. – Byłam po kursie kosmetycznym, tyle, co tu można było w okolicy... Cały czas się jednak douczałam – kursy on-line, tutoriale, YouTube, fachowe fora... Na miejscu też poszłam do szkoły, takiej wieczorowej, to zajęcia były w weekendy. Szybko zaczęło mi dobrze iść, klientki mnie polubiły i doceniły i w końcu otworzyłam własny gabinet.

„Wygląda jak autopropaganda sukcesu”, pomyślała Wiera.

– Ile czasu zajął pani ten proces?

– Dwa lata.

– Szybko.

Kamila Kurek zawiesiła na niej wzrok.

– Dla chcącego, jak to mówią...

– Czy zna pani Zenona Jaskółę?

Kurek spojrzała w kierunku kuchni, gdzie krzątała się jej matka.

– Zapaliłabym, chodźmy na zewnątrz – powiedziała normalnym tonem. Ciszej dodała: – Nie chciałabym, żeby mama słyszała tę rozmowę.

Gdy były w sieni, matka wychyliła się z kuchni.

– Już?... – zapytała.

– Nie, tylko idziemy na papierosa. Wiem, że nie lubisz, kiedy palę w domu.

– W ogóle nie lubię, kiedy palisz, córcia. A pani sierżant pali?

Wiera pokręciła głową.

– No widzisz. Bądź rozsądna. Zdrowie najważniejsze. I tak masz swoje problemy, to jeszcze sobie dokładasz.

– Mama się wszystkim przejmuję. – Kamila Kurek westchnęła, dość teatralnie. – No więc co do Jaskóły, to myślałam, że to miły facet, a okazało się, że to stręczyciel.

– Jak się poznaliście? I kiedy?

– Parę lat temu. Z pięć, no może sześć. Kilka razy go tu spotkałam, to znaczy w okolicy. Pierwszy raz niedaleko Balladyny, tej knajpy. Szłam do sklepu. Wydawał się w porządku, taki miły, zadbany, a tutaj, zresztą nie tylko tutaj, znaleźć faceta, który jest czysty i trzeźwy, to wcale nie taka oczywista sprawa. Więc on był okej, nawet bardzo okej, no minus taki, że starszawy. Pogadaliśmy trochę, a on nawet obiad mi postawił. Poszłam z nim do Balladyny, w końcu to miejsce publiczne, nie miałam obaw. No i tam niezłe karmił. Mówił, że jest z branży *beauty*. I tak, od słowa do słowa, dałam mu swój numer. Kilka razy zadzwonił, raz się znowu tu widzieliśmy, raz w Węgorzewie, może więcej... I tak się to bujało, nie wiadomo, co by z tego miało być.

– A co było?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Jeśli pyta pani o seks, to był. Bez fajerwerków, ale może w tym wieku... Pani mnie pewnie ocenia, ale młodej dziewczynie z tych terenów to nie jest łatwo... – Spuściła głowę.

Nie oceniała jej. W ogóle trudno się jej było wczuć w tę narrację. Miała wrażenie, jakby oglądała jakiś... jak to się nazywa? O, monodram.

– A potem on zniknął. Znaczący zapowiedział, że go nie będzie jakiś czas, bo biznesy. Okej, myślałam, że to już koniec. Wtedy też się okazało, że Mariola, znacząca koleżanka z podstawówki, pracuje w Rzeszowie i mogę u niej zacząć. No to wyjechałam. I właśnie w tym Rzeszowie znowu się na niego natknęłam. I znowu się rozbujało, ale jak przyszło do konkretów, to się okazało, że on chciał, żebym się oddawała za kasę. Podziękowałam, nie jestem taka. – Kamila Kurek rozgniotła obcasem wypalonego papierosa.

– Przestaliście się widywać?

– W sensie bycia razem? Tak. Ale czasem go spotykałam na mieście.

– I co, rzeczywiście zajmował się stręczycielstwem?

– Na czole nie miał wypisane, ale... No, myślę, że tak. Czasem coś się gdzieś usłyszało. On wyglądał na takiego, co pieniądz ma, a do biura nie chodzi. Nie chciałam znać żadnych konkretów, w takich przypadkach mniej znaczy lepiej.

– A kiedy widziała go pani ostatni raz?

– Nie pamiętam... Ze dwa lata temu? Może mniej? Wie pani, człowiek taki zapracowany, kilkanaście godzin dziennie, to wszystko już się miesza.

– Znała pani Grzegorza Chyca?

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Na tyle, na ile mogła. Albo była tak umalowana, albo tak ostrzyknięta, że miała plastikową mimikę.

– Nie kojarzę...

– Balladyna. Widywano tam panią nie tylko z Jaskółą, ale i z Chycem.

– Niemożliwe... A, zaraz, to może ten góral, co to tak źle skończył?

Wiera kiwnęła głową.

– No tak, teraz to jasne. Rozmawiałam z nim chyba raz, w barze. I raz w domu, znaczy u pana Adama Świątkowskiego, ale przelotnie, bo on po coś jechał, na rowerze, a ja właśnie przyjechałam zająć się domem. I więcej to już nie... On był całkiem miły i wyglądał też nieźle, ale to by nie był perspektywiczny związek. Nie mam już kilkunastu lat, żeby się bawić w takie rzeczy.

– A Świątkowski? Jego też pani poznała w Balladynie?

Kamila Kurek się zaśmiała.

– Wyjdzie na to, że to miejsce jest jak pośredniak.

– Pośredniak to podobno Jaskółą prowadził.

Kurek się skrzywiła.

– Chyba w teorii.

– W teorii na pewno.

– Więc co do Balladyny – Anglicy mają swoje puby, my Balladynę. Człowiek ma taką naturę, że szuka kontaktu z innymi. Zresztą jak żyć, kiedy się nie ma tych kontaktów? A wracając do pana Adama – to był uroczy, dobry człowiek. Taki inny.

– Inny?

– Kulturalny. Nietutejszy. Wielkowiejski.

– A jeszcze jakoś inny?

Przekrzywiła głowę.

– Ale w jakim sensie?...

– Ogólnie. No dobrze, to zostawmy ten wątek. Była pani kiedyś w Nowym Targu? Wreszcie, po raz pierwszy podczas tej rozmowy, udało się Wierze uchwycić moment prawdziwego zdziwienia na twarzy tej dziewczyny.

– Nie – odparła.

– W pokoju widziałam kartkę, którą wysłała pani matce z wakacji w górach.

– Z Rabki, tak, byłam na krótkim wyjeździe.

– Z Rabki. Ale stempel pocztowy jest z Nowego Targu.

Drugie zdziwienie.

– Z Nowego Targu? – powiedziała powoli. – Ach, no tak! – Obnażyła w uśmiechu równe zęby. – Rzeczywiście, tak było. Kupiłam, wypisałam i zapomniałam wrzucić do skrzynki. Przypomniałam sobie już w trasie do domu.

– Ale do domu to nie przez Nowy Targ...

– Nie, jasne. Teraz już sobie dokładnie przypomniałam, jak to było. Podskoczyłam z Rabki do Nowego Targu, na lody. Właścicielka pensjonatu tak zachwalała, że najlepsze w Polsce. Może bym nie pojechała, ale już na zakopiance mi się przypomniało o tej kartce, no to szybka decyzja i już. Zawróciłam, zjadłam, wrzuciłam pocztówkę do skrzynki i pojechałam do domu.

– Tylko na Rynku pani była?

– Tak. Krótka wizyta, kolejki nie licząc, bo rzeczywiście, dużo ludzi było. I tam gdzieś obok była poczta.

– I jak, dobre te lody były?

– Nieźle, naprawdę nieźle.

– A czy jeszcze kiedyś potem była pani w Nowym Targu lub okolicach?

– Nie.

– Ostatnie pytanie: czy pamięta pani, co pani robiła w drugiej połowie września zeszłego roku? Dokładniej – dwudziestego trzeciego września zeszłego roku?

Spodziewała się odpowiedzi, że Kamila Kurek nie ma pojęcia, że sprawdzi, co w sumie byłoby naturalne.

– Wrzesień zeszłego roku... Miałam operację stopy. – Kamila Kurek po chwili subtelного zawahania wyrecytowała odpowiedź i symultanicznie wysunęła przed siebie lewą nogę. – Od zawsze miałam problemy z kręgosłupem. Niby coś tam było robione, jakieś korektywy i nawet zabiegi, i sanatorium, ale państwowo, to wiadomo

jak. Ciągłe mi się potem ten kręgosłup rzucał na różne miejsca, bo to jest powiązane – w jednym miejscu źle, to efekt wyskoczy i w innym. Teraz się z tym rozprawiam. Więc wtedy przyjechałam do matki, tu, do Pieczonek, a dwudziestego trzeciego właśnie miałam operację. W prywatnej klinice, w Suwałkach. Trzy dni tam spędziłam, a resztę miesiąca na rekonwalescencji u matki. To był ciężki wrzesień. – Westchnęła. – A dlaczego pani pyta? – dodała, jakby dopiero teraz sobie przypomniała, żeby się zdziwić.

„Alibi w punkt, gdyby potrzebowała”, myślała Wiera, wracając do Giżycka.

ROZDZIAŁ 24

2014, Jeziorowskie

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Dlaczego nie przyszło mu to do głowy? Dlaczego nie skojarzył faktów? Był wtedy roztrzęsiony, rozdygotany, zdziwiony – wszystko razem. Od tygodni, od miesięcy każdego dnia towarzyszył mu dygot, bo robił coś, co miało się skończyć mocnym finałem, który da mu wreszcie ukojenie. Im więcej czasu jednak mijało, tym większe miał wątpliwości – czy to rzeczywiście pozwoli mu w spokoju umrzeć?

Chciał jednak sam podjąć tę decyzję, a tutaj nagle – on zniknął. A wcześniej wysłał ten SMS z błędem.

– Przyszli do ciebie. – Remek czatował na nią przy wejściu do komendy.

– Kto?

Źle spała – z powodu obu wątków, które we śnie mieszały się dowolnie.

– Ci od Jeziorowskich. Stykowscy. Zjawili się jakieś dwadzieścia minut temu. Dziś wyjeżdżają, podpisywać umowę sprzedaży na dom. Chcieli jeszcze z tobą pogadać.

– Słyszę, że z tobą pogadali, bo sporo wiesz.

– No. Ona jest taka... władcza.

Może się jej zdawało, a może przez twarz Remka naprawdę przebiegł rozmarzony uśmiech.

– Gdzie są?

– Czekają pod twoim pokojem.

Stali oboje. Karolina Stykowska podeszła do niej pierwsza, Wiktor Stykowski za nią. Jak świta.

– Dzień dobry. Tak bez zapowiedzi, w sumie trochę ryzykowaliśmy, ale sprawa się wyklarowała wieczorem. To znaczy wieczorem się okazało, że podpisanie umowy przedwstępnej może być dzisiaj, no to na co czekać?... Wieczorem było za późno, żeby dzwonić, rano za wcześnie, więc tak po prostu, z drogi, tu wpadliśmy.

– Cóż. No to się cieszę, że się udało z tą sprzedażą. Pamiętam, że miała pani obawy.

Wiktor Stykowski po raz pierwszy wziął udział w rozmowie, to znaczy kiwnął głową.

– Nie doszacowałam społeczeństwa. – Stykowska się roześmiała.

– Raczej przeschacowałam – zaproponował delikatnie jej mąż.

– Bo?... – Ton nie był przyjazny, ale Stykowski mu nie uległ.

– Bo obawiałaś się, że historia tego włamania, a wcześniej zabójstwa, a jeszcze wcześniej losów Adama sprawi, że nikt nie będzie zainteresowany kupnem. Tymczasem właśnie to obudziło w ludziach ciekawość. Niezdrową.

– Ach! – Machnęła upierścionkowaną dłonią. – Mniejsza o większość, grunt, że jak wszystko dobrze pójdzie, to w ciągu dwóch miesięcy będziemy mieć problem z głowy. Z zyskiem. O ile oczywiście nie wydarzy się nic niespodziewanego. – Spojrzała znacząco na Wierę.

– Niespodziewanego? W sensie?

– Żona się obawia, że znowu może być jakieś włamanie. Albo inny akt, powiedzmy, wandalizmu. – Stykowski delikatnie wzruszył ramionami. Niby się dystansował od tej obawy, ale jednak nie do końca.

– „Żydowski majątek” – Karolina Stykowska nachyliła się w stronę Wierę i teatralnie ściszyła głos – działa na wyobraźnię. – Wyprostowała się. Odchrząknęła. – Maria Kobza, nasza sąsiadka, obiecała, że będzie patrzeć, ale klucze już oddała, wchodzić do domu nie chce, na działkę też nie. W sumie mnie to nie dziwi, przecież ja też już nie chcę tam mieszkać.

– Mnie jakoś żal, mimo wszystko. – Wiktor Stykowski znowu wzruszył ramionami.

– Kupimy coś nowego. Nad morzem. Zawsze chciałam mieć dom nad morzem.

– No to góralski nad jeziorem nie trafił w pani marzenia – stwierdziła Wiera.

Chciała, żeby sobie już poszli. Czekala ją rozmowa ze starym, musiała się do niej przygotować.

– No zupełnie. – Karolina Stykowska się roześmiała. – Tak... Więc ja bym miała prośbę, żeby może od czasu do czasu tam jakiś patrol się pojawił, tak po prostu przejechał. Sprawdzająco i odstraszająco.

– Cóż, stan kadrowy policji... – Teraz to Wiera wzruszyła ramionami.

– Wiem, wiem, ale może jakoś... A, mam coś dla pani.

Ta zbitka słowno-logiczna nie zabrzmiała dobrze. Czy ona ją zamierzała przekupić?...

Stykowska sięgnęła do dużej skórzanej torby.

– To. – Wyciągnęła rękę w kierunku Wiery.

W dłoni trzymała mały niebieski notes, trochę sfatygowany.

– Należał do Adama. Nawet podpisany. – Otworzyła go. Rzeczywiście, na pierwszej stronie stało „Adam Świątkowski”. – Adresy, telefony, w sumie tyle.

– A skąd go państwo macie?

– Był w domu. W schowku, na półce. Trzymamy w tej kanciapie odkurzacz, mop, szczotkę. Półek nie używamy wcale. Teraz robiliśmy taki szczegółowy obchód po domu, przedsprzedażowy. Wie pani, na takiej zasadzie, jak się z hotelu wyjeżdża – człowiek się schyli, pod łóżko zajrzy, za szafkę, czy mu kolczyk gdzieś nie zginął albo ładowarka do telefonu. No więc teraz tak było i – *voilà* – notes jest. Wsunęty pod samą ścianę, a tam skosy. Latarką świeciliśmy, to go zobaczyliśmy. Teraz byliśmy... dokładniejsi. – Karolina Stykowska spojrzała na męża.

Ten kiwnął głową.

– W sumie... – Wiera zaczęła kartkować notes. Nie było w nim nic ciekawego, tak na pierwszy rzut oka. Same nazwiska i telefony.

– Ja to myślałem o Tomku... – zaczął Stykowski.

– Ale on to bez szans. Dodzwonić się nie można było ani nic. W końcu odpisał. Że jest zamknięty.

– Zamknięty? – Nie zrozumiała Wiera.

– Na odwyku. Kolejnym. Cztery tygodnie. Alkohol i prochy.

– Zupełnie sobie nie radzi. – Stykowski westchnął.

– To już potem, jak on będzie chciał, to się odezwie. A teraz pani zostawiamy. – Stykowska zapięła zamek torby, ostatecznie podkreślając, że uznaje sprawę za

zakończoną. – A co do tej prośby, to... No naprawdę bylibyśmy wdzięczni. – Wyciągnęła rękę do Wiery i mocno uścisnęła jej dłoń.

*

– Odetchnąć górkim powietrzem to każdy by chciał, ale jakoś ci to głowy nie dotleniło, Jezierska. – Zbigniew Król był ewidentnie w złym nastroju. – Najpierw obcy, potem Żydzi, teraz jakieś kobiety, co to niby mają związek ze sprawą, ale za cholerę nie wiadomo jaki, bo logiki w tym brak.

– To nowy trop, panie komendancie. – Nie potrafiła obiektywnie ocenić, czy stary ma rację i ona jest po prostu beznadziejna, czy może trafiło się jej naprawdę coś trudnego. Kosoń od tygodnia był na urlopie, znowu, chyba wykorzystywał zaległe wolne od początku pracy w policji, wtedy jeszcze milicji. Przyzwan niby wspierająca, ale Wiera czuła przed nią respekt. I w sumie chciała się wykazać. Na opinii Króla zależało jej z powodów praktycznych, na opinii prokuratorki – z powodów ambicjonalnych.

– I to, że Nowy Targ nie radzi sobie lepiej, to żadne wytłumaczenie. Zresztą oni zaczęli później niż my. Znaczy ty. Za to przynajmniej są realistami.

Z tym musiała się zgodzić. Znowu pomyślała o Gazdzie.

– Masz tydzień, jeśli nic nie wystrzeli, po świętach przekazuję sprawę komuś innemu.

*

Siedziała przy biurku. Wpatrywała się w notes i notatki na luźnych kartkach rozłożonych na blacie. Słowa wyglądały jak setki małych, rozsypanych puzzli. Nie potrafiła ich zebrać. Czuła, że one, mimo początkowej nieprzystawalności, dałyby pełny obrazek, ale na razie były jak pozbawione wypustek – nic w nic nie wchodziło, nic do niczego pasowało. Kawałki niby okej, ale całości nie szło z nich ułożyć.

Nie potrafiła się skupić. Wracały do niej obrazy z Gazdą. „Głupia cipa jesteś”, mówiła sobie wtedy. Ostro, żeby się nie rozryczeć. I jeszcze ten tekst Przyzwan. Choć ostrzegała ją przecież, wtedy, kiedy Wiera do niej dzwoniła z Zakopanego. Ale Wiera musiała się nauczyć – zgodnie z teorią ojca prokuratorki – na własnych błędach. I to kolejny raz. Więc nie dość, że cipa, to jeszcze tępa. Zagryzła wargi.

Wzięła do ręki notes teleadresowy Stykowskiego seniora. Widać, że miał go od dawna, bo papier już zdążył pożółknąć. Kolejne imiona i nazwiska były wpisywane

różnymi długopisami. Nie było ich dużo. Nie ma się co dziwić, ten facet był outsiderem.

Kartkowała notes. Nic ciekawego. Kilka krakowskich adresów, te były najbardziej wypłowiałe. Ci ludzie pewnie już nie żyją, bo jak ktoś ma na imię Apolonia czy Wacław, to musiał się urodzić dawno temu.

Pod literą „c” zobaczyła: Grzegorz Chyc. Niebiesko wpisany, jeden z nowszych kontaktów.

Kartkowała dalej.

„H”. Tu też był Chyc, to znaczy Hyc, Grzegorz Hyc. Krój pisma był inny od tego, który dominował w całym notesie. „G” z dziwnym zawijasem. Chyca wpisał Świątkowski, tego była pewna.

A Hyca?...

ROZDZIAŁ 25

2014, Jeziorowskie

– Bardzo pani dziękuję. – Uśmiechnął się speszony. – Miałem to wpisane do telefonu, ale kupiłem nowy aparat i się nie przeniosło, a może to ja czegoś nie umiem?... A teraz gdzieś okulary zapodziałem...

– Na pewno się znajdują, jak będę sprzątała. O, nawet już teraz widzę, na kominku, pod zdjęciem.

– Rzeczywiście! Starość, starość... – Uśmiechnął się. Zdjął okulary z kamiennej półki i wsunął na nos. Otworzył notes tam, gdzie była założona postrzępiona już wstążeczka.

– No, to przecież nie tak się pisze – zamruczał do siebie.

Rozejrzał się – poszła sprzątać w kuchni, nie zauważy. Nie chciał robić jej przykrości i poprawiać po niej. Przekreślił kartki na literę „C”. Przepisał poprawnie nazwisko i numer.

– Halo? Bo przerywa... – Wiera podeszła do okna, ale bez efektu. Problem z zasięgiem ewidentnie był po drugiej stronie.

– Za... ..dę. – Mariusz Motyka coś mówił, ale było go strasznie kiepsko słycać. Szumy i trzaski.

– Wyjdę zaraz. Już, jestem. Teraz lepiej?

– Lepiej. Nawet bardzo dobrze.

– Nie wiem, z czego zrobili te ściany w nowym pawilonie, ale zasięgu praktycznie nie ma. Odcięci od świata jesteśmy. Więc, jak już ci powiedziałem, ten romantyczny

liścik był pisany krwią.

To usłyszała.

– Grupa krwi B Rh plus.

Tego się domyśliła.

– Kobięca.

A to ją zdumiało.

– Na pewno? – zapytała bezradnie.

– Na pewno. Chyba że to był facet z zespołem Klinefeltera.

– To znaczy?...

– Z dodatkowym chromosomem X. Czyli bardziej kobiecy – z wyglądu, zachowania i seksu.

Nie pasowało do Chyca, zupełnie.

– Dzięki, Mariusz.

Odłożyła telefon. Kobięca krew. To już się kompletnie nie kleiło, przecież to było pisane do kobiety, do tej Kier. Chyc był patriarchalnie zaborczy i, a może przede wszystkim, zaburzony. Mógłby skrobnąć do dziewczyny, wcześniej upuszczając sobie trochę krwi. Chyba że...

Znowu wzięła telefon do ręki. Przez chwilę się wahała i już prawie postanowiła, że wykorzysta drogę formalną, ale się rozmyśliła. Dlaczego ona ma unikać konfrontacji, skoro to on jest łajzą?

Odebrał po piątym sygnale.

– Dzień dobry. – Płaskie i rozwlekłe powitanie.

– Hej. – Też płaskie, ale przynajmniej była zwięzła. – Dzwonię w sprawie tego listu, kartki z inicjałami G.H. Czy nastąpiło już okazanie Sylwii Kier?

Gdyby była sprawniejsza językowo, lepiej by te bezosobowość i dystans pokazała.

– Ja... Nie, jeszcze nie. Sylwia Kier jest chora, ma zapalenie oskrzeli. W ciągu kilku dni się ponownie z nią skontaktuję.

„Może i ta jej kumpela mówiła prawdę”, pomyślała Wiera.

– Dziś przyszły wyniki badań substancji na tej kartce. To krew grupy B Rh plus. Kobięca.

– Kobięca?

– Tak. Jest prośba, żeby sprawdzić, jaką grupę krwi ma Sylwia Kier.

– Tak.

Czy on tak zawsze mówił, czy dopiero teraz? A może dopiero teraz Wiera to zauważyła?

– Czy jest podejrzenie – wpasował się w tę stylistykę – że ona go wrabia w te kartki? Że te wszystkie teksty o przemocy były kłamstwem?

– Nie. Jest przypuszczenie, że on był takim świrem albo taką łązą, że nie dość, że ją dręczył, to jeszcze używał do tego jej krwi. Hej.

Poczuła, że ręce się jej trzęsą. Wzięła kilka głębszych oddechów – pomogło.

Otworzyła notes Świątkowskiego na literze „H”. „G” w Grzegorzcu było charakterystyczne – zarówno duże, jak i małe. Raczej kobiece, jakby miała obstawiać. „G” na kartce pisanej krwią było zupełnie inne. Tylko jedna kobieta mogła mieć w ręku ten notes, Stykowskiej nie licząc.

*

– Nie ma Kamilki, pojechała do Suwałk, do lekarza. – Maria Kurek tym razem nie była zdziwiona. Może się przyzwyczaiła do wizyt Wiery? A może wszystkie obawy przykryła radość wynikająca z obecności córki? Choć w tej chwili to akurat była nieobecność. – Ona miała tam operację...

– W zeszłym roku – wtrąciła Wiera.

– No właśnie, widzę, że pani wie. – Zostało to docenione, zgodnie z planem. – Więc dziś ma wizytę kontrolną u tego ortopedy, który ją operował. Prywatnie, dlatego w sobotę. Nareszcie ją stać na takie dobre życie. Wcześniej... ech, no niech jej się przynajmniej ułoży. – Kobieta posmutniała. – Pani ma pewnie do niej numer? Jeśli nie, to ja podam, tylko muszę iść po telefon.

– Nie, nie będę jej przeszkadzała. Chciałam tylko coś sprawdzić. Ostatnim razem pokazywała mi pani różne pamiątki po córce – karteczki, pocztówki, laurki. Czy mogłabym je jeszcze raz zobaczyć?

– No, jeśli trzeba...

– Byłabym wdzięczna.

Znowu znalazła się w tym ponurym salonie. Maria Kurek podeszła do kredensu i wyciągnęła niebieskie pudełko.

– O, tu na przykład. „Najlepsze życzenia śle Kamila”. – Wyciągnęła w kierunku Wiery pocztówkę z różami.

Bez „g”, reszta liter nie była specjalnie charakterystyczna.

– Ładne. A coś jeszcze?

Kobieta nachyliła się nad pudełkiem.

– O, na przykład to. „Mamusi z okazji imienin – córeczka Kamila”.

W rękach Wiery wyładowała kartka z pluszowym misiem.

– „Najdroższej mamie – Kamila”.

Teraz zobaczyła gigantyczny, kolorowy bukiet; brzeg kartki dodatkowo posypano brokatem.

„Jezu. Czy litera «g» naprawdę tak rzadko występuje w polszczyźnie?”, pomyślała Wiera.

– O, i ta. Z Rabki. Tę to zresztą pani już widziała poprzednim razem. – Mimo to Kurkowa wyciągnęła do Wiery dłoń, w której trzymała kartkę z górskimi widoczkami.

Jezierska obróciła kartkę, przeczytała znany już sobie tekst i zwróciła ją gospodyni.

„Po co Kamila miałyby zabić Chyca?” To pytanie już pojawiało i nie było na nie żadnej sensownej odpowiedzi, a morderstwa zwykle są z sensem, znaczy z powodem. A nawet jeśli to by sensu nie miało, taki wyjątek od reguły, to Kurek nie mogła popełnić drugiego morderstwa – kiedy ginął Jaskóła, ona sobie operowała stopę w Suwałkach. A jednak była w to zamieszana, na pewno.

– Córczka była parę lat temu w Rabce. Na wiosnę, żeby odpocząć.

Może Kurkowa nie pamiętała, że już jej opowiedziała tę historię?

– Mogę? – Uśmiechnęła się i wskazała głową na niebieskie pudełko.

– Pewnie, proszę. – Kobieta przesunęła je po blacie w stronę Wiery.

Jezierska zaczęła przeglądać jego zawartość, a matka Kamili ciągnęła:

– I właśnie po tym wyjeździe Kamilce znowu zaczęło szwankować zdrowie. Wcześniej to jako tako, czasem kręgosłup ją bolał, ale przy takiej pracy, kiedy ciągle nachylona nad klientkami, to jakby miał nie boleć? No ale mogło być i tak, że te wszystkie zabiegi jednak nie do końca pomogły. Ćwierć wieku temu to były inne metody, zresztą zaangażowanie też inne – państwowo to tylko można się dać pochować, bo człowiekowi na niczym już nie zależy...

„Mamo, ślę całusy”. „Dla mamy w dniu święta z pamięcią”. „Kocham Cię”.

„Może to «ch» podobne?” Wiera wyciągnęła notes Świątkowskiego.

– A wtedy to sobie Kamilka pojechała po prostu odpocząć, troszkę pochodzić po

górach, ale nie tak, żeby się zmęczyć, zresztą tam nie jest wysoko. Nawet się trochę dziwiłam, że jedzie sama, ale mówiła, że tak jej dobrze, w końcu po zdrowie się wybiera. No i tak się wybrała, że niedługo potem z nogą się popsowało... No, ale wracając do tematu, to kiedy jeszcze potem ją podpytywałam, to się okazało, że w sumie nie była tam tak do końca samotna...

„Rabka nie tak daleko. Może jednak znała Chyca wcześniej?”, Wiera na chwilę się oderwała od swojej grzebaniny.

– O, a to co?... – Kurkowa zmieniła ton.

Jezierska zauważyła, że gospodyni patrzy na notes Świątkowskiego.

– To chyba Kamilki pismo, ona ma takie śmieszne „g” z zawijasem.

Wiera poczuła miły dreszcz. Więc jednak. Zaczynało się składać.

– No, a jeszcze co do tej historii z Rabki, to ja też myślałam, że Kamilka z jakimś chłopakiem tam była. I by mogła, przecież już była dorosła, ale to naprawdę była dziewczyna.

„Dziewczyna”, powtórzyła Wiera w myślach.

– Koleżanka z dawnych lat, z którą się Kamilka znała z sanatorium właśnie. I po tylu latach się spotkały. Znaczą wcześniej też miały kontakt, nawet karteczki do siebie słały, pokazałabym, ale Kamilka zabrała ze sobą do Rzeszowa. Potem to zdaje się uciхло, no tak to się dzieje z dziecięcymi znajomościami, ale teraz się spotkały, po tylu latach. Taki przypadek. Z tą Mariolą z Rzeszowa też w sumie przypadek. A może los czuwał, bo...

Wiera znowu poczuła dreszcz. Silniejszy.

– Z koleżanką się widziała w Rabce? – upewniła się.

– Naprawdę. – Kurkowa przyłożyła rękę do serca. – Po co by miała kłamać?

– A jak ta koleżanka ma na imię? – Wiera czuła narastającą ekscytację.

– Och, mój Boże, no zupełnie mi wyleciało z pamięci... Widzi pani, jak to jest ze starymi. Pamiętam tylko, że ta dziewczyna była z...

– Z Nowego Targu – dokończyła za nią Wiera.

Kurkowa pokiwała głową.

„Tandem”, pomyślała Wiera. „O taki tandem chodziło”.

ROZDZIAŁ 26

2014, Jeziorowskie

„Kto nienawidzi, musi wykopać dwa groby”.

Nie mógł się uwolnić od tego zdania.

Ostatnio czuł się gorzej – znowu mu kręgosłup szwankował, wróciły migreny. Lekarz go skierował na rehabilitację. Stwierdził, że to z powodu zbyt forsownego trybu życia, a przecież on sam właściwie nic takiego nie robił. Fizycznie to tych dwoje pracowało, on nawet nadzorować nie musiał.

Kursował dużo autem, fakt, ale tu się siedzi, więc i to nie przyczyna.

„Dwa groby”.

Rozumiał to powiedzenie, ale on i tak już stał nad swoim grobem. No i czy to by miało sens, że tyle miesięcy przygotowań, a teraz – koniec. Już nic.

A może właśnie do tego musiało go to doprowadzić? Może już żadnych, znieścacka kopanych grobów być nie powinno?...

– Mogły się znać, to zresztą do łatwego sprawdzenia, ale co dalej? – Przyzwan patrzyła na Wierę. – Matko, chyba dopiero hodują tę świnie. – Teraz się odwróciła w stronę okienka, w którym pojawiały się posiłki. Żeberek nie było widać. Ani czuć.

Wiera zadzwoniła do prokuratorki zaraz po wyjściu od Marii Kurek. Dość chaotycznie i emocjonalnie przekazała informację, że wreszcie chyba złapała wiatr w żagle. I zapytała, czy by się mogły spotkać. Przyzwan przytaknęła, że okej. Tyle że nie na komendzie, bo ma kawałek do Giżycka. „W Węgorzewie jestem”, powiedziała. Wiera zapytała, dość automatycznie, czy to ma związek z Jaskółą. „Nie, zębów też nie

leczyć. Życie prywatne, pani sierżant. Niesplątane”. Wierę zakłuło, choć czuła, że to był żart, tyle że dość podły, jak to u prokuratorce. Stało na tym, że spotkają się w Balladynie.

– Nie wiem, ale jest dużo punktów wspólnych. Za dużo, żeby to mógł być przypadek. – Wiera wciąż była podekscytowana. – Chyc ginie na Mazurach, niedaleko Pieczonek, gdzie mieszka Kamila Kurek. Jaskółka – w Nowym Targu, kilka kilometrów od domu Sylwii Kier. Obie się znają, i to od dawna. Spotkały się trzy lata temu, „kiedy jeszcze wszyscy żyli”. Kurek znała Chycę i Jaskółkę. Kier – tylko Chycę, choć jej kontaktów z Jaskółką nie sprawdzaliśmy. Nie, to nie może być przypadek.

Przyzwan pokiwała głową.

– No dobra – powiedziała powoli – wreszcie coś się klei. Jakkolwiek. Pytanie podstawowe...

– O powód... – Wiera lekko się usztywniła. To był najsłabszy punkt tej układanki.

– Na razie o alibi. – Przyzwan znowu się odwróciła w stronę okienka. – Kurde, jestem już naprawdę głodna. Narobiłaś mi smaku, opowiadając o tych żeberkach.

„Polecanka kulinarna zamordowanego”, pomyślała Wiera. Przyzwan nie przestawała jej zadziwiać.

– O, wreszcie! – W stronę ich stolika zbliżała się dziewczyna zza baru.

– Trochę trwało, ale zapewniam, że warto było czekać. – Postawiła przed Przyzwanem talerz z parującymi ziemniakami i gigantyczną porcją żeberek zanurzonych w brązowym sosie. Wiera dostała herbatę z syropem malinowym. Ochota na mięso, od czasu wpadki z Gazdą, jej przeszła.

– Więc Kier, wtedy Buczek, ma alibi na czas śmierci Chycy. A Kurek – na czas śmierci Jaskółki. Te alibi są pewne, niepodważalne, nie ma się do czego przyczepić. W przypadku Kurek dowód, że nie mogła być na miejscu zbrodni, aż w oczy wali. Co więcej, ona doskonale pamiętała termin tej operacji. Co do dnia, jakby była przygotowana na takie pytanie.

Maria Przyzwan oddzieliła kawałek mięsa od kości. Włożyła do ust.

– Rany... – Westchnęła po chwili. – Znakomite. Idealne. Dałabym się za nie zabić. *À propos*. O ewentualnych motywach wiemy tyle, że Kier chciała się pozbyć Chycy od dawna, ale nie potrafiła tego zrobić. Zeznania innych wskazują, że miała solidny powód do tej niechęci, bo Chyc był agresywny i szurnięty. Wiele lat tkwiła w toksycznej relacji. I nic. Co nie znaczy, że nie mogła w końcu wybuchnąć...

Boskie, po prostu boskie... – Prokuratorka przymknęła oczy, przełykając kolejną porcję żeberek.

– Mogła. W teorii. Praktyka to wyklucza.

– Właśnie. No dobra, teraz mamy tę drugą, Kurek. Psychologicznie to zupełnie inny typ. Wychowywana przez matkę, w biedzie, ale bez przemocy. Ojca nie ma?

Wiera pokręciła głową.

– Od dawna. Zginął w wypadku samochodowym wiele lat temu.

– Jakoś sobie układały życie, znaczy dziewczyna, bo matka jak przyspawana do tego miejsca, ale córka – wyfrunęła. I to w jakim stylu – żadne płaskie fajtnięcie z gniazda grożące połamaniem skrzydeł, tylko płynny lot ku słońcu. Nadspodziewanie dobrze.

– Dwa lata jej zajęło przejście, znaczy przelot, od pomocnicy w salonie kosmetycznym do właścicielki zakładu. Dużego. Anto... Nowy Targ przekazał informacje, które o niej zebrał. „Kleopatra” to spory zakład kosmetyczny w dobrym punkcie miasta. Na urządzenie takiego salonu potrzeba kilkuset tysięcy. Nie ma wspólników.

– Ciekawe... Może jednak skorzystała z oferty Jaskóły? Albo sama sobie zorganizowała taki warsztat pracy?

– Nie, chyba nie. Ona mi się wydaje śliska, gładka, w jej odpowiedziach było dużo gry aktorskiej, ale o Jaskóle się wypowiadała z urazą. I o tej pracy też.

– No to może w drugą stronę – jednak skorzystała z jego oferty, bo nie miała wyboru?... Aż do momentu, kiedy wybór się pojawił, bo Jaskóła zniknął. A ona się uwolniła. Tu jest też prawdopodobny wątek kasy, bo Jaskóła pieniędzy na koncie nie trzymał, a biedny, zdaje się, nie był.

– Ale ona nie mogła go zabić.

– Zagadki tego świata. Trzeba je obie ponownie przesłuchać. Wziąć w krzyżowy ogień pytań...

„Krzyżowy”.

– Kurde! – Wiera aż się poderwała z krzesła.

Wreszcie zrozumiała. Tego wyrazu potrzebowała, żeby prawda do niej dotarła. „Tandem” miała od początku, narzucał się przecież w sposób automatyczny – facet pochowany z rowerem, dziwaczna sprawa. Potem ją zmyliły te żydowskie wątki, zresztą sama się ich chętnie uchwyciła, nie tylko dlatego, że nie miała nic innego. Ten

trop „obcego” był taki, jak to Kosoń mówi, „pokuśny”. No a potem Jaskóła, i znowu rower. Kolejny tandem, i to na dokładkę podwójny. Potem ten rower wypadł, bo chyba jednak był przypadkowy, ale trop został ustalony – wspólny, równoległy. Tymczasem nie był równoległy – był na krzyż.

Usiadła. Znowu wstała.

– Kurde, pani prokurator, przecież to jest to! Na krzyż, znaczy morderstwo krzyżowe.

Prokuratorka na chwilę odłożyła sztucce. Też na krzyż.

– Żeby jednak to było do obronienia, trzeba znaleźć dowody.

– One się znają od lat. Matka nawet mówiła, że sobie wysyłały pocztówki po tym wspólnym turnusie w Rabce. Chyba wspólnych turnusach, bo były tam więcej niż raz. Potem ich drogi się rozeszły, a może matce się tak tylko wydawało... Aż wreszcie się spotkały – w dwa tysiące czternastym.

– Kiedy wszyscy jeszcze...

– ...żyli.

– Żyli. Trzeba się dowiedzieć, z czyjej inicjatywy. W tym czasie obie miały obok siebie niewłaściwych facetów.

– Jaskóła, zdaje się, dopiero zaczynał znajomość z Kurek.

Wiera kiwnęła głową.

– Chyc zginął bardzo szybko, Jaskóła pięć lat później. To by znaczyło, że inicjatorką była Kier, wtedy Buczek. Sama może nie potrafiła, nie dałaby rady, więc...

– Może. Ale dlaczego Kurek się zgodziła? To wyjątkowa „przysługa”. – Prokuratorka znowu wzięła sztucce do ręki.

– Musi być coś jeszcze. No dobra, pani prokurator, to ja bym już się zmyła, trzeba działać.

– Zmyj się. Tylko ochłoń. Śledczy muszą być jak najlepsi mordercy – racjonalni i opanowani.

*

Jezierska próbowała wcielić w życie sugestię Marii Przyzwan, ale jej myśli wciąż się kręciły wokół gęsto i niechlujnie zapisanego notesu. Miejsca, w których stawiała „X”, jakby intuicja chwilę wcześniej wyłapała to, co jej się wymykało. Nie wychwyciła

tego. Była zmęczona, wkurwiona na Gazdę (trochę się też nad sobą poużalała z jego powodu) i zestresowana ultimatum Króla. Tak, to ostatnie ją najbardziej dobijało. Może byli tacy, których stres motywował, ale Wierę rozkładał na łopatki. Do Giżycka dojechała jak na autopilocie, słabo rejestrując trasę.

Wpadła na komendę, na korytarzu mijając Remigiusza Staronia.

– O, Wiera, posłuchaj... – zaczął.

– Nie teraz, Remek, mam coś ważnego. Stary jest u siebie?

– Jest, chyba od rana. Okej, ale ja tylko chciałem ci powiedzieć, że...

– No i powiesz, ale za jakieś pół godziny. Na razie. – Minęła go i energicznym krokiem poszła w kierunku schodów.

*

– Delegację chcesz. Do Nowego Targu – powtórzył Zbigniew Król.

Kiwnęła głową.

– Dziś Wielki Poniedziałek. Jutro Wielki Wtorek i tak, po pięciu dniach, dobijemy do Wielkiej Soboty. Firanki uprane, śledzie się macerują, jeszcze jakoś się życie toczy. Potem dwa święte dni, tylko na chwałę Najwyższego, i we wtorek wracamy do ziemskiego życia. Wtedy przyjdzie czas rozliczeń. Ostatecznych.

„Jezu, czy on już zaczął świętować?”, pomyślała.

Komendant był w dziwnym nastroju – między podniosłością a podpieniem.

– Rozumiem. Pamiętam naszą poprzednią rozmowę. Ja naprawdę wiem, znaczy mam solidne podstawy, żeby podejrzewać, kto zabił Grzegorza Chyca. I Zenona Jaskółę.

Przedstawiła mu swoją teorię.

– Ciekawe... Nie równoległe, a na krzyż. Was jednak ciągnie do krzyża, Jezierska, podświadomie. No. A równoległy Nowy Targ już wie o tej koncepcji?

– Dowie się.

– Dowie się... No, jak się dowie, to sobie przesłucha podejrzaną, a ty tu – drugą.

– Ale, panie komendancie, ja bym chciała być obecna przy tym przesłuchaniu. Tu, na miejscu, Kamilę Kurek przesłucha komisarz Kosoń, on...

– On właśnie wrócił z urlopu. Jest wdrożony? Bo on sam to się oddraża, że tak to ujmę.

– Jest. Znaczy będzie. Wszystkie materiały mu przekażę, zresztą będziemy

w kontakcie. – Chyba zaczynała wpadać w błagalno-desperacki ton. Niedobrze. Wyprostowała się i postarała o obojętny wyraz twarzy.

– W porządku, Jezierska, możesz jechać. Cztery dni robocze przed tobą.

Wstała i kiwnęła głową.

– Ale pamiętaj – Król też się podniósł z krzesła – że w ważnych sprawach policjant jest jak saper. Myli się raz, rozumiesz?

Kiwnęła głową. Bomba i tak wybuchnie. Morderstwo krzyżowe to bardzo rzadka sprawa.

*

– Wiera, dobrze, że cię widzę, bo...

– O, Remek. – Wciąż jeszcze trochę nią telepało, jak zwykle po rozmowie z komendantem.

– Więc co do tej sprawy, którą mam do ciebie, to jest związana z prośbą, którą wysłałem do IPN-u, wiesz, zapytanie o Świątkowskiego.

– Wiem, dzięki Remek. Teraz to mniej pilne. – Nie chciała mu robić przykrości, bo to był miły, pomocny chłopak, mimo swoich wad. To, do czego Remek się przyłożył, zrobiło się całkiem niepilne, a może nawet zupełnie niepotrzebne, ale on nie musi o tym wiedzieć.

– No, to w sumie dobrze. Bo oni zadzwonili dziś, do mnie, bo swój numer im zostawiłem.

– W porządku. Słuchaj, mam teraz pilne sprawy, bo jutro rano jadę do Nowego Targu, a jeszcze mnie czeka długa nasiadówka z komisarzem Kosoniem, więc...

– Okej, okej. Tylko ci chciałem powiedzieć, że odpowiedź się opóźni, bo ktoś pożyczył te akta czy coś w tym stylu, więc przez kilka dni nie było do nich wglądu. Jutro będę miał odpowiedź, znaczy to, o co pytałaś. Prosiłaś znaczy, te wszystkie informacje.

– Gites, poczekamy, a teraz... – Ułożyła dłonie w kształt litery „T”. – *Time*, znaczy czas. Czas mnie nagli, Remek.

– A ja się zapytałem, w sumie nawet nie wiem dlaczego, może dlatego, że bardzo miła dziewczyna zadzwoniła, więc zapytałem ją, czy często ktoś do tych akt zagląda. Na co ona, że może przesłać listę tych, co prosili o wgląd. I wysłała. I to jest ta lista. W sumie niezbyt długa. – Posterunkowy Remigiusz Staroń nabrał artykulacyjnego

przyspieszenia. – Zobacz, Wiera, kto jest tam w środku. Markerem na różowo
zakreśliłem – dokończył.

Spojrzała na wydruk.

Adam Świątkowski.

ROZDZIAŁ 27

2019, Nowy Targ

„Mogą się śmiać”, pomyślała, wpatrując się w obrazek Świętej Rity, patronki spokoju w rodzinie i spraw beznadziejnych.

Ona wierzyła w takie wstawiennictwa. Działy, jeśli ktoś był żarliwy i uczciwy.

Ona była.

On też był.

Jakie mieli szczęście, że na siebie trafili – swój na swego.

Wszystko przeszło, minęło, odpuściło. Ucichło. Po prostu się rozpląnęło – Święta Rita na pewno ma w tym swój udział.

Już nic jej nie grozi, już teraz będzie dobrze.

– Adam Świątkowski znał prawdę o zabiciu swojego ojca. Wiedział, że Samuel Aronowicz zginął zamordowany w maju czterdziestego piątego roku w Nowym Targu. W tym artykule było napisane, że sprawcy pozostali nieznani. Ale to tylko artykuł, w dodatku sprzed lat. Kolejne kwerendy mogły przynieść nowe informacje. Cokolwiek było w tych dokumentach, Adam Świątkowski znał ich treść. Jeśli tam jest nazwisko Chyc...

– To co? Nie da się dwa razy zabić tej samej osoby. Czasem żal. – Janusz Kosoń ze spokojem wysłuchał długiego, trochę emocjonalnego i trochę chaotycznego wywodu Wiery na temat aktualnego stanu sprawy w Jeziorowskich.

„On się chyba naprawdę odraża”, pomyślała. Komisarz był ewidentnie wypoczęty, trochę jakby się wygładził, wypogodniał. I zlewał wszystko.

– Wersja o morderstwie krzyżowym jest bardzo ciekawa i w tym przypadku przekonująca – tak ją przynajmniej przedstawiałaś. Jesteś przekonana, że to Kurek zabił Chyca?

Trzy godziny temu była. Cały swój lichej majątek by na to postawiła. Teraz... Teraz też w sumie była.

– Taak – powiedziała. O jedno „a” za dużo. – Nie w tym rzecz.

– No to w czym?

– Że to mi nie da spokoju. Jutro będę wiedzieć, ale to mi nie da spokoju. Nie przesądzi sprawy. No, może jeśli nie będzie tam nazwiska Chyca... Ale jeżeli będzie?

– To będzie znaczyło, że Adam Świątkowski wiedział. I tyle.

– Ale czy planował coś w związku z Chycem? Czy zamierzał go zabić, tylko go Kurek ubiegła? Chciałabym wiedzieć.

– To ładnie o tobie świadczy. Leonardo da Vinci twierdził, że wiedzy pragną ludzie, którzy są z natury dobrzy.

– Szefie...

– No dobra, już nie żartuję. W sumie jednak to niezły obrót sprawy – pierwszy trop, za którym poszłaś, miał swoje solidne podglebie. Dla końcowego rozwiązania sprawy nie ma znaczenia, ale możesz być z siebie zadowolona. Masz intuicję.

– A może Świątkowski jednak się jakoś z tym wiąże? Może on i Kurek?... – Głośno myślała. – Nie, jednak nie. Jeśliby to był on, to sam, nie dzieliliby się tym z nikim. Nie oddałby sprawiedliwości w niczyje ręce.

Kosoń kiwnął głową.

– Zostaw. Na razie zostaw. Musisz się przyzwyczaić, że są takie sprawy, które mają drugie dno. Nieoczywiste tło. Że będą cię prześladowały latami. Że zostaną formalnie rozwiązane, a ty się będziesz zastanawiała w ponure listopadowe noce, jakie były intencje ludzi, co się wydarzyło celowo, a co przypadkiem. Teraz się skupmy na bieżących ustaleniach. Pokaż i powiedz o wszystkim, co masz. Od tego krzyżowego przesłuchania sporo zależy, bo na razie dowodów brak.

*

– Kurwa! – zakląła pod nosem. W ostatniej chwili wyhamowała i cudem nie wjechała w eleganckie auto na rosyjskich numerach.

Była cholernie zmęczona. W nocy nie mogła spać. Krótko trwało jej niezmacone,

przyjemne podniecenie nowym, tym razem na pewno już trafnym, jak się jej wydawało, tropem. Morderstwo krzyżowe. Kurwa, to było coś! Poplątane, zaciemnione: rowerami, włamaniem, odstępstwem czasowym, historyczną dłubaniną. Chwila chwały podczas rozmowy z Przyzwan, niezłomność w gabinecie komendanta. I...

– I chuj – mruknęła, gdy światła zmieniły się na zielone.

Zrobiło się jej niedobrze. Trzeba było nie jeść w maku, ale jaki miała wybór? Od Warszawy do Krakowa nie ma nic, tylko ten mak. Za Warszawą jeszcze coś, ale też takie śmieciowe żarcie. Ktoś chyba komuś posmarował, żeby tylko taka gastronomia była na autostradzie. I jeszcze ten koleś, który z dziesięć razy do niej podchodził, pytając, czy wszystko okej. Menedżer zadowolenia klienta czy jakoś tak.

Minęła Myślenice.

Wczorajszy dzień ją wykończył.

Przyzwan, Król, Kosoń. W przerwie rozmowa z Antonim Gazdą. Konkretna, rzeczowa. Był zdziwiony hipotezą, to znaczy nie samą hipotezą, a tym, że to Wiera na nią wpadła. Chyba się do niej przychylił, w każdym razie współpracował bez problemu. Żadne z nich nie poruszyło tematu ich krótkiego i wiarolomnego romansu. Wiera swoją lekcję głupoty i naiwności odrobiła, a Gazda – jego portki, jego sprawa.

Znowu była piękna pogoda. Błękit i słońce. Zakopianka jeszcze niezapchana, ruch się pewnie zacznie od czwartku.

Rabka. Rzeczywiście, jak się teraz przyjrzała, zobaczyła, że ta miejscowość leży w dole, w takiej niecce. Zimą cały kominowy smog się tam zbiera.

Skreśliła w prawo. Widok z nowo wybudowanego wiaduktu zapierał dech w piersiach. Fakt, było coś w tych górach.

*

– Hej. – To „hej” znowu było anemiczne i oklapnięte.

„Może jednak ma wyrzuty sumienia?”, pomyślała. A może brał ją na litość? Nic jej to nie obchodziło, a przynajmniej właśnie to próbowała sobie wmówić.

– Hej. – Twarde, dźwięczne „h”. W czasie, gdy jeszcze sądziła, że mają jakąś wspólną przyszłość, poczytała trochę o Podhalu. O języku i gwarze też. Że oni tu mówią tak, że z artykulacji da się ortografię wyprowadzić. Bo samo „h” jest u górali dźwięczne, na przykład w wyrazie herbata, a „ch” – jest bezdźwięczne. Więc tu w „chuju” nikt nie powinien byka strzelić.

Znowu czekał na nią przed komendą, mimo że tym razem go nie informowała z trasy, że jest już blisko.

– Jedziemy? – zapytała.

Kiwnął głową.

Nie uprzedził Sylwii Kier o ich wizycie. Zapowiedział, że poprosi ją o pewne wyjaśnienia w sprawie Chyca, kiedy ona już się wyleczy z tego zapalenia oskrzeli. O Jaskółe nie wspominał. Ani tym bardziej o tym, że będzie mu towarzyszyła Wiera Jezierska.

Podjechali jej autem. Nie znała tej części Nowego Targu. Całkiem miła okolica z niską, jednorodziną zabudową. Tu gdzieś niedaleko mieszka ta koleżanka Sylwii z pracy. Tutaj przychodził Grzegorz Chyc, choć budynek na pewno wyglądał wtedy inaczej – teraz był odnowiony, ocieplony, pogodnie żółty.

Gazda nacisnął klamkę furtki – była otwarta. Przeszli wąską ścieżką pod terakotowe schody. Dzwonka nie było, więc Wiera zapukała w drewniane drzwi.

W mieszkaniu rozległo się jakieś szuranie, któremu towarzyszył dziecięcy głos. Drzwi się otworzyły i stanął w nich misiowaty mężczyzna – w dresie, wytartych na palcach skarpetkach, bez kapci i z uwieszoną u boku dziewczynką. Jezierska rozpoznała oboje – widziała ich w tym szmateksie.

– Dzień dobry, komisarz Antoni Gazda i sierżant Wiera Jezierska. Żona jest? – zapytał Gazda, na wpół oficjalnie, na wpół formalnie.

– Jest – odpowiedział Krzysztof Kier. – Ale wciąż się nie najlepiej czuje. Niby temperatury nie ma, ale jest słaba.

– Spokojnie, to czysta formalność. – Gazda był gładki, żaden mięsień mu nie drgnął.

„Praktyk”, pomyślała Wiera.

– Dobrze... – Gospodarz jakby się jeszcze wahał, ale nie chciał przeciągać tej rozmowy. – Sylwunia odpoczywa w salonie. Leży sobie na kanapie. Proszę.

Poszli za nim. Dziewczynka trzymała ojca za rękę i co jakiś czas oglądała się na gości. Była ładna – delikatna, ciemnowłosa, ciemnooka, podobna do matki. Wierę coś ścisnęło w środku. Zrobiło się jej żal tej małej. Małe dziewczynki potrzebują matek. Zresztą starsze też ich potrzebują.

– Kochanie, masz... gości.

Sylwia Kier rzeczywiście polegiwała na kanapie. Była przykryta kocem, na

dywanie leżały jakieś kolorowe gazety.

Na widok Wiery i Gazdy podniosła się.

– Dzień dobry. – Głos jej lekko zadrżał. Zakaszła.

– Mówiłem, że... – zaczął jej mąż.

– Tylko jedno pytanie. – Wiera przejęła inicjatywę.

Gazda spojrzął na nią, ale nic nie powiedział.

Uspokojony Krzysztof Kier się wycofał, zabierając ze sobą małą. Sylwia Kier chyba też się odprężyła.

– Proszę. – Gestem zaprosiła ich do salonu. Wstała, złożyła koc. Znowu usiadła. – Proszę – powtórzyła, wskazując dwa fotele.

Gazda usiadł. Wiera stała.

– To jakie to pytanie? – Kier uśmiechnęła się delikatnie.

– Czy zabiła pani Zenona Jaskółę? – zapytała Wiera.

*

– Miałam zabić Zenona Jaskółę, ale nie zabiłam. – Sylwia Kier siedziała na brzegu krzesła i wyłamywała sobie chude palce. Wiera i Gazda siedzieli po drugiej stronie stołu w pokoju przesłuchań nowotarskiej komendy.

Sprawy potoczyły się dość nieoczekiwanie, choć w sumie gdyby się nad tym zastanowić... „Teraz się zatnie. Albo zacznie kręcić”, stwierdził Gazda, gdy czekali, aż Sylwia Kier się ubierze. Wiera wzruszyła ramionami. Według niej prośba Kier, żeby „nie tu”, znaczy nie w domu, była wstępem do przyznania się. Dostali jednak przyznanie się do „niezabicia”.

– Nie zabiłam Zenona Jaskóły. Przysięgam. – Teraz zacisnęła dłonie w pięści. W oczach miała łzy.

Ocenić, czy podejrzany kłamie... Do tego nie wystarczy wiedza teoretyczna, potrzebne są też doświadczenie, intuicja, praktyczna znajomość ludzkiej psychiki. Pierwszy składnik Wiera odrobiła, w Szczytnie się przykładała. Doświadczenie musiała nabyć, a co do przeczucia... Poprawiła się na krześle. Poczowała nieprzyjemne ukłucie. A jeśli to naprawdę nie ona?...

– Miałam go zabić, ale tego nie zrobiłam. Nie zrobiłam. – Sylwia Kier się rozplakała.

Wiera wyciągnęła z kieszeni paczkę chusteczek i podała jej. Kobieta drżącymi

palcami wyciągnęła jedną, wytarła twarz i wydmuchała nos. Zmięła wilgotny papier i lekko się uniosła, żeby go włożyć do kieszeni dzinsów.

– Poznałam Grzegorza Chyca, gdy miałam czternaście lat. – Mówiła w podłogę, nie podnosząc głowy. – Rodzice już wtedy nie żyli, zajmowała się mną babcia, ale ona sama zaczynała się już robić jak dziecko. Wcześniej były jakieś oznaki, ale zbyt delikatne, żeby podejrzewać chorobę, raczej można to było uznać za dziwactwa. Zmienne nastroje, zbyt zainteresowanie jakimś tematem i zupełny brak zainteresowania innymi sprawami, zwłaszcza takim z życia codziennego. Teraz widzę, że ona się przenosiła do swojego świata, zanim się przeniosła do tego innego. – Kobieta podniosła głowę i spojrzała w sufit. – Więc było tak, że babcia miała się mną zająć, a sama potrzebowała pomocy. Demencja, zaburzenia nastroju i pamięci, teraz to umiem nazwać, wtedy tylko się bałam, bo mi grunt spod stóp uciekł. Zjawił się Grzesiek, znaczy Grzegorz Chyc.

– O Jaskółe mamy rozmawiać – wtrącił Gazda.

– To się łączy, bo to od tego się zaczęło. – Spojrzała na Jezierską.

Sierżant kiwnęła głową.

Kobieta wróciła do przerwanej wątku:

– Coś nam się zepsuło w domu, elektryka, nie było prądu. Babka bezradna, ja wzięłam jakąś gazetę i szukałam ogłoszeń. „Złota rączka” i telefon. Zadzwoniłam, przyjechał. Na początku wydał mi się trochę niemiły, bo był małowówny i narzekał, że w naszym domu wszystko do generalnego remontu zamiast takiego łatania, ale zrobił, co trzeba. Babka go obsiadła, kiedy pracował, i zaczęła gadać. Taką akurat miała wtedy fazę – aktywności. Wszystko mu powiedziała o naszej sytuacji. I on zmienił nastawienie. Milszy się zrobił, zainteresowany. I mało pieniędzy wziął. Następnego dnia, kiedy wracałam ze szkoły, zobaczyłam go na naszej uliczce. Jakby czekał. On się zaśmiał, że to przypadek. Wówczas mu uwierzyłam, potem zrozumiałam, że on to sobie zaplanował... Zapytał, jak ten prąd, czy wszystko działa. Działo. No to on, że coś tam jeszcze zauważył, że poprawi. Powiedziałam, że nie stać nas, on odparł, że nie szkodzi, to za darmo, do tamtej usługi, a w ogóle to ludzie muszą sobie pomagać. I tak się to potoczyło. Zaczął się regularnie pojawiać, coś tam zrobił, coś naprawił, zjadł z nami obiad. To nie było nachalne, a ja wreszcie się poczułam zaopiekowana. Dobrze mi było z myślą, że ktoś dorosły się troszczy, że jest ktoś oprócz babki, która już całkiem się obsunęła. Skończyłam gimnazjum, poszłam do liceum. Kiedy byłam w drugiej klasie, babka umarła. My już wtedy... wtedy już

byliśmy parą. Namówił mnie na seks, kiedy zaczynałam liceum. On naprawdę był zmyślny... Tak to wszystko przeprowadził, że ja się od niego uzależniłam, bo przecież tyle mu zawdzięczałam. Ten seks też był elementem odwzięczania się. Po pogrzebie babki Grzesiek się zaczął zmieniać. Był mniej miły, mniej cierpliwy, bardziej wymagający. W każdym aspekcie, a zwłaszcza... – Podniosła głowę spojrzała Wierze w oczy i znowu zaczęła się wpatrywać w czubki swoich butów. – Poznałam jego matkę, bo mnie jej przedstawił. Byliśmy u niej na obiedzie. Dziwna sytuacja, bo ona była smutna, mało rozmowna. Kiedy wychodziłam, to się rozplakała. On to tłumaczył, że z żalu, że syna traci, a teraz to ja wiem, że ten żal był nade mną, bo ona go dobrze znała. Zaczęło się jeszcze gorzej. Awantury, szarpanie, zmuszanie do seksu. Następnym razem – do rany przyłoż, że jestem tą jedyną, tylko muszę się bardziej starać i go nie denerwować. Starałam się. W klasie maturalnej, po balu, wyszedł ze mną kolega. Podobałam mu się. On mnie też. Odprowadził mnie prawie pod dom, do rogu, dalej nie chciałam. Jeszcze postaliśmy i porozmawialiśmy, i on mnie pocałował na pożegnanie. Tak delikatnie, czule. Weszłam do domu i świat pociemniał, bo dostałam od Grzeška w twarz. „Puszczasz się, niewdzięcznico”, wrzasnął. Może widział, może nas śledził, a może sobie to ubzdurał. Wtedy się zaczęły te listy.

Wiera się poruszyła. Wzięła do ręki telefon, kilka razy kliknęła w ekran i podsunęła Sylwii Kier zdjęcie kartki, którą ktoś jej wetknął za wycieraczkę.

– Tak... ten też, jeden z wielu... Skąd?... – Spojrzała na Wierę.

– A to nie pani podrzuciła mi ten list?

Kier spojrzała na nią zdumiona.

– Ja? Pani? Nie, po co miałabym to robić?

– Żeby wreszcie uwolnić sumienie. Żeby ta sprawa się wydała, żeby się skończył strach.

– Co pani wie o strachu i sumieniu... – Sylwia Kier patrzyła jej w oczy. Wiera wytrzymała to spojrzenie. – Ale nie, to nie ja podrzuciłam tę kartkę.

– Więc kto?

– Może Kaśka, żona Tadka?...

O tym Wiera nie pomyślała, źle obstawiła.

– A ona wiedziała?

– Wiedziała. W końcu jej powiedziałam.

– I?...

– Nie było żadnego „i”. Ona mi uwierzyła, zresztą nie lubiła Grzeška. Tadek, jego brat, też go nie lubił. Nikt go chyba nie lubił, może ci, co go lepiej nie znali. Ja jej zostawiłam kartkę, może właśnie tę.

– Po co?

Sylwia wzruszyła ramionami.

– Jako dowód pokazałam. Chyba tylko jej ufałam. Bratowa Grzeška, taka jakby trochę siostra. Starsza, oschła, ale wydawało się, że mnie lubi. Rozumie. Więc jej pokazałam. A potem nie zabrałam... Może żeby spokoju ducha nie miała? Żeby pamiętała, żeby jednak coś zrobiła. Ale nie zrobiła, choć nie mówię, że to zła kobieta, po prostu... Powiedziała, żeby brudów nie prać publicznie, że takie rzeczy to się w domu załatwia, że to nie dla innych oczu, że wstyd.

– Tadeusz również jest taki?

– Tadek Chyc nie jest ideałem, ale jest zwyczajny. Upije się, poawanturuje, potem przeprosza. Nigdy ręki na nią nie podniósł. Ma szczęście dziewczyna, więcej niż inne kobiety w rodzinie. Matkę Grzeška do świata normalności przyprowadziła z powrotem dopiero śmierć męża – tak kiedyś od niej usłyszałam

– Czy to znaczyło?... – zapytała Wiera.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Chyba nie. On i jego ojciec na jakieś choroby pomarli, raki, zdaje się. W sile wieku byli. Ona nie powiedziała nic więcej, ja nie zapytałam. Bez względu na wszystko, pozwalała jednak, żeby inna kobieta miała taki sam los.

– A Tadeusz Chyc wiedział?

Sylwia pokręciła głową.

– Nie, nie sądzę. Nie powiedziałam mu, ona też chyba nie. To w końcu bracia, mogli się nienawidzić, ale krew silnie łączy. Jeszcze by się gorzej zrobiło.

– A próbowała pani szukać pomocy gdzie indziej?

Sylwia Kier spojrzała na Antoniego Gazdę.

– Raz zadzwoniłam na sto dwanaście. To było po pisaniu takiego listu. Wszystko jedno, kto pisał, mnie się kazał ciąć w palce. Nie chciałam, miałam już dość, uderzył mnie, zaczął przyduszać. Kiedy poszedł do łazienki, zadzwoniłam na policję. Patrol przyjechał, pouczył go, zasugerował, żeby do spraw prywatnych nie mieszać organów ścigania. Jeden z tych policjantów to znał Grzeška. Zresztą tu się wszyscy znają.

„Dogadajcie się”, to była cała interwencja.

Antoni Gazda się nie poruszył.

– „Nie odejdziesz ode mnie”, powtarzał mi. Trochę oddechu złapałam, kiedy po maturze poszłam pracować do sklepu z używaną odzieżą, a w weekendy jeszcze w cukierni pomagałam. Oficjalnie po to, żeby na remont tego domu po babci mieć, ale ja po prostu chciałam być jak najwięcej wśród ludzi, bez niego. Poznałam Jolę, tę, która teraz pracuje u mnie. Miałam też kontakt z Kamilą.

Oboje się poruszyli.

„Wreszcie”, pomyślała Wiera. „Wreszcie pojawił się ten wątek. Na razie jako równoległy, ale musi się przecież skrzyżować”.

– Z Kamilą Kurek? – zapytał Gazda.

Kobieta kiwnęła głową.

– To była moja koleżanka z sanatorium. Dwa turnusy razem spędziłyśmy, byłyśmy wtedy w połowie podstawówki. Dobry czas, rodzice jeszcze żyli, beztroska była, mimo tych różnych problemów ze zdrowiem. Polubiłyśmy się, może z samotności, może z podobieństwa charakterów, bo, jak się potem okazało, ona też nie potrafiła mówić nie. Miałyśmy kontakt, listowny, pocztówkowy. Potem nawet do siebie dzwoniłyśmy. Raz, kiedy ona zadzwoniła, miałam wyjątkowo zły humor, bo byłam właśnie po takiej szarpaninie z Grześkiem. Coś jej powiedziałam, bo znałyśmy się już długo, ufałam jej, a ona nie była stąd. Tak się łatwiej zwierzać. Mówiłam bez nadziei, że to cokolwiek da, bo niby co miało dać? A potem Kamila tu przyjechała na tydzień. Znaczą do Rabki, na urlop, i wtedy coś we mnie pękło, i tak do końca jej powiedziałam... Kamila stwierdziła, że mi pomoże. Wtedy myślałam, że to takie pocieszanie, bez pokrycia. I może by tak było, gdyby nie to, że on dostał robotę na Mazurach.

– Wiedziała pani, co tam będzie robił? I dla kogo? – zapytała Wiera.

– Coś przy drewnie, bo on w ciesielkę poszedł. Z jakimś bogatym człowiekiem z Warszawy. Tyle, Grzesiek mi się nie zwierzał.

– Dobrze, i co było dalej?

– Powiedziałam to Kamili. I ona wymyśliła plan, że skoro Chyc będzie na Mazurach, a ona z Mazur, to ona się wokół niego zakręci i może go „uciszy”.

– Uciszy? – powtórzyła po niej Wiera.

– Tak powiedziała. Mnie się to wydawało takie nierealne, no bo jak? Mnie by

w ogóle do głowy nie przyszło, że można człowieka... A jeszcze później się okazało, że Jeziorowskie są tak blisko jej domu.

– No dobrze, ale dlaczego miałyby pani „pomóc”? – Gazda w końcu włączył się do dyskusji. – Tak za nic „uciszyć” człowieka?

– Kamila była poruszona, naprawdę mi współczuła. Ona nie chciała dużo o sobie mówić, ale powiedziała, że zna takie doświadczenia, wie, jak to jest. Dodała, że gdyby ona była na moim miejscu, to ja bym pewnie też jej pomogła... Ja wtedy naprawdę nie myślałam, że to chodzi o zabicie.

– No to o co by miało chodzić? – zapytała Wiera.

Sylwia wzruszyła ramionami, pokręciła głową i znowu wlepiała wzrok w ziemię. Sprawiała wrażenie zaszczutego zwierzęcia.

– Byłam jak w matni. Może sobie wmawiałam, że nie wiem, co to znaczy? A ten rewanż wydawał się wtedy odległy, nierealny.

– I co było dalej?

– Grzesiek pojechał. Kamila wiedziała, dałam jej znać.

– Dzwoniła pani do niej?

– Nie. Kartkę wysłałam. Że ciotka przyjeżdża. Żeby nie było śladów kontaktu. Więc on pojechał i...

– I nie wrócił – podsumował Gazda.

– Nie wrócił. Przez cały ten czas odchodziłam od zmysłów. Myśmy się przed jego wyjazdem pokłócili, ja go rzuciłam, to znaczy mu powiedziałam, że to już koniec, na co on się roześmiał, że po powrocie to on mi pokaże koniec. Powiedziałam jego matce, nawet jednemu z tych kolegów, co z nim jechali. Chciałam, żeby wszyscy wiedzieli, że mnie już z nim nic... A kiedy pojechał, to ja cały czas pracowałam, siedem dni w tygodniu, na widoku. Jego matka do mnie przyszła, że Grzesiek zaginął. Brat też był. Potem policja. Mówiłam prawdę – nie wiedziałam, co z nim. Jak on... Jak on zniknął. Aż w końcu po jakichś trzech miesiącach zadzwoniła Kamila. Z innego numeru, stacjonarnego. I wtedy mi powiedziała, że go nie znajdują. Ani jego, ani roweru. Nigdy. I że wszystko dobrze, bo mnie z tym nikt nie powiąże. Jej także nie, bo niby czemu ona by miała?... Potem przyszła kartka na święta, i na kolejne. I myślałam, że to już minione. Policja odpuściła, przycichło. A ja poznałam Krzyśka. Cudowny człowiek, wspaniały. W sklepie go poznałam, bo on był bez kasy po tym, jak zrezygnował z seminarium, tuż przed święczeniami. Cała rodzina się go wyrzekła.

Zakochałam się w nim, wzięliśmy ślub. Byłam szczęśliwa, pierwszy raz w dorosłym życiu. To jest cudowny, dobry, prawy człowiek. Jego brat się przełamał, i wbrew rodzinie zaczął nas wspierać, zwłaszcza jak się Zuzia urodziła. I wszystko było dobrze, aż w zeszłym roku Kamila się znowu odezwała. Nie, dwa lata temu, a może jeszcze chwilę wcześniej?... Tak ogłędnie, że teraz ona ma w życiu gorszy czas. A potem znowu zadzwoniła, że „czas odpłaty przyszedł”. tak powiedziała. Chodziło o to, że facet, którego poznała, zmuszał ją do złych rzeczy. Do nierządu. Nie tylko ją, ale i inne dziewczyny. Powiedziała, że on jest nieobliczalny, zły, że ona nie da rady... Modliłam się, żeby on ją zostawił, dał jej spokój, żeby ona niczego ode mnie nie chciała. Potem nawet rozważałam, że się przyznam do tamtego, do jakiegoś współudziału, byleby tylko nie musieć nikogo... nikomu odbierać życia. Ona mnie jednak przekonywała, że sprawa z Grzegorzem się nie wydała, więc tu też wszystko się ułoży dobrze, że jeśli obie będziemy mieć niepodważalne alibi na czas morderstwa, w którym będziemy głównymi podejrzanymi, to się uda. To trwało kilka miesięcy, ona brzmiała coraz rozpaczliwiej. Nie, nie rozpaczliwiej – natarczywiej. Aż doszło do tego, że on miał tu przyjechać. Plan był taki, że niby po nową dziewczynę do tego swojego domu uciech w Rzeszowie. Kamila była wcześniej na rozpoznaniu, znalazła ten dom, ten gdzie... Gdzie teraz to ciało zostało odkryte. Zarośnięty drzewami, daleko od ulicy. Wiedziałam, że tam nikt na stałe nie mieszka. Ale ja nie mogłam, naprawdę. Kiedy to wszystko już było tak blisko, przestałam odbierać telefony, jakiegokolwiek, bałam się rano otworzyć oczy. Krzysiek widział, że coś się dzieje, w końcu mu powiedziałam. Myślałam, że mnie zostawi, rzuci, ale on mi wybaczył, przytulił i wybaczył. I powiedział, że dobrze robię, żeby to uciąć. I ona przestała dzwonić, dręczyć mnie, jakby moje modlitwy, nasze, bo razem się modliliśmy, zostały wysłuchane. Sprawa ucichła. Aż do teraz, kiedy to ciało... Ale to nie ja, naprawdę nie ja. – Znowu się rozsłochała.

Gazda spojrzął na Wierę.

Kiwnęła głową.

– Zrobimy kwadrans przerwy. Pani tu zostanie.

Patrzyła na nich i nic nie powiedziała.

*

– I co myślisz? – zapytał Gazda, gdy przeszli do jego pokoju.

Wiera się zawahała, ale on uprzedził jej odpowiedź:

– Żał mi jej. Z tego, co mówi, z tych listów wychodzi, że Chyc był naprawdę stuknięty, znaczy zaburzony, bardziej niż przeciętnie. Potwierdziła, że ta Kurek go zabiła. Przyznała się do układu. A teraz się próbuje wywinąć z ostatniego elementu.

– Nie wiem... – Wierze coś nie pasowało.

– No jak: nie wiem? Przecież to była twoja koncepcja, sama mówiłaś... – Gazda podniósł głos.

– Mówiłam – warknęła. – Nie drzyj się. Ty za to byłeś sceptyczny.

– Przez chwilę, bo to jednak osobliwy pomysł. Ale teraz wszystko się układa. Pasuje. Na krzyż.

– Poczekaj, zobaczę, co u szefa. – Wybrała numer Kosonia. – Dobra – powiedziała po chwili do aparatu. – Wyjdzie z pokoju – rzuciła do Gazdy. I znowu do telefonu: – No... Nie. Wszystko opowiedziała, o Chycu, o dręczeniu, o tym, że miała dość, że spotkała się z Kurek i że ona jej obiecała, że on zniknie, i on zniknął. Tu płynnie. Potem, że Kurek chciała odpłaty, ale Kier odmówiła, tyle mamy. A szef? – Przez moment go słuchała. – Dobra. Tak zrobimy, szefie. – Odłożyła telefon na biurko. – Kurek twierdzi, że Sylwia ją prosiła o „rozwiązanie” sprawy Chyca, ale ona odmówiła. Spotkanie w Rabce bez związku, po prostu była na wakacjach, umówiła się z dawną koleżanką i ta jej wtedy wyjechała z tą historią. Do Jaskóły się wcale nie przyznaje, twierdzi, że to ona była ofiarą.

– Bez dowodów... Połowę się da przepchnąć, jak Kier potwierdzi zeznania. Reszta to już ruletka – stwierdził Gazda.

– Kosoń powie Kurek, że Sylwia ją obciążyła i że sama się przyznała.

– Pomyśli, że ją podpuszcza. – Gazda był ostrożny.

– Niekoniecznie. Są emocje. I będzie chęć rewanżu. Poczekajmy. Kier też zrobi dobrze, jak trochę posiedzi sama, zamknięta. Idę do łazienki.

Po wyjściu z kabiny nachyliła się nad umywalką i opłukała twarz zimną wodą. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Tusz lekko jej spłynął z dolnych rzęs. Sięgnęła po ręcznik papierowy. Najtańszy, szary, twardy i niepokojąco pachnący. Miała wrażenie, że czyści skórę papierem szmerglowym. Teraz nie wyglądała już jak smutna panda, ale jak alergiczna smutna panda. Odsunęła się od lustra i wtedy, przez uchylne drzwi, dostrzegła znajomą sylwetkę – Krzysztof Kier. Wyszła na korytarz. W rękę wciąż trzymała zmięty kawałek papieru.

Krzysztof Kier szedł w stronę wyjścia.

Przyspieszyła, wyprzedziła go i stanęła przed nim.

On też się zatrzymał. Również miał zaczerwienioną skórę pod oczami. W jego ręku zobaczyła różaniec, taki na palec.

– Ja... przyniosłem tylko żonie leki.

– Nie może się pan teraz z nią widzieć.

Patrzył na nią, a jej było go żal. Ten facet naprawdę kochał swoją żonę, rodzinę, a tu wszystko mu się rozpieprzyło. Mógł się tylko za nią modlić, to przecież umiał, to mu zostało z dawnych czasów.

Wciąż na nią patrzył, drewniane koraliki obracały się między jego palcami.

– Tylko jej podałem, taki inhalator wziewny... – wyszeptał. – Tylko podałem, tylko podałem. – Był bliski rozpłakania się.

– Kto pana wpuścił? Co tu się dzieje? – Odwróciła się. Podchodził do nich Antoni Gazda.

– Ja tylko... – zaczął znowu Kier.

Koraliki przyspieszyły.

I wtedy zrozumiała. Poczuła, że jej serce zaczyna bić w ten pędzący, różańcowy rytm.

– Twój telefon dzwonił. Odebrałem, bo zobaczyłem, że to twój szef – powiedział Gazda.

– No... – Chciała odejść kilka kroków od męża Sylwii, żeby zapytać komisarza o to, co usłyszał, ale Gazda powstrzymał ją ruchem ręki.

– „Kamila Kurek przyznała się do zamordowania Grzegorza Chyca. Zeznała, że to na zlecenie Sylwii Kier, która odpowiada za zabicie Zenona Jaskóły” – koniec cytatu.

Wiera najpierw spojrzała na triumfującego Antka, a potem na roztrzęsionego Krzysztofa Kiera. Wyglądał jak ryba wyciągnięta z wody. Kilka razy złożył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie dobył z siebie głosu. Jego usta poruszały się coraz szybciej, delikatnie; palce prawej dłoni też. Lekko przymknął oczy.

Już wiedziała, dlaczego Kurek użyła słowa „odpowiada”.

To nie Sylwia Kier zabiła Zenona Jaskółę.

ROZDZIAŁ 28

2020, Podhale

Stała w łazience i wpatrywała się w szafkę nad toaletą.

Nie wiedziała, czy dobrze robi. Wtedy zresztą też nie wiedziała. To znaczy tak obiektywnie to rozumiała, że źle, czego tu zresztą można było nie rozumieć? Ale wybrała mniejsze zło. On tak to nazwał. Ona powiedziała, że z tego, co sama pamięta, to jest „Zło dobrem zwyciężaj”. A on powiedział, że na świętego Pawła to już jest za późno. Że już jedno zło zostało innym pokonane i teraz dobro nie zadziała.

Nie mogła spać w nocy. Wstawała, chodziła do łazienki, wyciągała tę kartkę, myślała.

A potem się zdecydowała mu pomóc. Tylko się przebrać, udawać ją, odegrać scenkę i tyle. Nic więcej.

Reszta to już nie jej sprawa, nawet wiedzieć nie chciała, co będzie, choć przecież i tak wiedziała.

A teraz wszystko się waliło.

Nie może mieć tej kartki w domu, bo gdyby przypadkiem policja wpadła na ich, jej ślad...

Zniszczyć też źle, bo może to jakoś pomoże?...

Wyjęła pudełko z podpaskami, wyciągnęła tę kartkę w kratkę, włożyła do koperty.

Jutro rano zostawi ją pod wycieraczką auta.

– Poczekaj! – Złapała za rękę Antoniego Gazdę, który chciał wrócić do pokoju przesłuchań, po tym jak Kier wyszedł do czekającej w samochodzie córki. –

Zadzwoń do Kosonia.

– Powiedział, że się do ciebie odezwie za dwie godziny, jak skończą spisywać zeznania. My musimy zrobić to samo. Teraz Kier pęknie. Może myślała, że kumpela będzie ją chronić albo ja wiem?... A tamta się okazała realistką. Pozory potrafią mylić, co?

– Potrafią. Mnie też zmyliły. To nie Sylwia Kier zabiła Jaskółę.

– Zwariowałaś? Wystrzeżiłaś z tą teorią, zresztą słuszną, nie będę mówił, że nie, naprawdę ci się udało...

„Udało. Chuj”.

– ...a teraz, kiedy już to mamy, to ty nagle zmieniasz zdanie i stwierdzasz, że raz: myliłaś się, dwa: Kurek kłamie, trzy: Kier się nie przyzna.

– Raz się zgadza, dwa się częściowo zgadza, a trzy to nieprawda. Kier się przyzna.

Antoni Gazda patrzył na Wierę nierozumiejącym wzrokiem, ale niezrozumienie przegrało z irytacją.

– Nie wiem, o co ci chodzi. To część jakiegoś planu?

– Jakiego planu? – zdębiała.

– No nie wiem jakiego. Może takiego, żeby się na mnie odegrać. Za... za to...

– Że jesteś dupkiem?

– Niczego ci nie obiecywałem. Niczego. – Nie wyglądał teraz miło.

– Jasne. I to moja wina, że zapomniałam cię zapytać, czy masz żonę. Więc w sumie to ja „odpowiadam” za nasze małe nieporozumienie.

Nie, zdecydowanie nie wyglądał miło.

– Ale teraz to nie jest sprawa prywatna, tylko zawodowa. I tu chodzi o prawdę.

– A tam nie? – Popatrzyła na niego kpiąco.

– O prawdę i o sprawiedliwość. – Udał, że nie słyszał. – Wracam do podejrzanej.

Wszedł do pokoju.

– Chuj – mruknęła Wiera.

Weszła za nim.

Sylwia Kier podniosła się, gdy ich zobaczyła.

– Zmieniłam zdanie. Nie będę już kłamać. Przyznaję się, to ja zabiłam Zenona Jaskółę.

Antoni Gazda spojrzał na Wierę. W tym spojrzeniu zobaczyła wszystko to, czego nie znosiła u facetów: triumf i pewność siebie.

– Złoży pani zeznania? – zapytał Sylwię Kier.

– Tak. – Kiwnęła głową.

– Dzwonię po prokuratora. – Wyciągnął telefon z kieszeni.

– Zabiła pani Zenona Jaskółę? – Wiera starała się, by to zabrzmiało neutralnie i spokojnie.

Sylwia Kier znowu kiwnęła głową.

– To proszę to powiedzieć.

– Sierżant Jezierska, proszę się wstrzymać z prośbami do momentu spisywania zeznań. A pytania sugerujące proszę sobie w ogóle darować.

Sylwia Kier przeniosła wzrok z Jezierskiej na Gazdę i z powrotem. Wciąż milczała.

– Proszę to powiedzieć – powtórzyła.

– To ja zabiłam Zenona Jaskółę. – Cichy głos Sylwii Kier wpadał pod stół.

Wiera jeszcze przez krótką chwilę patrzyła na ciemne włosy rozsypane nad blatem, a potem się odwróciła i wyszła z pokoju.

Na korytarzu usłyszała, jak Gazda ją woła.

– Wiera, poczekaj! Poczekaj, no. – Dobiegł do niej. – Po co w ten sposób? Sama sobie zaprzeczasz. Przyznała się. Twoja koncepcja o krzyżowym morderstwie jest logiczna, wszystko pasuje. Nie komplikujmy, to i tak nie była prosta sprawa.

– Za to ty jesteś prosty. – Spojrzała na niego w taki sposób, jakby się nie mogła zdecydować, czy po to, żeby go zapamiętać, czy żeby o nim zapomnieć.

Po chwili widział już tylko jej plecy.

Wyszła z komendy.

*

„A może razem?”, myślała Wiera, jadąc zakopianką.

W tym samym czasie Marian Styr siedział już pewnie naprzeciwko Sylwii Kier i przyjmował od niej zeznanie, w którym brała na siebie całą winę.

Nie rozumiała, jak to się stało, że to jej umknęło. Tak ją ta krzyżowa zbrodnia oślepiła, że poszła za swoim odkryciem jak w dym, ignorując to, co już przecież wiedziała.

W jaki sposób Sylwia Kier zdołałaby nakłonić Jaskółę, żeby poszedł za nią do tej chałupki? A nawet jeśli, to jakby go zabiła, znaczy udusiła? Wielki, zwalisty facet,

rozgniółby ją jak muchę. Gdyby go wzięła z zaskoczenia, w aucie... Nie, nie mogła w aucie, bo musieliby jechać jej samochodem, w końcu jego się znalazło w Rzeszowie, w garażu apartamentowca, w którym mieszkał. Więc ona prowadziła. A on pewnie zginął zaraz po wyjściu z auta. Uduşony znienacka. Nie przez nią. I sama też by go nie zaciągnęła do tej budy.

Nie, to nie było zadanie dla jednej osoby.

Kurek miała Chyca na miejscu. Chyc wolny czas spędzał z alkoholem. Ona była ładna, młoda, on może i szurnięty na punkcie Kier, ale co mu przeszkodziło mieć władzę – choćby chwilową – nad inną kobietą? W końcu seks to forma władzy, tak pewnie myślał, zanim, otumaniony, zaczął się dusić.

Tak, Kurek miała łatwiej, Kier – jak zawsze w życiu – pod górkę.

Wiera przypomniała sobie twarz Krzysztofa Kiera – spojrzenie człowieka głęboko nieszczęśliwego, rozdartego, takiego, który nie widzi ratunku.

Przez pierwszy, krótki moment pomyślała, że to rozpacz z powodu utraty żony. Że ona, zabijając Jaskółę, zabiła też ich małżeństwo, rodzinę, szczęście. I że on nie może nic z tym zrobić, nie może jej pomóc, nie może tego faktu zanegować. Traci ją po dwakroć.

I dopiero po chwili zrozumiała – on nie widział ratunku dla siebie. Bo to on zabił Zenona Jaskółę.

Nie, chyba jednak nie razem. Gdyby go w to wciągnęła, to od razu by go broniła, przyznając się. Wzięłaby całą winę na siebie.

Gdyby tylko on był mordercą, a ona by o tym wiedziała, również by go broniła, przyznając się.

Nie przyznała się. I nie kłamała – ona po prostu nie brała udziału w finale tej sprawy. Ona nawet o niej nie wiedziała.

A jeśli tak, to Krzysztofowi Kierowi musiała pomagać inna kobieta. Kobieta, która przed Jaskółą udawała Sylwię Kier. I która była gotowa wiele dla niej zaryzykować.

Jola, koleżanka-przyjaciółka z ulicy i z pracy? Jola, która widziała wszystko, od lat, i rozumiała? Która wyciągnęła Wierę pod jakiś wyciąg, żeby wystawić Sylwii laurkę?...

Dojechała do Krakowa. Zakopianka była tu koszmarnie rozkopana. Po prawej jakieś centrum handlowe, dalej dziwacznie zmieniona organizacja ruchu, betonowe

ograniczniki, rozjazdy, tablica do skřętu do Sanktuarium Bożego Miłosierdzia i zapraszająca siostra Faustyna...

„Trochę jakby siostra”.

Kaśka Chycowa, która dostała od Sylwii kartkę i która tę kartkę Wierze podrzuciła.

„Prokurator Marian Styr występuje o tymczasowy areszt dla Sylwii Kier. Wersja o krzyżowym morderstwie i podpisane zeznania go przekonują. Nazwał tę sprawę «wyemancypowanym zabójstwem». AG”.

„Tragiczna emancypacja”, pomyślała Wiera.

ROZDZIAŁ 29

2017, Sulejówek

Poczuł nagły skurcz. Z trudem nabrał powietrze. Ból siekł od dłoni, grzbietem ręki, przez szyję aż do głowy.

Usiadł na krześle, z trudem łapał oddech.

Jutro miał jechać do Jeziorowskich, sprawdzić to, co od jakiegoś czasu chodziło mu po głowie, że może przez te wszystkie lata, jeśli to rzeczywiście ona...

Zabolało jeszcze mocniej, teraz także w klatce piersiowej.

„Umieram”, pomyślał.

El Melech Neeman, Szma-Jisroel, pierwsze słowa najważniejszej modlitwy.

Nie czuł zawiści, tylko niedowierzenie, że tak się to wszystko mogło potoczyć.

– Amen – szepnął.

I umarł.

– Mówisz, że zwrot?...

Prokurator Maria Przyzwan chodziła po pokoju, z rękami splecionymi na nieprzyzwoicie wąskiej talii. W pomieszczeniu pachniało perfumami. To był nowy zapach – orientalny, piżmowy i dziki. Zapach pewnej siebie, twardej kobiety. Ładny, ale też niepokojący, trochę za ciężki. Przynajmniej teraz. Może kiedyś urzeknie i Wierę.

– U nas także zwrot.

Może to od tego zapachu, a może ze stresu, ale sierżant Jezierska poczuła, że trochę ją mdli.

– Salon Kleopatra to tak naprawdę spore spa. W środku nówki sztuki do medycyny estetycznej i ogólnie high life. W stylu rzeszowskim, ale pieniądze duży. Mieszkanie również jest. Spore, na Kurek, bez kredytu. Samochód musiałaś widzieć. Ona nie potrafi udokumentować, skąd zdobyła środki, płacze się od prywatnej pożyczki, oszczędności – no skąd, kurna? – przez dotacje dla rozpoczynających biznes. Wersja o przemocy i zmuszaniu do nierządu też się zaczyna chwiać.

– To nie ona zabiła Chyca? – Wiera poczuła się jeszcze gorzej.

– Ona. Do tego się przyznaje. Natomiast co do Jaskóły... Zakotwiczyła się przy tym „odpowiada”. „Sylwia Kier odpowiada za zabicie Zenona Jaskóły”. I więcej nic.

– Ale dlaczego nie chce powiedzieć? – Tego Wiera nie rozumiała.

Prokuratorka wzruszyła ramionami.

– Może wie, jak to dokładnie było, ale mimo wszystko woli zgrywać poinformowaną i lojalną? A może nie wie? Może rzeczywiście Krzysztof Kier przejął inicjatywę, dokooptował niedoszlą szwagierkę albo kumpelę żony z ulicy i sami wszystko załatwili, pomijając Kurek? To się wyjaśni. Pewnie. Wszystko natomiast wskazuje na to, że od początku, gdy tylko wysłuchała historii Sylwii, miała w głowie taki plan, żeby wykorzystać tę sprawę do swoich celów – zabicia Jaskóły i przejęcia jego pieniędzy. Wbrew wcześniejszym zeznaniom była z nim w stałej, intymnej relacji. Bez przymusu.

„Krzyżowo i w obronie własnej”, pomyślała Wiera. Tak widziała tę sprawę dwa dni temu. A teraz...

– To też by się składało. Sylwia Kier zeznała, że Kurek miała wszystko przygotowane wcześniej. Nawet miejsce, gdzie Jaskóła miał zginąć. Była drugi raz w Nowym Targu, w dwa tysiące siedemnaście. To ją musiała widzieć ta starowinka. Metodycznie, z zimną krwią wszystko zaplanowała.

Przyzwan pokiwała głową.

– Zamordować kogoś, żeby uwolnić jego ofiarę – odezwała się prokuratorka, patrząc na Wierę – to całkiem szlachetne, tak z ludzkiego punktu widzenia, domagającego się namacalnej, ludzkiej sprawiedliwości. Ale tu pobudki były brzydkie. Połowicznie brzydkie. A ofiara znowu zostanie ukarana... Sprawą Jaskóły zajmie się Nowy Targ i Styr... Przy okazji, to w chyba w porządku facet, osobiście znamy się kiepsko, ale opinię w środowisku ma niezłą. To on mi coś tam napomknął o Gazdzie i tobie. I o ciężarnej żonie. Nie plotkarsko, tylko żebym cię ostrzegła, czy jakoś tak... Ja jednak jestem jak mój ojciec, rozumiesz: własne błędy itede. Tak czy

owak, chyba przeprowadzi tę sprawę rzetelnie. Nie będzie działał w myśl zasady „Jak się rubryki z winnymi zgadzają, kto by się prawdą kłopotał”.

– Rzetelnie – powtórzyła Wiera. – Zaczął słabo.

– To początek. Poza tym on ma połowę obrazu, jak się to połączy...

– Tak czy owak, mała Zuzia będzie przez kilka kolejnych lat oglądać tylko jedno z rodziców – powiedziała Wiera.

– Fakt, wolę tę naszą połowę. – Prokuratorka otworzyła okno i nabrała głęboko powietrza.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedziała Wiera.

Spodziewała się komisarza Kosonia, który miał się zjawić z pełnym protokołem z przesłuchania. Tymczasem w drzwiach stał Remigiusz Staroń.

– Dzień dobry. – Spojrzał na prokuratorkę. – Cześć, Wiera.

Chyba wyczuł, że moment jest niekorzystny, bo zrobił tylko krok i zatrzymał się zaraz za zamkniętymi drzwiami.

– Mam te papiery. Znaczy z tego krakowskiego archiwum. Tak?

Nie zirytował jej. Mimo że pokój się wietrzył, Wiera miała wrażenie, że zapach się zintensyfikował. Czowała, że krtań się jej zaciska.

Podeszła do Remka, a on podał jej wydruk.

– Ja... Na różowo, tam, w jednej trzeciej od dołu. Bo ciebie chyba to interesowało, ta... prawda?

Wiera przebiegła wzrokiem równe linijki urzędowego pisma.

„Zeznania świadków w sprawie napaści na Samuela Aronowicza (...) Jednym z czterech napastników był Stanisław Chyc. Według zeznań dwóch pozostałych, żyjących uczestników napaści, to on oddał śmiertelny strzał do Samuela Aronowicza”.

Podowała kartkę prokuratorce.

– Czyli jednak. Brawo, Wiera. – Prokuratorka spojrzała na nią. – Krzyżowo skomplikowana sprawa.

– Nie da się nikogo zabić dwa razy, tak powiedział szef. Chyca też się dało tylko raz. Ciekawe, czy... – Zawiesiła głos.

– Czy kupienie domu od wnuka mordercy jego ojca to był wstęp do zabójstwa? – dokończyła prokuratorka.

– A może nie chciał mordować, może miał jakąś pokreconą, perwersyjną satysfakcję, że niszczy ślad po Stanisławie Chycu? Może przejęcie jego domu by mu wystarczyło? – zastanowiła się Wiera. – A może sam nie wiedział, czego chce? W końcu tyle lat tym żył, że gdy przyszedł moment odpłaty, nie wiedział, co zrobić? Chciał przerwać ciąg zła, a...

– A zrobiła to za niego Kamila Kurek. Czyniąc kolejne zło.

– I Sylwia Kier wciąż jest ofiarą. – Wiera usiadła przy biurku. Nagle poczuła się bardzo zmęczona.

„Odpłata”, tego wyrazu Sylwia Kier użyła, gdy mówiła o „rewanżu” wobec Kamili Kurek. W tej sprawie, mimo oskarżonych i wyroku, który zapadnie, trudno będzie ustalić prawdziwy bilans wszystkich odpłat.

*

– No, no, Jezierska, nie spodziewałem się. Bez urazy, ale, jak się okazało, to była całkiem zagmatwana sprawa. Patrz, co to ludziom się w głowach roi... No, u nas to jednak swój obcego zabił. Choć słyszałem, że i z tym obcym to też nie bez racji było. Myślę, że jakaś nagroda będzie. I może kilka dni wolnego?... Wrócimy do sprawy we wtorek. Dziś Wielki Czwartek. „W noc ostatnią przy wieczerzy, z tymi, których braćmi zwał, czyniąc wszystko, jak należy, czego przepis prawny chciał, sam dwunastu się powierzył i za pokarm z rąk swych dał”. No, przepis prawny w toku, reszta już w innym planie się dzieje.

*

Wiera powoli szła drogą do jeziora. Od jej pierwszego pobytu w tym miejscu sporo się zmieniło. Trawa na łące odrosła, drzewa się zazieleniły – natura się zagęściła, zintensyfikowała. Powietrze też pachniało inaczej, cieplej, bardziej trawiasto niż ziemnie.

Doszła do ogrodzenia.

Dom był chyba pusty, bo wokół żadnego śladu życia.

„Ślady nieżycia” też już były uprzątnięte.

Przypomniała sobie zdjęcie, które wisiało nad kominkiem – przedstawiało ten sam dom w Czarnym Dunajcu – ciemne drewno, lekko zapadnięty dach. Teraz gont trzymał się jak misterna układanka, a jasne bele błyszczały w słońcu. Wyczyszczone, odnowione, znowu połączone na zrąb – mocnym wiązaniem ciesielskim, nie do

ruszenia.

Wyciągnęła telefon z kieszeni.

„Będę w niedzielę u matki”. „Mamy”, poprawiła. Wysłała wiadomość do Anki.

Niedaleko furtki zauważyła ładny, mały kamień. Podniosła go i włożyła do kieszeni.

Poszła dalej, w dół, do jeziora.

SPIS TREŚCI:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Karta redakcyjna](#)

Text copyright © by Agnieszka Jeż, 2021

Copyright © by Burda Media Polska Sp. z o.o., 2021

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 25 19

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Redakcja: Agnieszka Szmatoła/Słowne Babki

Korekta: Lena Marciniak-Cąkała, Ewelina Pawlak/Słowne Babki

Projekt okładki: Pola i Daniel Rusiłowiczowie/KAV Studio

Zdjęcie na okładce: Unsplash

ISBN 978-83-8053-865-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.kultowy.pl

www.burdaksiazki.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

KWAŁ DOBREJ KRYMINALNEJ ROBOTY. POLECAM!

Robert Małcki

AGNIESZKA JEŹ

ODPIŁATA

ZŁO, KTÓRE IDZIE PRZEZ POKOLENIA.
MORDERSTWA, KTÓRE SĄ POCZĄTKIEM, NIE KOŃCEM